

Philip Jose Farmer

Kochankowie

(The Lovers)

Przekład Cezary Frąc

*Samowi Minesowi,
który widział głębiej niż inni.*

Muszę się wydostać. Hal Yarrow usłyszał czyjś odległy głos.

– Musi być jakieś wyjście.

Przebudził się z drgnieniem i uświadomił sobie, że to mówił on sam i że to, co powiedział, budząc się, nie miało żadnego związku ze snem. Słowa i sen nie miały ze sobą nic wspólnego.

Ale co oznaczały te wymamrotane słowa? I gdzie on wtedy był? Naprawdę podróżował w czasie czy po prostu śnił? Marzenie senne było tak żywe, że miał kłopoty z powrotem na ten poziom rzeczywistości.

Gdy spojrział na siedzącego obok człowieka, rozjaśniło mu się w głowie. Był w promie, zmierzającym do Sigmen City w roku pięćset pięćdziesiątym przed Sigmenem (trzy tysiące pięćdziesiąty rok Starego Stylu, podpowiedział mu umysł uczonego). Nie był, jak w tamtej dziwnej podróży w czasie? we śnie? – na dziwnej planecie wiele lat świetlnych stąd, wiele lat w przyszłość od teraz. Ani nie stał twarzą w twarz ze słynnym Isaakiem Sigmenem, Zwiastunem, prawdziwe niechaj będzie jego imię.

Człowiek, siedzący obok, zerknął na niego z ukosa. Był chudzielcem o wydatnych kościach policzkowych, prostych czarnych włosach i brązowych oczach z lekką fałdą mongolską. Na lewej piersi jasnoniebieskiego uniformu klasy inżynierskiej nosił aluminiowy emblemat, który wskazywał, że należy do wyższych szeregów. Prawdopodobnie był inżynierem elektronikiem, absolwentem jednej z lepszych szkół zawodowych.

Mężczyzna chrząknął i zagadnął po angielsku:

– Tysiącrotnie przepraszam, *abba*. Wiem, nie powinienem odzywać się do ciebie bez pozwolenia, ale powiedziałaś coś do mnie po przebudzeniu. Skoro i tak jesteśmy razem, mógłbyś na chwilę zniżyć się do mojego poziomu. Wprost umieram z chęci zadania ci pytania. Nie na darmo nazywam się Wścibski Sam.

Zaśmiał się nerwowo i dodał:

– Przypadkiem słyszałem, co powiedziałaś stewardesie, kiedy zakwestionowała twoje prawo do zajęcia tutaj miejsca. Przesłyszałem się, czy naprawdę oznajmiłaś jej, że jesteś łobuzem?

Hal odparł z uśmiechem:

– Nie, nie łobuzem. Jestem obusem. To skrót od omnibusa, człowieka mającego wiadomości z różnych dziedzin. Jednak nie pomyliłaś się tak bardzo. Na polu zawodowym obus cieszy się mniej więcej takim samym poważaniem, jak zwykły łobuz.

Westchnął i pomyślał o poniżeniach, na które był narażony tylko dlatego, że postanowił nie zostawać specjalistą w wąskiej dziedzinie. Wyjrzał przez okno, bo nie chciał zachęcać towarzysza podróży do rozmowy. Zobaczył jasny blask daleko w górze; bez wątplenia wojskowy statek kosmiczny, wchodzący w atmosferę. Nieliczne statki cywilne schodziły wolniej i mniej

rzucały się w oczy.

Z wysokości sześciu tysięcy metrów popatrzył na krzywiznę kontynentu północnoamerykańskiego. Był cały rozświetlony, tylko gdzieś tam widniały plamy ciemności, jedne nieduże, inne większe. Te ostatnie to pasma górskie albo zbiorniki wodne, na których jeszcze nie udało się zbudować osiedli mieszkalnych czy zakładów przemysłowych. Wielkie miasto. Megalopolis. Pomyśleć, że zaledwie trzysta lat wcześniej cały kontynent zamieszkiwały tylko dwa miliony ludzi. Za następnych pięćdziesiąt lat – jeżeli nie wydarzy się żadna katastrofa, taka jak wojna między Unią Hajjaku a Republikami Izraelskimi – liczba ludności w Ameryce Północnej wzrośnie do czternastu, może piętnastu miliardów.

Jedynym obszarem, w którym celowo nie zezwalano na osiedlanie, był Rezerwat Przyrody Zatoki Hudsona. Yarrow opuścił rezerwat zaledwie przed piętnastoma minutami, a już czuł się źle, bo wiedział, że minie dużo czasu, nim będzie mógł tam powrócić.

Westchnął znowu. Rezerwat Przyrody Zatoki Hudsona. Tysiące drzew, góry, rozległe błękitne jeziora, ptaki, lisy, króliki, a nawet, jak mówili strażnicy, rysie. Drapieżniki były jednak nieliczne i za dziesięć lat miały trafić na listę zwierząt wymarłych.

Hal oddychał w rezerwacie pełną piersią, czuł się nieskrępowany. Wolny. Niekiedy doskwierała mu samotność i nękał go niepokój, ale zaczęło się to dopiero wtedy, gdy badania prowadzone wśród dwudziestu francuskojęzycznych mieszkańców rezerwatu dobiegały końca.

Współpasażer zaczął się wiercić, jakby zbierał się na odwagę, żeby zagadnąć profesjonalistę. Chrząknął nerwowo parę razy i powiedział:

– Sigmenie, dopomóż, mam nadzieję, że cię nie uraziłem. Ale zastanawiałem się...

Hal Yarrow poczuł się urażony. Ten mężczyzna za dużo sobie pozwalał. Potem przypomniał sobie, co powiedział Zwiastun: „Wszyscy ludzie są braćmi, choć niektórych ojciec darzy większymi względami”. To nie wina inżyniera, że kabinę pierwszej klasy zajmowali ludzie o wyższym statusie i że Hal był zmuszony dokonać wyboru między późniejszym promem a przebywaniem z kimś z klasy niższej.

– Mnie to *shib* – powiedział Yarrow i wyjaśnił mu, co to znaczy.

– Ach! – zawołał mężczyzna z ulgą. – A więc nie masz nic przeciwko jeszcze jednemu pytaniu? Nie bez powodu nazywam się Wścibiński Sam, jak powiedziałem.

– Nie, chętnie ci odpowiem – zapewnił Hal Yarrow. – Obus, choć wszechstronny, nie zajmuje się wszystkimi gałęziami danej nauki. Skupia się na jednej konkretnej dyscyplinie, ale zarazem próbuje zrozumieć jak najwięcej ze wszystkich jej dziedzin. Ja na przykład jestem obusem lingwistycznym. Zamiast ograniczać się do jednej z wielu gałęzi lingwistyki, zdobyłem szeroką wiedzę ogólną, dotyczącą całej nauki. Zajmuję się korelowaniem tego, co się dzieje we wszystkich jej dziedzinach, wyszukiwaniem w jednej specjalności rzeczy, które mogą być interesujące dla człowieka o innej specjalizacji, i powiadamianiem zainteresowanego o swoim

odkryciu. Gdyby nie praca obusów, specjalista, który nie ma czasu na czytanie setek czasopism poświęconych swojej dziedzinie, mógłby pominąć coś, co mogłoby mu się przydać.

Wszystkie dziedziny nauki mają swoich obusów, którzy zajmują się tym, co powiedziałem. Prawdę mówiąc, mam szczęście, że jestem lingwistą. Gdybym był, na przykład, obusem medycznym, przytłoczyłby mnie ogrom wiedzy. Musiałbym pracować z całym zespołem obusów. Wtedy nie mógłbym być prawdziwym omnibusem. Musiałbym ograniczyć się do jednej dyscypliny nauk medycznych. Liczba publikacji w każdej specjalności medycyny – albo elektroniki, fizyki czy każdej innej nauki – jest tak ogromna, że żaden człowiek ani nawet zespół nie mógłby skorelować zawartej w nich wiedzy. Na szczepie zawsze interesowałem się lingwistyką. Czuję się w pewien sposób wyróżniony. Mam nawet czas na prowadzenie własnych badań i przyczynianie się do zwiększania lawiny papieru potrzebnej naukowcom.

Używam komputerów, oczywiście, ale nawet najbardziej złożony zespół komputerowy jest uczonym-idiotą. Tylko człowiek – inteligentny człowiek, jeśli wolno mi powiedzieć tak o sobie – może dostrzec, że pewne rzeczy są ważniejsze od innych, i dokonać ich logicznego powiązania. Wnioski przekazuję specjalistom, a oni je analizują. Obus, można powiedzieć, jest twórczym korelatorem.

Jednak – dodał – wszystko to odbywa się kosztem czasu na sen. Muszę pracować dwanaście albo i więcej godzin na dobę dla chwały i korzyści Paściola.

Ostatnie zdanie miało na celu upewnienie się, że współpasażer – jeśli przypadkiem był Uzzitą albo ich informatorem – nie doniesie, że Hal oszukuje Paściół. Hal przypuszczał, że mężczyzna był dokładnie tym, na kogo wyglądał, ale wołał nie ryzykować.

Nad wejściem do kabiny błysnęło czerwone światelko, a nagrany głos nakazał pasażerom zapiąć pasy. Parę sekund później prom zwolnił; po minucie przechylił się i zaczął opadać w tempie – jak powiedziano Halowi – tysiąca metrów na minutę. Teraz, gdy byli bliżej powierzchni, Hal mógł zobaczyć, że Sigmen City (przed dziesięcioma laty, do czasu przeniesienia stolicy Unii Haijacu z Rek na Islandii, zwane Montrealem) nie jest jednorodną plamą blasku. Tu i ówdzie dostrzec można było ciemne miejsca, prawdopodobnie parki, i cienką czarną wstążkę Rzeki Proroka (niegdyś Świętego Wawrzyńca). *Pali* Sigmen City pięły się na pięćset metrów w niebo; każdy dom zamieszkiwało co najmniej sto tysięcy istot, a na terenie właściwego miasta stało trzysta takich wielkich wież.

W centrum metropolii rozciągał się plac zajęty przez budynki rządowe, z których żaden nie miał więcej niż pięćdziesiąt pięter. Tworzyły Uniwersytet Sigmen City, gdzie pracował Hal Yarrow.

Mieszkał natomiast w pobliskim *pali* i tam pojechał pasem po wyjściu z promu. Po drodze wróciło uczucie, którego nie doznawał – przynajmniej świadomie – przez wszystkie lata życia, do czasu wyprawy badawczej do Rezerwatu Zatoki Hudsona. Było to wrażenie obecności tłumu

– gęsto stłoczonej, rozpychającej się, potrącającej i niekoniecznie pachnącej masy ludzi.

Napierali na niego bez świadomości, że jest czymś więcej niż tylko kolejnym ciałem, kolejnym człowiekiem bez twarzy, chwilową przeszkodą na drodze do miejsca przeznaczenia.

– Wielki Sigmenie! – mruknął. – Musiałem być głuchy, głupi i ślepy, żeby tego nie odczuwać! Nienawidzę ich!

Zrobiło mu się gorąco z poczucia winy i wstydu. Spojrzał w twarze otaczających go ludzi, jakby mogli zobaczyć jego nienawiść, jego poczucie winy, jego skruchę. Ale nic nie widzieli. Dla nich był po prostu jeszcze jednym człowiekiem, którego podczas spotkania należało traktować z pewnym szacunkiem, jako profesjonalistę. Ale nie tutaj, nie na pasie, niosącym ten potok mięsa wzdłuż arterii komunikacyjnej. Tutaj był tylko kolejnym tobołkiem krwi i kości, scementowanych przez tkanki i opakowanych w skórę. Jednym z nich, a zatem nikim.

Wstrząśnięty tym nagłym odkryciem, pospiesznie zeskoczył z pasa. Chciał uciec od tych ludzi, bo czuł, że winien im jest przeprosiny. I zarazem miał ochotę rzucić się na nich z pięściami.

Parę kroków od pasa i ponad nim wisiała plastikowa markiza *pali* numer trzydzieści, bloku mieszkalnego pracowników uniwersytetu. Po wejściu do środka nie poczuł się lepiej, choć przeminęło wrażenie, że powinien przeprosić ludzi na pasie. Nie mogli wiedzieć, że nagle poczuł odrazę. Nie widzieli zdradliwego rumieńca na jego twarzy.

A jeśli widzieli? Bzdura, pomyślał, ale przygryzł wargę. Mało prawdopodobne, by ci na pasie mogli odgadnąć jego emocje. Chyba że im też przeszkadzał ścisk i że sami odczuwali podobną niechęć. A jeśli tak, to kim byli, żeby go potępiać?

Teraz znajdował się wśród swoich, mężczyzn i kobiet ubranych w workowate uniformy profesjonalistów, wykonane z tworzywa, o niewyszukanym kroju, ze znakiem uskrzydłonej stopy na lewej piersi. Jedyna różnica między przedstawicielami odmiennych płci polegała na tym, że kobiety nosiły na spodniach długie do ziemi spódnice i siatki na włosach, a parę miało woalki. Woalki nie były rzadkością, ale ostatnio wychodziły z użycia; zakładały je przeważnie starsze kobiety albo te bardziej konserwatywne. Niegdyś usankcjonowane obyczajem, teraz przyczepiały kobiecie etykietkę staromodnej. Działo się tak wbrew nawoływaniom głosicieli prawdy, którzy wychwalali woalki i lamentowali, że odchodzą w przeszłość.

Hal przywitał się z paroma mijanymi osobami, ale nie zatrzymał się, żeby porozmawiać. Z daleka zobaczył doktora Olvegssena, szefa swojego wydziału. Przystanął, żeby sprawdzić, czy Olvegssen nie zechce z nim pogadać. Postąpił tak tylko dlatego, że doktor był tutaj jedyną osobą, która wymagała okazywania szacunku.

Ale Olvegssen najwidoczniej był zajęty, bo tylko pomachał ręką, zawołał: „Aloha!” i poszedł dalej. Był starszym człowiekiem; często używał zwrotów popularnych w czasach swojej młodości.

Yarrow odetchnął z ulgą. Choć wcześniej miał ochotę przedyskutować wyniki badań prowadzonych wśród francuskojęzycznych tubylców z Rezerwatu, nagle stwierdził, że nie chce z nikim rozmawiać. Nie teraz. Może jutro. Ale nie teraz.

Czekał przy drzwiach windy, a dozorca ustalał kolejność, w jakiej mają wsiadać pasażerowie. Kiedy drzwi się rozsunęły, podał Halowi jego klucz.

– Ty pierwszy, *abba* – powiedział.

– Niech cię Sigmen błogosławi – odparł Hal. Wszedł do kabiny i stanął pod ścianą blisko drzwi. Dozorca zaczął ustawiać innych według starszeństwa.

Czekanie nie trwało długo; dozorca wykonywał swoją pracę od lat i znał prawie wszystkich z widzenia. Mimo to musiał przebrnąć przez formalności. Raz na jakiś czas któryś z mieszkańców był awansowany lub dymisjonowany. Gdyby popełnił błąd, nie rozpoznając zmiany w statusie, natychmiast postawiono by go do raportu. Skoro wytrwał tak długo na tym stanowisku, to znaczy, że doskonale zna się na swojej pracy.

Czterdzieści osób stłoczyło się w kabinie, dozorca potrząsnął kastanietami i drzwi się zamknęły. Winda ruszyła tak szybko, że pod wszystkimi ugięły się kolana, i stopniowo jeszcze zwiększała prędkość; była ekspresowa. Na trzydziestym piętrze zatrzymała się automatycznie. Drzwi się otworzyły, ale nikt nie wysiadł. Mechanizm optyczny zarejestrował ten fakt i zamknął drzwi. Kabina ruszyła w górę.

Zatrzymywała się jeszcze trzy razy, ale nadal nikt jej nie opuszczał. Dopiero potem pasażerów ubył o połowę. Hal odetchnął głęboko – już na ulicach i na parterze było tłoczno, za to w windzie panował wręcz niewiarygodny ścisk. Jeszcze dziesięć pięter. Podróż przebiegała w zupełnym milczeniu; wszyscy wydawali się skupieni na dobiegającej z głośnika w suficie przemowie głosiciela prawdy. Wreszcie drzwi rozsunęły się na piętrze Hala.

Korytarze miały szerokość pięciu metrów i o tej porze dnia zapewniały dość miejsca. W zasięgu wzroku nie było nikogo, co sprawiło Halowi dużą przyjemność. Gdyby wykręcił się od parominutowej pogawędki z sąsiadami, zostałby uznany za dziwaka. To oznaczałoby plotki, a plotki z kolei mogły spowodować kłopoty – co najmniej tłumaczenie się przed *asptem* jego piętra. Rozmowę od serca, kazanie i Zwiastun wie, co jeszcze.

Przeszedł sto metrów. I przystanął przed drzwiami swojego *puka*.

Serce nagle zaczęło łomotać mu w piersiach, a ręce zadygotały. Miał ochotę się odwrócić i zjechać windą na dół.

Zganił się w duchu za te bezsensowne odczucia. Nie powinien reagować w ten sposób.

Poza tym Mary nie będzie w domu jeszcze przez co najmniej piętnaście minut.

Pchnął drzwi (na poziomie profesjonalistów oczywiście nie było żadnych zamków) i wszedł. Ściany zaczęły się jarzyć i po dziesięciu sekundach zrobiło się zupełnie jasno. Jednocześnie na ścianie na wprost wejścia zbudził się do życia pełnowymiarowy *tridi*, z którego buchnęły głosy

aktorów. Hal podskoczył. „Wielki Sigmenie!”-jęknął i pospiesznie wyłączył odbiornik. Wiedział, że Mary zostawiła go na czuwaniu, gotowy do włączenia natychmiast po jego wejściu. A przecież tysiące razy powtarzał jej, że to go irytuje. Nie mogła o tym nie pamiętać. Co znaczyło, że albo robiła to specjalnie, albo nieświadomie.

Wzruszył ramionami i powiedział sobie, że od tej chwili nie będzie poruszać tej kwestii. Jeśli Mary dojdzie do wniosku, że *tridi już* mu nie przeszkadza, może zapomni zostawiać je włączone.

Ale z drugiej strony może się też domyślić, dlaczego tak nagle przestał na to narzekać. Mogła dalej nastawiać *tridi* w nadziei, że wreszcie się zdenerwuje, straci panowanie i zacznie na nią krzyczeć. I po raz kolejny wygra rundę, bo rozdrażni go swoim milczeniem i miną męczennicy, i wprawi w jeszcze większą złość.

Potem, oczywiście, spełni swój obowiązek, chociaż będzie to dla niej bolesne. Pod koniec miesiąca pójdzie do *aspta* bloku i złoży raport. A to będzie oznaczało następny czarny krzyżyk w jego Wskaźniku Moralności. Będzie potem musiał wymazywać te krzyżyki kosztem ogromnego wysiłku. Był już tym naprawdę zmęczony. Oznaczało to stratę czasu, który mógłby poświęcić czemuś – czy ośmieli się przyznać to choćby w myślach? – bardziej wartemu zachodu.

Gdyby jej powiedział, że w ten sposób uniemożliwia mu awans, lepsze zarobki, przeniesienie do większego *puka*, zapytałaby go smutnym, pełnym wyrzutów głosem, czy naprawdę chce, żeby popełniła akt nierealności. Czyżby naprawdę prosił, żeby skłamała przez przemilczenie czy zaniedbanie obowiązku? Przecież dobrze wie, że wtedy jej, ale także jego jaźń znalazłby się w poważnym niebezpieczeństwie. Nigdy nie ujrzeliby olśniewającego oblicza Zwiastuna, nigdy... i tak dalej, i tak dalej. A Hal, bezradny, nie mógłby jej nic odpowiedzieć.

Zawsze go pytała, dlaczego jej nie kocha. Kiedy zapewniał, że kocha, powtarzała, że to nieprawda. Potem on z kolei pytał Mary, czy myśli, że ją okłamuje. Gdyby nazwała go kłamcą, musiałby złożyć na nią raport u blokowego *aspta*. Wtedy zupełnie bez sensu wybuchała płaczem i mówiła, że teraz już dobrze wie, że jej nie kocha. Bo inaczej nie przyszłoby mu na myśl, żeby na nią skarżyć *asptowi*.

Kiedy zauważał, że dla niej było *shib* donosić na niego, wywoływał tym dalsze potoki łez. Zaklął i obiecał sobie, że już więcej nie da się tak omotać.

Hal Yarrow minął pokój, mierzący pięć na trzy metry, i wszedł do jedynej poza tym – pomijając niewymowną – pomieszczenia w ich mieszkaniu, do kuchni, trzy na dwa i pół metra. Opuścił kuchenkę spod sufitu, wybrał właściwy kod na tablicy kontrolnej i wrócił do pokoju. Zdjął bluzę, zwinął ją w kłębek i wepchnął pod krzesło. Wiedział, że Mary znajdzie ją tam i zrugą go za bałagan, ale miał to w nosie. W tej chwili był zbyt zmęczony, by sięgnąć pod sufit i ściągnąć wieszak.

Z kuchni dobiegło ciche popiskiwanie. Zupa była gotowa.

Hal postanowił odłożyć przeglądanie korespondencji na po obiedzie. Poszedł do

niewymownej, by umyć twarz i ręce. Mechanicznie wymamrotał modlitwę ablucji:

– Obym zmył nierealność tak łatwo, jak woda zmywa ten brud, jeśli taka wola twoja, Sigmencie.

Po myciu wcisnął guzik przy portrecie Sigmena nad umywalką. Przez sekundę patrzyło na niego oblicze Zwiastuna: pociągłe, wręcz chude, ze strzechą rudych włosów, z wielkimi odstającymi uszami i grubymi brwiami koloru słomy, które spotykały się nad wielkim haczykowatym nosem o rozdętych nozdrzach. Zwiastun miał bladoniebieskie oczy, rozłożystą pomarańczowo-czerwoną brodę, usta cienkie jak ostrze noża. Po chwili twarz zaczęła blednąć, rozmywać się i Zwiastun zniknął, zastąpiony przez taflę lustra.

Halowi wolno było patrzeć w lustro tylko przez czas potrzebny na uczesanie włosów i upewnienie się, że ma czystą twarz. Nic nie powstrzymywało go od przekraczania wyznaczonego limitu, ale nigdy tego nie robił. Miał wiele przywar, ale próżność do nich nie należała.

Przynajmniej tak sobie wmawiał.

Tak, ociągał się może odrobinę zbyt długo. Zdążył zobaczyć szerokie ramiona wysokiego mężczyzny o twarzy trzydziestolatka. Jego włosy, jak czupryna Zwiastuna, były rude, ale ciemniejsze, prawie brązowe. Czoło miał wysokie i szerokie, brwi ciemnobrązowe; szeroko rozstawione oczy były ciemnoszare, nos prosty i normalnej wielkości, górna warga ciut za długa, usta pełne, a szczęka odrobinę zbyt wydatna.

Hal znów nacisnął guzik. Srebro lustra zmatowiało, przecięły je smugi jasności; pociemniało i zastygło w portrecie Sigmena. Przez mgnienie oka Hal widział swoje odbicie nałożone na twarz Sigmena. Potem jego rysy zatarły się, zostały wchłonięte przez Zwiastuna. Lustro znikło i został tylko portret.

Hal przeszedł z niewymownej do kuchni. Sprawdził, czy drzwi są zamknięte (drzwi kuchenne i drzwi niewymownej były jedynymi, które można było zamykać na klucz), bo nie chciał, żeby Mary zaskoczyła go przy jedzeniu. Uchylił drzwiczki piekarnika, postawił pojemnik na blacie stolika opuszczonego ze ściany i odepchnął kuchenkę pod sufit. Potem otworzył pudełko i zjadł wszystko, co w nim było. Kiedy wyrzucił plastikowy pojemnik do zsypu w ścianie, wrócił do niewymownej.

Myjąc ręce usłyszał, że Mary woła go po imieniu.

Hal zawahał się, zanim odpowiedział, choć sam nie wiedział dlaczego; nawet się nad tym nie zastanawiał. Wreszcie rzekł:

– Tutaj, Mary.

– Och! Oczywiście, wiedziałam, że tam będziesz, skoro wróciłeś do domu. Gdzież indziej mógłbyś przesiadywać?

Bez uśmiechu wszedł do pokoju.

– Musisz być taka złośliwa? Tak mnie witasz po długiej nieobecności?

Mary była wysoka, tylko o pół głowy niższa od Hala. Miała jasnoniebieskie oczy i jasne włosy związane w ciężki kok na karku. Regularne i subtelne rysy były zeszepeczone przez zbyt wąskie wargi. Workowata koszula z wysoką stójką i luźna, długa do ziemi spódnica nie pozwalały ocenić jej figury. Nawet Hal nie wiedział, jak jego żona wygląda bez ubrania.

Powiedziała:

– Nie jestem złośliwa, Hal. Jestem tylko realistką. Gdzież indziej mógłbyś być? Wystarczyło, żebyś powiedział: „Masz rację”. A zwykle bywasz tam – wskazała na drzwi niewymownej – kiedy wracam do domu. Wydaje się, że spędzasz cały czas tam albo nad swoimi badaniami. Zupełnie jakbyś próbował ukryć się przede mną.

– Udany powrót do domu.

– Nie pocałowałaś mnie.

– Ach, tak. To mój obowiązek. Zapomniałem.

– To nie powinno być obowiązkiem – powiedziała. – Tylko przyjemnością.

– Trudno czerpać radość z całowania ust, które warczą.

Ku jego zdumieniu Mary, zamiast odszczeknąć się gniewnie, zaczęła płakać. Natychmiast ogarnął go wstyd.

– Przepraszam. Ale musisz przyznać, że nie byłaś w najlepszym nastroju, kiedy weszłaś.

Podszedł do niej i spróbował ją objąć, ale Mary odwróciła się plecami. Zdołał jednak pocałować ją w kącik ust, gdy odwróciła głowę.

– Nie chcę, żebyś to robił tylko dlatego, że jest ci mnie żal czy też z obowiązku – powiedziała. – Wolałabym, żebyś to robił z miłości.

– Ależ ja cię kocham – powtórzył chyba po raz tysięczny od dnia ślubu. Nawet w jego własnych uszach te słowa zabrzmiały nieprzekonująco. A jednak, powiedział sobie, kochał ją Musiał.

– Okazujesz to w niezwykle miły sposób.

– Zapomnijmy o tym, co się stało, i zacznijmy od początku – zaproponował. – Proszę.

Zaczaj ją całować, ale Mary odsunęła się od niego.

– Do D, o co ci chodzi? – zapytał.

– Już obdarzyłeś mnie powitalnym pocałunkiem. Nie wolno ci okazywać zmysłowości. Nie czas ani miejsce po temu.

Wyrzucił ręce w powietrze.

– Kto okazuje zmysłowość? Chciałem zachować się tak, jakbyś dopiero co stanęła w drzwiach. Co jest gorsze, jeden pocałunek więcej niż należy czy kłótnia? Twój problem, Mary, polega na tym, że myślisz w kategoriach dosłownych. Nie wiesz, że Zwiastun nie wymaga, by dosłownie traktować jego zalecenia? Sam powiedział, że okoliczności niekiedy usprawiedliwiają modyfikacje!

– Tak, i powiedział też, że musimy wystrzegać się usprawiedliwiania siebie w odchodzeniu od jego praw. Przede wszystkim musimy naradzić się *z asptem* co do realności naszego zachowania.

– Och, naturalnie! Zadzwońię do naszego dobrego anioła stróża *pro tempore* i zapytam go, czy wolno mi jeszcze raz cię pocałować!

– To jedyne bezpieczne wyjście.

– Wielki Sigmenie! – krzyknął. – Nie wiem, śmiać się czy płakać! Wiem tylko, że cię nie rozumiem! I nigdy nie zrozumie!

– Pomódl się do Sigmena. Poproś go, aby zesłał ci realność. Wtedy nie będziemy mieć żadnych kłopotów.

– Sama się pomódl. Żeby się kłócić, trzeba dwojga. Jesteś tak samo winna, jak ja.

– Porozmawiam z tobą później, kiedy ochłoniesz i przestaniesz się złościć. Muszę się umyć i najeść.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Będę zajęty do czasu udania się na spoczynek. Muszę załatwić sprawy paścielne, zanim złożę raport Olvegssenowi.

– A ja założę się, że jesteś z tego powodu uszczęśliwiony. Miałam nadzieję na miłą rozmowę. Koniec końców, nie powiedziałeś mi ani słowa o swoim wyjeździe do rezerwatu.

Nie odpowiedział.

– Nie musisz być taki zacięty! – zawołała.

Zdjął ze ściany portret Sigmena i rozłożył go na krześle. Potem ściągnął spod sufitu rzutnik, wsunął do niego list i włączył kontrolki. Potem założył gogle deszyfrujące, wetknął słuchawkę w ucho, usadowił się na krześle i wyszczerzył zęby. Mary musiała widzieć jego uśmiech i prawdopodobnie zastanawiała się, co go wywołało, jednak nie zapytała. Gdyby to zrobiła, nie dostałaby odpowiedzi. Nie mógłby jej powiedzieć, że bawi go siedzenie na portrecie Zwiastuna. Byłaby tym zgorziona albo udawałaby, że jest – nie był pewien jej reakcji. Nigdy nie miała poczucia humoru, a on nie zamierzał mówić jej niczego, co mogłoby obniżyć jego W M.

Hal uruchomił projektor i usadowił się wygodniej, choć nadal był dość spięty. Na ścianie

naprzeciwko ukazało się powiększenie filmu. Mary, nie mając gogli, widziała tylko pustą ścianę. On jednocześnie słyszał nagrany głos.

Najpierw, jak zawsze w przypadku pism oficjalnych, pojawiła się twarz Zwiastuna. Głos oznajmił:

– Chwała Isaacowi Sigmenowi, w którym mieszka rzeczywistość i z którego płynie wszelka prawda! Niechaj pobłogosławi nas, swoich wyznawców, a pomiesza szeregi swoich wrogów, uczniów nie *shib* Wstecznika!

Głos ucichł i nastąpiła przerwa w projekcji, żeby adresat listu mógł zmówić własną modlitwę. Następnie na ścianie błysnęło jedno słowo – *wtyk* – i spiker kontynuował.

– Gorliwy wyznawco, Halu Yarrowie! Oto pierwsze z listy słów, które pojawiły się ostatnio w słowniku mówiących po amerykańsku obywateli Unii. Słowo to – *wtyk* – pochodzi z Departamentu Polinezji i szybko upowszechnia się wśród amerykańskojęzycznych mieszkańców Departamentów Ameryki Północnej, Australii, Japonii i Chin. Co dziwne, nie wystąpiło jeszcze w Departamencie Ameryki Południowej, która, jak bez wątpienia wiecie, sąsiaduje z Ameryką Północną.

Hal Yarrow uśmiechnął się, choć był czas, kiedy tego typu stwierdzenia wprawiały go w złość. Kiedy nadawcy tych listów uświadomią sobie wreszcie, że jest nie tylko człowiekiem wysoko, ale i szeroko wykształconym? W tym szczególnym przypadku nawet półanalfabeci z klas niższych powinni wiedzieć, gdzie leży Ameryka Południowa, ponieważ Zwiastun wiele razy nawiązywał do tego kontynentu w swoim *Zachodnim Talmudzie* i w *Realnym świecie i czasie*. Z drugiej strony, nauczyciele ze szkół dla nieprofesjonalistów mogli nigdy nie wpaść na pomysł, by pokazać uczniom położenie Ameryki Południowej, nawet jeśli sami je znali.

– Słowo *wtyk* – kontynuował spiker – po raz pierwszy wystąpiło na wyspie Tahiti. Wyspa ta leży w centrum Departamentu Polinezji i jest zamieszkała przez potomków Australijczyków, którzy skolonizowali ją po wojnie apokaliptycznej. Tahiti służy obecnie jako wojskowa baza kosmiczna.

Słowo *wtyk* najwyraźniej rozprzestrzeniło się stamtąd, ale jego stosowanie ograniczało się głównie do kręgów nieprofesjonalistów. Wyjątkiem był profesjonalny personel kosmiczny. Odnosimy wrażenie, że istnieje pewien związek między zaistnieniem słowa a faktem, że pierwsi – o ile nam wiadomo – użyli go podróżnicy kosmiczni.

Głosiciele prawdy poprosili o zezwolenie na używanie tego słowa na antenie, ale wniosek został odrzucony i skierowany do dalszego rozpatrzenia.

Samo słowo, według dzisiejszego stanu wiedzy, używane jest w formie przymiotnika, rzeczownika i czasownika. Ma zasadniczo zabarwienie pejoratywne, bliskie, ale nie równoważne lingwistycznie z akceptowanymi słowami „fuszerowany” i „niefartowny”. W dodatku odnosi się do czegoś dziwnego, oderwanego od rzeczywistości, jednym słowem – nierealnego.

Tym samym poleca się przebadać słowo *wtyk* zgodnie z planem numer ST-LIN-476, chyba że otrzymacie rozkaz o wyższym numerze priorytetu. W obu przypadkach macie odpowiedzieć na to pismo nie później niż do dwunastego dnia Płodności 550 p. S.

Hal przejrzał list do końca. Na szczęście trzy inne słowa miały niższy priorytet. Nie trzeba było wykonywać niemożliwego: badać czterech słów na raz.

Ale będzie musiał wyjechać rano zaraz po zameldowaniu się u Olvegssena. Co oznaczało, że po pierwsze, może się nie trudzić rozpakowywaniem rzeczy, a po drugie, będzie nosił to samo ubranie, którego pewnie nie zdąży wyprać.

Co nie znaczy, że nie chciał się wyrwać. Po prostu był zmęczony i wolałby odpocząć przed wyjazdem.

Ciekawe, jak odpocząć? – zapytał się w duchu, kiedy zdjął gogle i popatrzył na Mary.

Mary wyłączyła *tridi* i teraz pochylała się, żeby wysunąć szufladę ze ściany. Zobaczył, że wyjmuje strój do spania. Jak przez wiele poprzednich nocy, poczuł, że robi mu się niedobrze.

Mary odwróciła się i dostrzegła jego minę.

– O co chodzi?

– O nic.

Przeszła na drugą stronę pokoju (tylko parę kroków, co przypomniało mu, ile kroków mógł robić w rezerwacie). Podała mu zmięty kłęb cienkiej jak bibułka garderoby.

– Nie sędzę, by Olaf je wyprał. Ale to nie jego wina. Dejonizer nie działa. Zostawił notkę, że wezwał technika. Ale wiesz, ile czasu zajmuje im naprawienie czegokolwiek.

– Sam to zrobię, gdy będę miał czas. – Powąchał ubranie. – Wielki Sigmenie! Od kiedy zepsuta jest ta pralka?

– Od twojego wyjazdu.

– Ależ ten człowiek się poci! Musi żyć w wiecznym strachu. Nic dziwnego. Ja też się boję starego Olvegssena.

Mary poczerwieniała.

– Tyle razy się modliłam, żebyś nie wymawiał imienia Zwiastuna nadaremnie. Kiedy skończysz z tym nierealnym nawykiem? Nie wiesz...?

– Tak – przerwał jej obcesowo. – Wiem, że za każdym razem, gdy to robię, jeszcze dalej odsuwam Koniec Czasu. I co z tego?

Mary cofnęła się ze strachu przed jego podniesionym tonem i wykrzywionymi wargami.

– „I co z tego?” – powtórzyła z niedowierzaniem. – Hal, chyba nie mówisz poważnie?

– Oczywiście, że nie mówię poważnie! – powiedział, oddychając głęboko. – Oczywiście, że nie! Jak mógłbym? To tylko dlatego, że stale przypominasz mi o moich wadach.

– Sam Zwiastun rzekł, że zawsze musimy przypominać naszemu bratu o jego nieralnościach.

– Nie jestem twoim bratem. Jestem twoim mężem. Choć często, tak jak teraz, tego żałuję.

Pełna wyższości i dezaprobaty mina Mary znikła. Jej oczy wypełniły się łzami, a usta i broda zadrżały.

– Na litość Sigmiena – powiedział. – Nie płacz.

– Co mogę na to poradzić – wyszlochała – kiedy mój własny mąż, moje ciało i krew, zjednoczone ze mną przez Realny Paściół, rzuca obelgi na moją głowę? A przecież nie zrobiłam nic, by na nie zasłużyć.

– Nic z wyjątkiem donoszenia na mnie *asptowi* przy każdej nadarzającej się okazji. – Odwrócił się od niej i ściągnął łóżko ze ściany. – Podejrzewam, że pościel będzie śmierdziała Olafem i jego tłustą żoną.

Podniósł prześcieradło, powąchał je i aż się wstrząsnął. Zdarł resztę pościeli i rzucił ją na podłogę. Za nimi poleciał jego strój nocny.

– Do D z nimi! Śpię w ubraniu. I ty uważasz się za żonę? Czemu nie zabierzesz naszych rzeczy do sąsiada i tam ich nie upierzesz?

– Wiesz, dlaczego. Nie mamy pieniędzy, żeby zapłacić za korzystanie z ich pralki. Gdybyś dostał wyższy W M, byłoby nas na to stać.

– Jak mogę dostać wyższy W M, kiedy ty lecisz z jęzorem do *aspta* za każdym razem, gdy popełnię jakieś drobne wykroczenie?

– Przecież to nie moja wina! – zawołała z oburzeniem. – Jaką byłabym Sigmenitką, gdybym skłamała dobremu *abbie* i powiedziała mu, że zasługujesz na lepszy W M? Nie mogłabym żyć ze świadomością, że byłam tak skandalicznie nierealna i że Zwiastun na mnie patrzył. Przecież kiedy jestem z *asptem*, czuję, jak przewiercają mnie na wylot niewidoczne oczy Isaaca Sigmiena, odczytujące moją każdą myśl. Nie mogłabym! A ty powinieneś się wstydić, skoro chcesz, żebym to zrobiła!

– Niech cię D! – Odwrócił się i poszedł do niewymownej.

W maleńkim pomieszczeniu zrzucił ubranie i wszedł pod trzydziestosekundowy, przynależny mu strumień wody. Potem stanął przed dmuchawą, żeby się osuszyć. Następnie energicznie wyszczotkował zęby, jak gdyby próbował zdrapać straszliwe słowa, które wypowiedział. Jak zwykle, zaczynał odczuwać wstyd. A wraz z nim strach przed tym, co Mary powie *asptowi*, co on powie *asptowi* i co się stanie później. Jego WM zostanie prawdopodobnie obniżony do tego stopnia, że będzie skończony. Jeśli tak się stanie, jego budżet, już napięty, pęknie z hukiem. A on wpadnie w długi większe niż kiedykolwiek, nie wspominając, że zostanie pominięty podczas kolejnego okresu awansów.

Rozmyślając o tych możliwościach, ubrał się i wyszedł z maleńkiego pomieszczenia. Mary otarła się o niego w drodze do niewymownej. Zrobiła zdziwioną minę, widząc go w ubraniu, zatrzymała się i powiedziała:

– Dlaczego rzuciłeś nocne rzeczy na podłogę? Hał, chyba nie robisz tego poważnie!

– Jak najbardziej. Nie będę spać w tych przepoconych łachach Olafa.

– Hal, proszę, żebyś nie używał tego słowa. Wiesz, że nie znoszę wulgarności.

– Proszę o wybaczenie. Wolisz, żebym użył słowa islandzkiego albo hebrajskiego? W obu językach są określenia na tę samą ohydłą ludzką wydzielinę: pot!

Mary przycisnęła ręce do uszu, wbiegła do niewymownej i zatrzasnęła drzwi.

Hal rzucił się na cienki materac i zakrył oczy ramieniem, żeby nie przeszkadzało mu światło. Po pięciu minutach usłyszał skrzypnięcie drzwi (wymagały naoliwienia, ale na razie ani ich budżet, ani budżet Olafe Marconisa nie wytrzymałby zakupu smaru). A jeśli jego WM polecą w dół, Marconisowie wniosą podanie o przeniesienie do innego mieszkania. Jeśli znajdą jedną czy drugą, nawet budzącą zastrzeżenia parę (prawdopodobnie świeżo awansowaną z niższej klasy profesjonalnej), natychmiast się wyprowadzą.

Och, Sigmenie, pomyślał, czemu nie cieszę się tym, co mam? Czemu nie mogę w pełni zaakceptować rzeczywistości? Czemu muszę mieć w sobie tyle ze Wstecznika? Powiedz mi, powiedz!

Usłyszał głos Mary, która kładła się do łóżka.

– Hal, nie myślisz chyba robić tego naprawdę?

– Niby czego? – zapytał, choć wiedział, o co jej chodzi.

– Spać w dziennym ubraniu.

– Dlaczego nie?

– Wiesz doskonale, dlaczego!

– Nie, nie wiem – powtórzył. Zdjął rękę z oczu i wpatrzył się w kompletną ciemność. Mary, jak było przykazane, zgasiła światło przed położeniem się do łóżka.

Jej ciało bez ubrania połyskiwałoby bielą w świetle latarni czy neonu, pomyślał. A jednak nigdy nie widziałem jej ciała, nigdy nie widziałem jej nawet na wpół rozebranej. Nigdy nie widziałem ciała żadnej kobiety, z wyjątkiem tego na zdjęciu, które pokazał mi ten człowiek w Berlinie, a ja rzuciłem na nie głodne i przerażone spojrzenie, by zaraz uciec co sił w nogach. Ciekawe, czy Uzzici go znaleźli i czy zrobili mu to, co robią ludziom, którzy tak okropnie wypaczają rzeczywistość?

Tak okropnie... znów widział to zdjęcie, miał je przed oczami, jak wówczas, w pełnym świetle Berlina. I widział człowieka, który próbował mu je sprzedać, wysokiego, przystojnego młodzieńca o jasnych włosach i szerokich ramionach, mówiącego berlińską odmianą islandzkiego.

Białe ciało, lśniące...

Mary milczała od kilku minut, ale słyszał jej oddech. Potem odezwała się:

– Hal, czy nie narobiłeś już dość złego od powrotu do domu? Musisz zmuszać mnie, żebym powiedziała *asptowi* jeszcze więcej?

– A niby co takiego zrobiłem? – zapytał zapalczywie, ale uśmiechnął się przy tym lekko, bo miał zamiar zmusić ją do mówienia bez ogródek: niech powie wprost i poprosi. Wiedział, że nigdy tego nie zrobi, ale chciał, żeby się posunęła jak najdalej.

– Chodzi o to, czego nie zrobiłeś.

– Co masz na myśli?

– Wiesz.

– Nie, nie wiem.

– Wczorajem przed wyjazdem do rezerwatu powiedziałeś, że jesteś zbyt zmęczony. To nie było realne usprawiedliwienie, ale nie powiedziałam nic *asptowi*, ponieważ wypełniłeś swój tygodniowy obowiązek. Ale nie było cię dwa tygodnie, a teraz...

– Tygodniowy obowiązek! – wybuchnął, opierając się na łokciu. – Tygodniowy obowiązek! Naprawdę tak o tym mylisz?

– Np wiesz, Hal? A jak inaczej mam myśleć? – rzuciła ze zdumieniem.

Z jękiem opadł na łóżko i wbił oczy w ciemność.

– A niby po co mamy to robić? Jaki z tego pożytek? No, po co? Jesteśmy małżeństwem już ponad dziewięć lat; nie mamy dzieci i nigdy nie będziemy ich mieć. Nawet złożyłem podanie o rozwód. Czemu mamy dalej zachowywać się jak para robotów na *tridf*!

Mary głośno wciągnęła powietrze. Mógł wyobrazić sobie grozę malującą się na jej twarzy.

Po chwili, która zdawała się przedłużać jej szokiem, powiedziała:

– Musimy, bo musimy. Co innego można zrobić? Chyba nie sugerujesz, że...?

– Nie, nie – zapewnił spiesznie, myśląc o tym, co się stanie, jeśli Mary powie *asptowi*. Z innymi rzeczami mógłby sobie poradzić, ale najmniejsza aluzja, że mąż odmawia wykonania tego konkretnego nakazu Zwiastuna... Nie śmiał o tym myśleć. Miał prestiż nauczyciela akademickiego, *puka* z odrobiną miejsca i szansę na awans. Straci to wszystko, jeśli...

– Oczywiście, że nie – powtórzył. – Wiem, musimy próbować mieć dzieci, nawet jeśli jesteśmy skazani na niepowodzenie.

– Lekarze mówią, że nie ma fizycznych przeszkód, ani z twojej, ani z mojej strony – oznajmiła może po raz tysięczny w ciągu pięciu lat. – Z tego wynika, że jedno z nas sprzeciwia się rzeczywistości, wypiera się realnej przyszłości. I wiem, że to nie mogę być ja. Nie mogę!

– „Ciemna jaźń skrywa zbyt wiele przed jasną jaźnią” – zacytował Hal *Zachodni Talmud*. – „Obecny w nas Wstecznik bez naszej wiedzy zwodzi nas na manowce”.

Nic bardziej nie rozwścieczało Mary, która zawsze posiłkowała się cytatami, niż to, że Hal czasami robił to samo. Ale teraz, zamiast rozpocząć tyradę, krzyknęła:

– Hal, boję się! Nie rozumiesz, że w przyszłym roku nasz czas dobiegnie końca? Że staniemy przed Uzzitami, którzy poddadzą nas następnemu testowi? A jeśli go nie zdamy, jeśli odkryją, że jedno z nas odmawia przyszłości naszym dzieciom... jasno dali do zrozumienia, co się stanie!

Sztuczne zapłodnienie przez dawcę było cudzołóstwem. Klonowanie zostało zakazane przez Sigmęna, ponieważ budziło odrazę.

Po raz pierwszy tego wieczoru Hala ogarnęło współczucie dla Mary. Znał lęk, który wprawiał w drżenie jej ciała i całe łóżko.

Ale nie mógł pozwolić, żeby się o tym dowiedziała, bo wtedy załamałaby się kompletnie, jak parę razy w przeszłości. Musiał przez całą noc składać kawałki i łączyć je na nowo.

– Nie sądzę, żeby było czym się martwić. Bądź co bądź, jesteśmy szanowanymi i potrzebnymi profesjonalistami. Nie zechcą marnować naszego wykształcenia i talentów przez posyłanie nas do P. Myślę, że jeśli nie zajdziesz w ciążę, dadzą nam przedłużenie. Przecież mają takie możliwości. Sam Zwiastun mówi, że każdy przypadek musi być rozpatrywany indywidualnie, nie według prawa absolutnego. A my...

– A jak często tak się dzieje? – pisała przenikliwie. – Jak często? Wiesz tak samo jak ja, że zawsze stosowane jest prawo absolutne!

– O niczym takim nie wiem – rzekł uspokajająco. – A ty jesteś naiwna. Masz rację, jeśli opierasz się na tym, co mówią głosiciele prawdy. Ale ja słyszałem co nieco o hierarchii. Wiem, że takie rzeczy jak pokrewieństwo, przyjaźń, prestiż i zamożność albo przydatność dla Paściola mogą przyczynić się do złagodzenia praw.

Mary usiadła na łóżku.

– Próbujesz mi wmówić, że można przekupić Urielitów? – zapytała z grozą w głosie.

– Nigdy czegoś takiego nie mówiłem i przysięgam na utraconą rękę Sigmęna, że nawet mi się nie śniła taka podła nierealność. Nie, mówię tylko, że przydatność dla Paściola czasami owocuje wyrozumiałością albo daniem drugiej szansy.

– Znasz kogoś, kto by nam pomógł? – zapytała Mary, a Hala uśmiechnął się w ciemności. Mary mogła czuć się wstrząśnięta jego otwartością ale była praktyczna i nie zawahałaby się przed wykorzystaniem wszelkich środków, byle wyciągnąć ich z kłopotów.

Milczeli przez kilka minut. Mary oddychała z trudem, jak osaczone zwierzę.

Wreszcie Hala powiedział:

– Prawdę mówiąc, nie znam nikogo wpływowego prócz Olvegssena. A on robił uwagi na temat mojego W M, chociaż pochwała moją pracę.

– A widzisz! To W M! Gdybyś tylko się postarał, Hala...

– Gdybyś tylko tak bardzo nie paliła się do tego, żeby mi zaszkodzić – dodał z goryczą.

– Hala, nie mogę nic na to poradzić, skoro skłaniasz się tak łatwo ku nierzeczywistości! Nie lubię tego, co robię, ale to mój obowiązek! A ty ganisz mnie za wypełnianie powinności. To następne złe posunięcie...

– O którym będziesz zmuszona powiadomić *aspta*. Tak, wiem. Nie zaczynajmy tego po raz tysięczny.

- To ty zacząłeś – powiedziała zgodnie z prawdą.
- Wydaje się, że już tylko o tym możemy rozmawiać.

Sapnęła.

- Nie zawsze tak było.
- Nie, nie przez pierwszy rok małżeństwa. Ale później...
- Czyja to wina?! – krzyknęła.
- Dobre pytanie. Ale nie sądzę, żebyśmy powinni w to wnikać. To może być niebezpieczne.
- Co masz na myśli?
- Nie chcę o tym dyskutować.

Sam był zaskoczony swoimi słowami. Co miał na myśli? Nie wiedział; przemawiał nie jego intelekt, ale cała jego psychika. Czy to Wstecznik kazał mu tak powiedzieć?

- Śpijmy – powiedział. – Jutro odmienia oblicze rzeczywistości.

– Nie wcześniej...

– Niż? – zapytał ze zmęczeniem w głosie.

– Nie udawaj, że nie wiesz. Od tego się zaczęło. Próbujesz... wymigać się od... swojej powinności.

– Mojej powinności. *Shib* rzecz do zrobienia. Oczywiście.

– Nie mów tak. Nie chcę, żebyś robił to tylko z obowiązku. Pragnę, żebyś to robił z miłości. I dlatego, że chcesz mnie kochać. I żeby to cię cieszyło.

– Jestem zobowiązany do kochania całej ludzkości, ale stwierdzam, że absolutnie nie wolno mi spełniać tego obowiązku z nikim prócz swojej realnie poślubionej żony.

Mary była tak wstrząśnięta, że zabrakło jej słów i odwróciła się do niego plecami. Ale Hal, świadom, że zrobił tak wiele, żeby ją ukarać, wyciągnął ku niej ramiona. Od tej chwili, po dokonaniu formalnego oświadczenia wstępного, procedura była podporządkowana rytuałowi. Tym razem, w przeciwieństwie do wielu przypadków w przeszłości, wszystko zostało wypełnione krok po kroku, słowami i czynami, zgodnie z zaleceniami Zwiastuna w *Zachodnim Talmudzie*. Z wyjątkiem jednego szczegółu: Hal nadal był ubrany w strój dzienny. To, zdecydował, mogło zostać wybaczone, liczył się bowiem duch, nie litera prawa. I co za różnica, czy miał na sobie gruby strój wyjściowy czy obszerny nocny? Mary, jeśli nawet zwróciła uwagę na to uchybienie, nic nie powiedziała.

Później, leżąc na plecach i patrząc w ciemność, Hal rozmyślał – jak wiele razy wcześniej. Co przecinało mu brzuch niczym gruba stalowa płyta, co zdawało się oddzielać górną część ciała od dolnej. Był podniecony... na początku. Wiedział, że tak, bo serce biło mu szybko, miał przyspieszony oddech. Jednak tak naprawdę nic nie odczuwał. A kiedy nadeszła chwila – którą Zwiastun nazywał czasem rodzenia się możliwości, spełnienia i realizacji rzeczywistości – on doświadczył wyłącznie reakcji mechanicznej. Jego ciało wypełniło przepisową funkcję, ale nie odczuł śladu uniesienia, które Zwiastun opisywał tak żywo. Przecinała go strefa bez czucia, obszar mrozący nerwy, stalowa płyta. Nie odczuwał niczego prócz podrygów ciała, jakby elektryczna igła stymulowała jego nerwy jednocześnie je odrętwiając.

To nie w porządku, pomyślał. Ale czy na pewno? Czy to możliwe, że Zwiastun mógł się mylić? Bądź co bądź, przewyższał całą resztę ludzkości. Może sam był dostatecznie obdarowany, żeby doświadczać opisanych przez siebie wspaniałych reakcji i nie uświadamiał sobie, iż reszta ludzkości nie podziela jego szczęścia.

Ale nie, to niemożliwe, jeśli prawdą było – a musiało być – że Zwiastun mógł wejrzeć w umysł każdego człowieka.

A zatem to on, Hal, był upośledzony, sam jeden ze wszystkich uczniów Realnego Paścioła.

Naprawdę tylko on? Nigdy z nikim nie rozmawiał na temat swoich wrażeń. Coś takiego zdawało się, jeśli nie niewyobrażalne, to niewykonalne. Było obsceniczne, nierealistyczne. Nauczyciele nigdy mu nie zakazywali rozmów na takie tematy; nie musieli, Hal bowiem wiedział to bez mówienia.

A jednak Zwiastun opisał, jakie powinny być jego reakcje.

Ale czy zrobił to w sposób bezpośredni? Kiedy Hal zastanowił się nad tym rozdziałem *Zachodniego Talmudu*, czytany tylko przez zaręczone i poślubione pary, zrozumiał, że Zwiastun tak naprawdę nie opisał stanu fizycznego. Jego język był poetycki (Hal wiedział, co oznacza słowo „poetycki”, bo jako lingwista miał dostęp do różnych pozycji z literatury zakazanej dla innych), metaforyczny, nawet metafizyczny. Ubrany w słowa, które, przeanalizowane, niewiele miały wspólnego z rzeczywistością.

Wybacz mi, Zwiastunie, pomyślał. Chodziło mi o to, że twoje słowa nie są naukowym opisem rzeczywistych procesów elektrochemicznych, zachodzących w ludzkim układzie nerwowym. Stosują się bezpośrednio do wyższego poziomu, rzeczywistość bowiem ma wiele płaszczyzn.

Subrealistyczna, realistyczna, pseudorealistyczna, surrealistyczna, hiperrealistyczna, retrorealistyczna.

Nie czas na teologię, pomyślał, nie chcę, żeby dziś po raz kolejny moje myśli zmagaly się

z pytaniem, na które nie ma odpowiedzi. Zwiastun wiedział, ale ja wiedzieć nie mogę.

W tej chwili wiedział tylko tyle, że nie jest dostrojony do biegu świata; że nigdy nie był i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Balansował na krawędzi nierealności przez wszystkie chwile życia na jawie. A to nie było dobre – Wstecznik go dopadnie, albo wpadnie w złe ręce brata Zwiastuna...

Hal Yarrow ocknął się nagle, gdy w mieszkaniu zabrzmiała poranna fanfara. Przez chwilę czuł się zdezorientowany; świat snu przeplatał się ze światem jawy.

Potem przeturlał się na łóżku i wstał, patrząc na Mary. Jak zawsze, przespała pierwszy sygnał, choć bardzo głośny, ponieważ nie odnosił się do niej. Za piętnaście minut z *tridi* zagrzmi drugi ryk trąbek, pobudka dla kobiet. Wtedy on musi już być umyty, ogolony, ubrany i w drodze. Mary będzie miała piętnaście minut dla siebie; dziesięć minut później z nocnej pracy wróci Olaf Marconis i przygotuje się do snu i życia w tym zawężonym świecie do czasu przybycia Yarrowów.

Halowi poszło szybciej niż zwykle, bo nadal miał na sobie strój dzienny. Wypróżnił się, umył ręce i twarz, natarł kremem zarośniętą szczękę, wytarł zarost (pewnego dnia jeśli awansuje do rangi hierarchy, zapuści brodę jak Sigmen), uczesał się i wyszedł z niewymownej.

Wepchnął do torby podróżnej listy otrzymane wieczorem i ruszył do drzwi, ale powodowany niespodziewanym i nie dającym się zanalizować uczuciem, zawrócił do łóżka i pochylił się, żeby pocałować Mary. Nie przebudziła się, ajego ogarnął żal – trwający sekundę – że ona nie dowie się, co zrobił. Ten akt nie był obowiązkiem, nikt tego nie wymagał. Narodził się w mrocznych zakamarkach jego umysłu, gdzie musiało również być światło. Dlaczego to zrobił? W nocy myślał, że jej nie cierpi. Teraz...

Podobnie jak on, miała niewielki wpływ na to, co robiła. Oczywiście, to żadne usprawiedliwienie. Każda jaźń ponosiła odpowiedzialność za własny los; jeśli przytrafiało jej się coś dobrego lub złego, przyczyną sprawczą była wyłącznie jedna osoba.

Poprawił to w myśli. Fakt, on i Mary byli sprawcami własnej niedoli, ale nie do końca świadomie. Ich jasne jaźnie nie chciały, żeby ich miłość została zniszczona; powodowały to ciemne jaźnie – ukryte w nich głęboko, przyczajony, straszliwy Wstecznik.

Gdy stanął przy drzwiach i obejrzał się, zobaczył, że Mary otworzyła oczy i patrzy na niego, lekko speszona. Zamiast zawrócić i pocałować ją jeszcze raz, niepewnym krokiem wyszedł na korytarz. Spanikował. Bał się, że Mary zawoła go i że ta okropna, szarpiąca nerwy scena rozpocznie się na nowo. Dopiero wtedy uświadomił sobie, iż nie miał okazji powiedzieć jej, że wyjeżdża na Tahiti. No i dobrze; została mu zaoszczędzona kolejna scena.

Na korytarzu tłoczyli się mężczyźni spieszący do pracy. Wielu, jak Hal, było ubranych w luźne stroje profesjonalistów. Inni nosili zielone i szkarłatne togi nauczycieli akademickich.

Hal, oczywiście, odzywał się do wszystkich napotkanych.

- Dobrej przyszłości, Ericssenie!
- Uśmiechu Sigmena, Yarrow!
- Miałeś jasne sny, Chang?
- *Shib*, Yarrow! Prosto z samej prawdy.
- Szalom, Kazimuru.
- Uśmiechu Sigmena, Yarrow!

Ustawił się przy drzwiach windy, kiedy dozorca, pełniący ranną służbę na tym poziomie z powodu tłoku, ustalał kolejność zjazdu. Po wydostaniu się z wieży Hał korzystał po kolei z serii pasów o coraz większej prędkości, aż wreszcie znalazł się na środkowym, ekspresowym. Stał ściśnięty wśród mężczyzn i kobiet, ale czuł się swobodnie, bo wszyscy należeli do jego klasy. Pięć minut później zszedł na chodnik i skierował się do przepastnego wejścia *pali* numer szesnaście, Uniwersytetu Sigmen City.

Wewnątrz musiał poczekać, choć niezbyt długo, aż dozorca wprowadzi go do windy. Pojechał ekspresową na trzydziesty poziom. Zazwyczaj, kiedy wysiadał z windy, szedł prosto do swojego biura, żeby wygłosić dla studentów pierwszy wykład przekazywany przez *tridi*. Dziś skierował się do gabinetu dziekana.

Po drodze naszła go ochota na papierosa. Wiedząc, że nie będzie mógł zapalić w obecności Olvegssena, przystanął, żeby zaciągnąć się rozkosznym dymem żeńszeniowym. Stał przed drzwiami sali wykładowej i słyszał Keoni Jerahmeela Rasmussena, wygłaszającego wykład poświęcony podstawom lingwistyki.

– *Puka* i *pali* pierwotnie były słowami prymitywnych polinezyjskich mieszkańców Wysp Hawajskich. Przybysze anglojęzyczni, którzy skolonizowali te wyspy, przyswoili sobie wiele pojęć z języka hawajskiego. *Puka*, oznaczające dziurę, tunel lub jaskinię, i *pali*, oznaczające urwisko, znalazły się wśród najbardziej popularnych.

Kiedy po wojnie apokaliptycznej Hawajo-Amerykanie zaludnili Amerykę Północną, te dwa terminy nadal były używane w znaczeniu pierwotnym. Około pięćdziesięciu lat temu zmieniły znaczenie. *Puka*, o zabarwieniu wyraźnie pejoratywnym, zaczęło odnosić się do niewielkich mieszkań przeznaczonych dla klas niższych. Później termin ten rozciągnął się na mieszkania klas wyższych. Jednak jeśli jesteście hierarchami, mieszkanie w apartamencie; jeśli należycie do każdej z klas niższych, mieszkanie w *puka*.

Pali, urwisko, zaczęto stosować na określenie drapaczy chmur lub innych wysokich budynków. W przeciwieństwie do *puka* zachowało swoje początkowe znaczenie.

Hał dopalił papierosa, zgasił go w popielniczce i ruszył korytarzem do gabinetu dziekana. Doktor Bob Kafziel Olvegssen siedział za biurkiem.

Olvegssen, senior, przemówił oczywiście pierwszy. Miał lekki islandzki akcent.

- Aloha, Yarrow. Co tu robisz?

– Szalom, *abba*. Przepraszam za przybycie bez zaproszenia, ale przed wyjazdem muszę uzgodnić kilka spraw.

Olvegssen, siwowłosy mężczyzna w średnim wieku – miał około siedemdziesiątki – zmarszczył brwi.

– Przed wyjazdem?

Hal wyjął z aktówki list i podał go dziekanowi.

– Oczywiście, możesz sam go przejrzeć. Ale zaoszczędzę ci cennego czasu mówiąc, że to kolejny rozkaz wyjazdu w celu przeprowadzenia śledztwa lingwistycznego.

– Dopiero co wróciłeś! Jak mogą się spodziewać, że to kolegium będzie funkcjonować właściwie i na chwałę Paściola, jeśli stale zabierają mi personel i każą mu ruszać z motyką na słowa?

– Mam nadzieję, że nie krytykujesz Urielitów? – rzekł Hal nie bez cienia złośliwości. Nie lubił swojego przełożonego, choć próbował zwalczyć to nierealistyczne myślenie.

– Oczywiście, że nie! Jestem do tego niezdolny i czuję się dotknięty twoją sugestią!

– Wybacz, *abba*. Nawet mi się nie śniło sugerowanie czegoś podobnego.

– Kiedy masz jechać?

– Pierwszym promem. Wydaje mi się, że wyrusza za godzinę.

– A kiedy wrócisz?

– Tylko Sigmen wie. Kiedy dochodzenie i raport zostaną ukończone.

– Zamelduj się u mnie natychmiast po powrocie.

– Jeszcze raz przepraszam, ale nie mogę. Mój WM się akurat przeterminuje i będę musiał uaktualnić go przed zrobieniem czegokolwiek innego. To może potrwać wiele godzin.

Olvegssen zerknął na niego groźnie.

– Właśnie, twój W M. Nie wypadłeś zbyt dobrze na ostatnim teście, Yarrow. Mam nadzieję, że następny wykaże poprawę. W przeciwnym razie...

Halowi zrobiło się gorąco i nogi pod nim zdrząły.

– Tak, *abba*!

Jego głos brzmiał słabo i jakby z daleka. Olvegssen złączył dłonie czubkami palców i popatrzył znad nich na Yarrowa.

– Z przykrością będę musiał przedsięwziąć pewne kroki. Nie mogę zatrudnić u siebie człowieka z niskim W M. Obawiam się, że...

Zapadło długie milczenie. Hal czuł, jak strumyczek potu spływa mu spod pach, na czole i górnej wardze tworzą się kropelki. Wiedział, że Olvegssen specjalnie trzyma go w niepewności, a nie chciał o nic go prosić. Nie chciał sprawiać satysfakcji temu zadowolonemu z siebie, siwowłosemu *gimelowi*. Ale nie śmiał też wyrzucić wrażenia, że to go nie interesuje. Wiedział, że jeśli nic nie powie, Olvegssen tylko uśmiechnie się i go odprawi.

– Co, *abba* – zapytał, starając się przemóc skurcz krtani.

– Obawiam się, że nie mógłbym sobie pozwolić na wyrozumiałość i musiałbym po prostu przenieść cię na stanowisko nauczyciela w podrzędnej szkole. Chciałbym być miłosierny, ale w twoim przypadku miłosierdzie mogłoby okazać się tylko wymuszaniem nierzeczywistości. Nie zniósłbym czegoś takiego. Nie...

Hal skłął się w duchu, bo nie mógł opanować drżenia.

– Tak, *abba*?

– Obawiam się, że musiałbym prosić Uzzitów, aby wejrzeni w twoją sprawę.

– Nie!

– Niestety, tak. – Olvegssen nadal mówił znad złączonych czubkami palców. – To sprawi mi ból, ale gdybym tego nie zrobił, byłoby nie *shib*. Tylko po zwróceniu się do nich o pomoc mógłbym śnić właściwie.

Rozłączył palce i odwrócił się na krześle, prezentując Halowi profil.

– Jednak nie ma powodu do podejmowania takich kroków, prawda? Przecież ty i tylko ty jesteś odpowiedzialny za to, co się z tobą dzieje. A zatem nie możesz winić nikogo prócz siebie.

– Tak objawił Zwiastun. Postaram się, żebyś nie musiał odczuwać bólu, *abba*. Dopilnuję, żeby mój *aspt* nie miał powodu dawać mi niskiego W M.

– Doskonale – powiedział Olvegssen takim tonem, jakby w to nie wierzył. – Nie będę cię zatrzymywać, aby sprawdzić twój list, bo powinienem mieć duplikat w dzisiejszej poczcie. Aloha, mój synu, i dobrych snów.

– Postrzegaj realnie, *abba*. – Hal odwrócił się i wyszedł. Odrętwiały z przerażenia, ledwo wiedział, co robi. Machinalnie pojechał do portu i tam przeszedł procedurę uzyskiwania zezwolenia na wyjazd. Jego umysł nadal nie funkcjonował właściwie, kiedy wsiadał na prom.

Pół godziny później wysiadł w porcie LA i udał się do biura biletów, żeby potwierdzić miejsce w promie na Tahiti.

Gdy stał w kolejce do biura, ktoś poklepał go po ramieniu.

Podskoczył i odwrócił się, żeby przeprosić stojącą z tyłu osobę.

Serce zaczęło mu walić, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Mężczyzna był przysadzisty, szeroki w ramionach i brzuchaty, ubrany w luźny, czarny jak smoła uniform. Nosił do tego wysoki, stożkowaty, lśniący czarny kapelusz z wąskim rondem, a na piersi srebrny emblemat wyobrażający anioła Uzzjela.

Oficer pochylił się, żeby sprawdzić hebrajskie cyfry na dolnym skraju uskrzydłonej stopy na piersi Hala. Potem spojrzał na trzymany w ręce papier.

– Ty jesteś Hal Yarrow, *shib* – powiedział Uzzita. – Chodź ze mną.

Później Hal doszedł do wniosku, że jednym z najdziwniejszych aspektów tego doświadczenia był brak strachu. Co nie znaczy, że nie był przerażony. Po prostu było tak, jakby

strach został zepchnięty w jakiś daleki zakamarek umysłu, podczas gdy większa część zastanawiała się nad sytuacją i sposobem wyjścia. Niepewność i zmieszanie, przepełniające go w czasie rozmowy z Olvegssenem i utrzymujące się długo po jej zakończeniu, teraz jakby się rozproszyły. Był opanowany i myślał szybko; świat był jasny, wyrazisty.

Może dlatego, że pogróżka Olvegssena była mglista i w gruncie rzeczy mało konkretna, aresztowanie zaś przez Uzzitów natychmiastowe i zdecydowanie niebezpieczne.

Zabrano go do niewielkiego samochodu, stojącego na pasie przy budynku kas biletowych. Rozkazano mu wsiąść. Uzzita też wsiadł i wprowadził koordynaty punktu przeznaczenia. Samochód wzniosł się pionowo na wysokość około pięciuset metrów, a potem wystartował, wyjąc syreną. Hal nie był w nastroju do żartów, ale mimo woli pomyślał, że gliny nie zmieniły się od tysiąca lat. Choć okoliczności tego nie wymagały, strażnicy prawa musieli robić mnóstwo hałasu.

Po dwóch minutach samochód wjechał do doku na dwudziestym poziomie. Uzzita, który nie odezwał się słowem od czasu pierwszej rozmowy, ruchem ręki kazał mu wsiąść. Hal też nic nie mówił – wiedział, że to miałyby się z celem.

Razem ruszyli pochylnią, a potem szli korytarzami pełnymi spieszącymi się ludźmi. Hal próbował zapamiętać trasę na wypadek, gdyby musiał uciekać. Wiedział, że ucieczka jest absurdem, że nie mogłaby się udać. Poza tym na razie nie miał powodu myśleć, że znajdzie się w sytuacji, z której jedynym wyjściem będzie ucieczka.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Wreszcie Uzzita zatrzymał się przed drzwiami bez żadnej tabliczki. Wskazał je kciukiem i Hal wszedł pierwszy. Znalazł się w poczekalni; za biurkiem siedziała sekretarka.

– Melduje się anioł Patterson – powiedział Uzzita. – Mam Hala Yarrowa, profesjonalistę LIN-56327.

Sekretarka przekazała informacje do mikrofonu i z głośnika dobiegł głos, nakazujący wejście do gabinetu. Sekretarka nacisnęła guzik i drzwi się rozsunęły. Hal wszedł pierwszy.

Znalazł się w pokoju według jego kryteriów ogromnym, większym niż jego sala wykładowa czy *caiepuka* w Sigmen City. W głębi naprzeciwko wejścia stało biurko o blacie w kształcie półksiężyca. Za biurkiem siedział mężczyzna, na którego widok chłodne opanowanie Hala legło w gruzach.

Spodziewał się zobaczyć *aspta* wysokiej rangi, ubranego w czerń i noszącego stożkowaty kapelus. Ale ten człowiek nie był Uzzita. Nosił zwiewną purpurową szatę z zarzuconym na głowę kapturem, a na jego piersiach widniało wielkie, złote hebrajskie L: *lamedh*. I miał brodę.

Należał do najwyższych z wysokich, był Urielitą. Hal widział jemu podobnych ledwie tuzin razy w życiu i tylko raz spotkał się z nimi osobiście.

Wielki Sigmenie, co ja zrobiłem? – pomyślał. Jestem skończony, skończony!

Urielitą był bardzo wysokim mężczyzną, prawie o pół głowy wyższym od Hala. Twarz miał długą, kości policzkowe wydatne, nos wąski i zakrzywiony i cienkie wargi. Bładoniebieskie oczy kryły się pod niewielką fałdą mongolską.

– Stój, Yarrow! – nakazał cicho Uzzita za plecami Hala. – Rób wszystko, co powie *sandalfon* Macneff, bez wahania i bez podejrzanых ruchów.

Hal, któremu nieposłuszeństwo nawet nie przeszło przez myśl, pokiwał głową.

Macneff patrzył na niego co najmniej przez minutę, gładząc gęstą brązową brodę.

Potem, gdy Hal już się spocił i zaczął dygotać wewnątrz, przemówił. Głos miał zaskakująco niski jak na człowieka o tak chudej szyi.

– Yarrow, jak chciałbyś opuścić to życie?

Później Hal podziękował Sigmenowi, że nie uległ pierwszemu impulsowi.

Zamiast zmartwić z przerażenia, zastanowił się nad zaatakowaniem Uzzity z szybkiego półobrotu. Funkcjonariusz, choć nie nosił na wierzchu broni, z pewnością miał pistolet w kaburze pod szatą. Gdyby zdołał go powalić i zabrać mu broń, wzięłby Macneffa jako zakładnika. Z nim jako tarczą mógłby uciec.

Dokąd?

Nie miał pojęcia. Do Izraela czy do Federacji Malajskiej? Jedno i drugie leżało daleko, choć odległość nie miałyby znaczenia, gdyby ukradł jakiś statek, sam albo po sterroryzowaniu załogi. Z drugiej strony, nawet gdyby mu się udało, nie miałby szans, by umknąć pociskom raketowym. Chyba że wywiódłby w pole strażników ze stacji obrony... ale nie znał się wystarczająco dobrze ani na wojskowej rutynie, ani na szyfrach, żeby to zrobić.

Rozmyślając nad możliwościami, poczuł, jak impuls buntu wygasa. Doszedł do wniosku, że mądrzej będzie zaczekać i dowiedzieć się, o co jest oskarżony. Może zdoła wykazać swoją niewinność.

Cienkie wargi Macneffa wykrzywiły się w uśmiechu, który Hal znał aż nazbyt dobrze.

– Doskonale, Yarrow.

Hal nie wiedział, czy to było pozwolenie na zabranie głosu, ale wołał nie ryzykować obrażania Urielity.

– Co, *sandalfonie*?

– Że poczerwieniałeś zamiast zblednąć. Czytam w jaźniach, Yarrow. Zyskuję wgląd w człowieka w parę sekund po jego ujrzeniu. Zobaczyłem, że nie omdlewasz z przerażenia, jak zachowałoby się wielu po usłyszeniu moich pierwszych słów. Nie, ty się zarumieniłeś, bo zawrzała w tobie krew agresji. Byłeś gotów wypierać się, klócić, walczyć ze wszystkim, co usłyszysz. Niektórzy mogliby powiedzieć, że nie jest to wskazana reakcja, że twoja postawa świadczy o niewłaściwym myśleniu, o ciągłych do nierzeczywistości. Ale ja mówię: „Co jest rzeczywistością? Czymże jest rzeczywistość?”. Takie pytanie postawił zły brat Zwiastuna w wielkiej debacie. Odpowiedź jest ta sama – to może wiedzieć tylko prawdziwy człowiek. Jestem prawdziwym człowiekiem, w przeciwnym wypadku nie byłbym *sandalfonem*.

Hal, starając się oddychać po cichu, pokiwał głową. Myślał, że wbrew swoim słowom Macneff nie może być zdolny do czytania w myślach, bo nie wspomniał, że wie o jego zamiarze zastosowania przemocy.

A może o tym wiedział, tylko był dość mądry, by wybaczyć?

– Kiedy zapytałem cię, jak chciałbyś opuścić to życie – podjął Macneff – nie sugerowałem, że jesteś kandydatem do P.

Zmarszczył brwi.

– Co prawda twój WM sugeruje, że jeśli utrzymasz się na obecnym poziomie, wkrótce możesz się nim stać. Jestem jednak pewien, że jeśli przystaniesz na moją propozycję, twoja sytuacja wkrótce ulegnie poprawie. Znajdziesz się w bliskim kontakcie z wieloma *shib* ludźmi; nie zdołasz uciec przed ich wpływem. „Realność rodzi realność”. Tak mówi Sigmen. Jednak być może wyprzedzam wypadki. Przede wszystkim musisz przysiąc na tę księgę – podniósł egzemplarz *Zachodniego Talmudu* – że nic, co powiemy w tym biurze, pod żadnym pozorem nie zostanie wyjawione postronnej osobie. Umrzesz albo zostaniesz poddany torturom, zanim ośmielisz się zdradzić Paściół.

Hal położył lewą dłoń na księdze (Sigmen używał lewej ręki, bo wcześniej stracił prawą) i przysiągł na Zwiastuna i wszystkie poziomy rzeczywistości, że jego usta pozostaną zamknięte na wieki. Jeśli nie, wyrzeknie się na zawsze wszelkiej nadziei na zaszczyt ujrzenia oblicza Zwiastuna i – pewnego dnia – posiadania własnego świata, którym będzie mógł rządzić.

Już podczas składania przysięgi zaczęło mu doskwierać poczucie winy, ponieważ myślał o uderzeniu Uzzity i sterroryzowaniu *sandalfona*. Jak mógł tak łatwo ulec ciemnej jaźni? Macneff był żyjącym reprezentantem Sigmena, podczas gdy sam Sigmen przenosił się w czasie i w przestrzeni, żeby przygotować przyszłość dla swoich uczniów. Okazanie nieposłuszeństwa Macneffowi równało się wymierzeniu policzka Zwiastunowi, a to było rzeczą tak okropną że nawet na samą myśl palił się ze wstydu.

Macneff odłożył księgę na biurko.

– Najpierw muszę ci powiedzieć, że polecenie przebadania słowa *wtyk* na Tahiti było pomyłką. Prawdopodobnie pewne wydziały Uzzitów nie współpracowały tak ściśle, jak powinny. Przyczyna pomyłki jest już badana. Zostaną podjęte skuteczne środki, które zapobiegą powtórzeniu się podobnych błędów w przyszłości.

Uzzita za plecami Hala westchnął ciężko i Hal się zorientował, że nie jest w tym pokoju jedyną osobą zdolną do odczuwania strachu.

– Jeden z hierarchów, przeglądając swoje raporty, zauważył, że wystąpiłeś o pozwolenie na wyjazd na Tahiti. Wiedząc, jak wysoką klauzulę bezpieczeństwa ma ta wyspa, przeprowadził dochodzenie. W rezultacie postanowiliśmy cię przejąć. Po sprawdzeniu twoich akt, doszedłem do wniosku, że możesz być człowiekiem odpowiednim do zajęcia pewnego stanowiska na statku.

Macneff przechadzał się za biurkiem tam i z powrotem, z rękami założonymi do tyłu, lekko przygarbiony. Hal zauważył jego bladożółtą skórę, tego samego koloru co cios słonia, który kiedyś oglądał w Muzeum Zwierząt Wymarłych. Purpurowy kaptur tylko podkreślał niezdrowy odcień cery.

– Zadadzą ci pytanie, czy chcesz wziąć udział w wyprawie – ciągnął Macneff – ponieważ chcemy mieć na pokładzie wyłącznie ludzi oddanych sprawie. Mam nadzieję, że do nas

dołączysz, bo nie chciałbym zostawiać na Ziemi cywila, który wie o istnieniu „Gabriela” i o jego miejscu przeznaczenia. Nie znaczy to, że wątpię w twoją lojalność, ale Izraelcy szpiedują są bardzo przebiegli i mogliby podstępem nakłonić cię do ujawnienia wszystkiego, co wiesz. Albo porwać cię i poddać działaniu narkotyków. Izraelczycy są gorącymi zwolennikami Wstecznika.

Hal zaczął się zastanawiać, dlaczego stosowanie narkotyków przez Izraelczyków uważane było za nierealne, a przez Unię Haijac za takie *shib*, ale zapomniał o tym, kiedy usłyszał następne słowa Macneffa.

– Sto lat temu pierwszy międzygwiazdny statek kosmiczny Unii opuścił Ziemię w drodze do Alfa Centauri. Mniej więcej w tym samym czasie wyruszył statek izraelski. Oba wróciły po dwudziestu latach z meldunkiem, że nie znalazły planet, nadających się do zamieszkania. Dziesięć lat później powróciła druga ekspedycja Haijacu, a dwanaście lat później – drugi statek izraelski. Żaden nie znalazł gwiazdy z planetami, które mogłyby zostać skolonizowane przez istoty ludzkie.

– Nie wiedziałem – mruknął Hal Yarrow.

– Oba rządy trzymały to w tajemnicy przed swoimi narodami, choć nie jeden przed drugim. Izraelczycy, o ile nam wiadomo, od czasów tego drugiego nie wysłali dalszych statków kosmicznych. Koszty i czas miałyby tu wymiar astronomiczny. My jednak wysłaliśmy trzeci statek, dużo mniejszy i szybszy niż pierwsze dwa. Mogę ci tylko powiedzieć, że przez ostatnie sto lat nauczyliśmy się dużo na temat podróży międzygwiazdnych. Parę lat temu powrócił nasz trzeci statek i zameldował...

– Że znalazł planetę, na której mogą żyć ludzie i która jest już zamieszкана przez istoty myślące! – zawołał Hal, zapominając w swoim entuzjazmie, że nie poproszono go o zabranie głosu.

Macneff zatrzymał się i wbił w niego bladoniebieskie oczy.

– Skąd wiesz? – zapytał ostro.

– Wybacz mi, *sandalfonie*, ale to było nieuniknione! Czy Zwiastun w swoim *Czasie i biegu świata* nie przepowiedział odkrycia takiej planety? Jestem nawet pewien, że na stronie pięćset siedemdziesiątej trzeciej!

Macneff uśmiechnął się.

– Cieszę się, że lektura pism pozostawiła na tobie tak niezatarte wrażenia.

Czy mogło być inaczej? – pomyślał Hal. Zresztą to były nie tylko wrażenia. Pornsen, mój *aspt*, wychłostał mnie, bo nie dość dobrze nauczyłem się lekcji. Był dobrym nauczycielem, ten Pornsen. Był? Jest! Towarzyszy mi, choć jestem dorosły. Zawsze był wszędzie tam, gdzie ja. Był moim *asptem* w żłobku i w akademiku, kiedy poszedłem na studia i myślałem, że od niego uciekłem. Teraz pełni funkcję *aspta* mojego bloku. Jest jedyną osobą odpowiedzialną za to, że otrzymałem taki niski W M.

Ale zaraz zmienił opinię. Nie, to nie on; ja i tylko ja jestem winien wszystkiemu, co mi się przytrafia. Jeśli mam niski W M, to tylko dlatego, że tego chcę albo że chce tego moja ciemna jaźń. Jeśli umrę, umrę dlatego, że tego zapragnę. Więc wybacz mi, Sigmenie, myśli sprzeczne z rzeczywistością!

– Jeszcze raz przepraszam, *sandalfonie* – powiedział Hal – ale czy ta ekspedycja znalazła na tej planecie jakieś świadectwa bytności Zwiastuna? A może nawet, choć to zbyt śmiałe pragnienie, znalazła samego Zwiastuna?

– Nie. Jednak nie oznacza to, że takie świadectwa nie istnieją. Ekspedycja była zobowiązana do szybkiego zbadania warunków i natychmiastowego powrotu na Ziemię. Nie mogę ci teraz podać odległości w latach świetlnych ani zdradzić, jaka to była gwiazda, choć można ją zobaczyć gołym okiem w nocy na tej półkuli. Jeśli zgłosisz się na ochotnika, dowiesz się, dokąd polecisz. A statek startuje już niedługo.

– Potrzebujecie lingwistów?

– Statek jest ogromny, ale liczba wojskowych i specjalistów sprawia, że może lecieć tylko jeden lingwista. Rozpatrzyliśmy kandydatury kilku profesjonalistów z twojej dyscypliny wiedzy, ponieważ byli lamedhianami i ich moralność nie budziła żadnych wątpliwości. Na nieszczęście...

Hal czekał. Macneff postąpił parę kroków w jego stronę, marszcząc brwi. Wreszcie dodał:

– Na nieszczęście jedyny lamedhianin obus jest za stary na taką wyprawę. Tym samym...

– Tysiąckroć przepraszam – wtrącił Hal – ale właśnie o czymś pomyślałem. Jestem żonaty.

– Żaden problem. Na pokładzie „Gabriela” nie będzie kobiet. A żonaci mężczyźni automatycznie dostaną rozwód.

Hal sapnął.

– Rozwód?

Macneff przepaszająco podniósł rękę.

– Oczywiście, jesteś wstrząśnięty, ale my, Urielici, dzięki lekturze *Zachodniego Talmudu* wiemy, że Zwiastun, spodziewając się zaistnienia takiej sytuacji, nawiązał do rozwodu i określił jego podstawę. W tym przypadku takie rozwiązanie jest nieuniknione, skoro para będzie rozdzielona przez co najmniej osiemdziesiąt obiektywnych lat. Naturalnie, Zwiastun ujął ten problem w mało przejrzystych słowach. W swej wielkiej i olśniewającej mądrości wiedział, że tym sposobem nasi wrogowie Izraelczycy nie odgadną naszych zamiarów.

– Zgłaszam się na ochotnika – oświadczył Hal. – Powiedz mi więcej, *sandalfonie*.

Sześć miesięcy później Hal Yarrow stał w kopule obserwacyjnej „Gabriela” i patrzył na skurczoną zawieszoną nad nim kulę Ziemi. Na tej półkuli była noc, ale światła płonęły w megalopolis Australii, Japonii, Chin, Azji Południowej, Indii, Syberii. Hal, lingwista, postrzegał migoczące dyski i naszyjniki świateł w kategoriach języków, jakimi tam mówiono.

Australią Filipiny, Japonia i północne Chiny były zamieszkane przez tych członków Unii Haijajac, którzy mówili po amerykańsku.

W południowych Chinach, całej Azji Południowo-Wschodniej, południowych Indiach i na Cejlonie, należących do Federacji Malajskiej, obowiązywał język bazaar.

Na Syberii mówiono po islandzku.

Hal w myślach obrócił glob i wyobraził sobie Afrykę, w której na południe od Morza Sahara posługiwano się językiem suahili. W basenie Morza Śródziemnego, Azji Mniejszej, Indiach Północnych i Tybecie rodzimym językiem był hebrajski. W południowej Europie, między Republikami Izraela a islandzkojęzycznymi ludami Europy Północnej, rozciągało się wąskie, ale długie terytorium zwane Pograniczem. Była to ziemia niczyja, terytorium spome między Unią Haijajac a Republikami Izraelskimi, od dwustu lat potencjalne źródło konfliktu zbrojnego. Żadne państwo nie chciało zrezygnować ze swoich roszczeń, a zarazem wykonać ruchu, który mógł doprowadzić do drugiej wojny apokaliptycznej. Na skutek tego ten wąski pas ziemi pozostawał niezależny i miał nawet własny rząd (nie uznawany poza granicami). Jego mieszkańcy mówili wszystkimi przetrwałymi językami i jednym nowym zwanym lingo, którego słownictwo zostało zapożyczone z sześciu innych; składnię miał tak prostą, że można ją było zawrzeć na połowie arkusza papieru.

Oczami wyobraźni Hal zobaczył resztę Ziemi: Islandię, Grenlandię i Karaiby oraz wschodnią połowę Ameryki Południowej. Tu ludzie mówili językiem islandzkim, ponieważ mieszkańcy tej wyspy wyprzedzili Hawajo-Amerykanów, którzy byli zajęci zasiedlaniem Ameryki Północnej i zachodniej połowy Ameryki Południowej po wojnie apokaliptycznej.

Była jeszcze Ameryka Północna. Tutaj rodzimym językiem wszystkich, z wyjątkiem dwudziestu potomków francuskich Kanadyjczyków, mieszkających w Rezerwacie Zatoki Hudsona, był amerykański.

Hal wiedział, że kiedy ta strona Ziemi znajdzie się w strefie nocy, Sigmen City rozbłyśnie w przestrzeni kosmicznej. I że gdzieś wśród tych niezliczonych światel jest jego mieszkanie. Ale Mary już tam nie będzie mieszkać, bo za parę dni zostanie zawiadomiona, że jej mąż zginął w wypadku. Popłacze się w samotności, był tego pewien, bo kochała go na swój oziębły sposób, ale publicznie pokaże suche oczy. Przyjaciele i koledzy z pracy będą jej współczuć – nie dlatego, że straciła umiłowanego męża, ale ponieważ była poślubiona człowiekowi, który myślał nierealistycznie. Skoro Hal Yarrow zginął w wypadku, ta znaczy, że tego chciał. Nie było takich rzeczy jak „wypadek”. Wszyscy inni pasażerowie statku (również rzekomo zmarli w tej sieci misternych szalbierstw, mających na celu usprawiedliwienie zniknięcia personelu „Gabriela”) „zgodzili się” na śmierć. I tym samym skazali się na pohańbienie – nie dla nich publiczna kremacja i ceremonialne rozrzucanie popiołów na wietrze. Nie, jeśli chodziło o Paściół, to ryby mogły pożreć ich ciała.

Halowi było przykro z powodu Mary; gdy stał w tłumie w kopule obserwacyjnej, musiał chwilami na siłę powstrzymać łzy, które cisnęły mu się do oczu.

Tak, powiedział sobie, to był najlepszy sposób. On i Mary już nie musieli się wzajemnie ranić i łajać; ich tortury dobiegły końca. Mary była wolna i znów mogła wyjść za mąż, nie wiedząc, że Paściół potajemnie udzielił jej rozwodu, przekonana, że jej małżeństwo rozwiązała śmierć. Będzie miała rok na podjęcie decyzji, na wybranie męża z listy zestawionej przez jej *aspta*. Być może znikną psychologiczne bariery, które uniemożliwiały jej poczęcie dziecka Hala. Może. Hal wątpił, czy to szczęśliwe wydarzenie kiedykolwiek będzie miało miejsce. Mary była zimna poniżej pępka, niezależnie od tego, kim będzie kandydat do małżeństwa wybrany przez *aspta*...

Aspt. Pornsen. Już nie musi oglądać jego tłustej gęby, słuchać tego jęklivego głosu...

– Hal Yarrow! – zajęczał ktoś za jego plecami.

Hal odwrócił się powoli, zlodowaciały, a jednocześnie płonący.

Uśmiechał się do niegokrępy mężczyzna o obwisłym podbródku, grubych wargach, nosie zakrzywionym jak dziób ścierwojada i zmrużonych oczach. Spod błękitnego, stożkowego kapelusza z wąskim rondem wysuwały się szpakowate włosy, zwisające aż do wysokiej czarnej krezy. Opięty błękitnym kaftanem wielki brzuch – Pornsen wysłuchał od swoich zwierzchników wielu kazań na temat obżarstwa – był ściśnięty szerokim niebieskim pasem z metalowym uchwytem na bicz. Stroju dopełniały obcisłe błękitne spodnie z czarnymi lampasami po obu stronach nogawek i wysokie do kolan błękitne buty. Stopy miał tak drobne, że wyglądały wręcz absurdalnie. Na noskach butów migotały siedmioboczne lusterka.

Wśród klas niższych krążyły nieprzyzwoite opowiadki na temat pochodzenia i przeznaczenia tych lusterek. Hal raz podsłuchał jedną z nich i nadal rumienił się na jej wspomnienie.

– Mój umiłowany podopieczny, moje ty wieczne utrapienie – wyskamlał Pornsen. – Nie miałem pojęcia, że bierzesz udział w tej chwalebnej podróży. A powinienem był wiedzieć! Jesteśmy, jak się wydaje, związani węzłem miłości. Sam Sigmen musiał to przewidzieć. Wyrazy miłości, mój podopieczny.

– Sigmen ciebie też kocha – mruknął Hal i zakasłał. – Cudownie widzieć twoją umiłowaną jaźń. Myślałem, że już nigdy się nie zobaczymy.

Gabriel” skierował się w stronę miejsca przeznaczenia i z przyspieszeniem 1 g zaczął zwiększać prędkość do docelowej, równej 33.1 procenta prędkości światła. W tym czasie cały personel – z wyjątkiem kilku osób niezbędnych do zajmowania się statkiem – powinien udać się do suspensora, gdzie miał spędzić wiele lat w stanie zawieszzonego ożywienia. Jakiś czas później, po przejęciu kontroli przez zautomatyzowany sprzęt, ostatni członkowie załogi dołączą do wszystkich pozostałych. Będą spać, podczas gdy napęd „Gabriela” zwiększy przyspieszenie do stopnia, którego nie wytrzymałyby nie zamrożone ciała. Po osiągnięciu zamierzonej prędkości automatyczny sprzęt odłączy napęd i milczący, ale nie pusty statek popędzi ku gwiazdzie, która jest celem podróży.

Wiele lat później aparat, liczący fotony na dziobie statku, oceni, czy gwiazda jest dość blisko, żeby rozpocząć zwalnianie. Znowu zostanie zastosowana siła zbyt wielka dla nie zamrożonych ciał. Po znacznym zredukowaniu prędkości statku napęd dostosuje się do zwalniania, nadając siłę ciężenia równą 1 g. Załoga zostanie automatycznie wyprowadzona ze stanu zawieszzonego ożywienia, a następnie rozmrozi resztę personelu. Pół roku przed dotarciem do miejsca przeznaczenia ludzie zajmą się niezbędnymi przygotowaniem.

Hal Yarrow był wśród ostatnich, którzy udali się do suspensora, i wśród pierwszych, którzy z niego wyszli. Musiał studiować nagrania głównego języka mieszkańców Nowozu, siddońskiego. Już na samym początku stwierdził, że zadanie będzie trudne. Ekspedycji, która odkryła Nowoz, udało się zestawić pięć tysięcy słów siddońskich z odpowiednią liczbą słów amerykańskich. Opis składni siddo był bardzo skąpy. I, jak odkrył Hal, w wielu przypadkach zdecydowanie błędny.

Odkrycie to wprawilo go w zdenerwowanie. Jego obowiązkiem było napisanie podręcznika i nauczanie całego personelu „Gabriela” mówienia po nowozyjsku. Niestety, nawet przy użyciu wszystkich oddanych mu do dyspozycji, ale skąpych, środków nie nauczyliby swoich studentów w sposób właściwy. Nawet niepoprawne opanowanie języka też byłoby trudne.

Po pierwsze, narządy mowy mieszkańców Nowozu różniły się nieco od organów Ziemi i tym samym wydawane przez nie dźwięki również nie były podobne. To prawda, mogły być zbliżone, ale czy na tyle, że Nowozyci je rozumieją?

Następną przeszkodą była gramatyczna konstrukcja siddo. Na przykład czas. Zamiast odmiany czasownika albo stosowania rozłącznej partykuły do wskazania przeszłości czy przyszłości, siddo używał całkiem innego słowa. I tak męski ożywiony bezokolicznik *dabhumaksanigalu* ‘*ahai*, oznaczający „żyć”, w czasie przeszłym dokonanym przyjmował formę *mksu* ‘*u* ‘*pe*li ‘*afo*, a w przyszłym *mai* ‘*te*ipa. Stosowanie zupełnie innego słowa odnosiło się także do wszystkich innych czasów. Do tego dochodził fakt, że siddo wyróżniał nie tylko

normalne (dla Ziemiaków) trzy rodzaje: męski, żeński i nijaki, ale jeszcze dwa dodatkowe – nieożywiony i duchowy. Na szczęście rodzaje się odmieniały, choć opanowanie tego musiało być trudne dla każdego, dla kogo siddoński nie był językiem ojczystym. Sposób sygnalizowania rodzaju zmieniał się w zależności od czasu.

Inne części mowy – rzeczowniki, zaimki, przymiotniki, przysłówki i spójniki – były podporządkowane tym samym regułom, co czasowniki. Opanowanie języka było zadaniem skomplikowanym także dlatego, że różne klasy społeczne dość często używały różnych słów na wyrażenie tego samego.

Pisany siddoński był porównywalny tylko ze starożytnym japońskim. Nie stosował alfabetu, tylko ideogramy; linie, których długość, kształt i kąty nachylenia miały określone znaczenie. Znaki towarzyszące każdemu ideogramowi wskazywały właściwą odmianę.

W samotności swojej kabiny Hal kłął łagodnie na utraconą prawą rękę Sigmena.

Kapitan pierwszej ekspedycji wybrał na bazę badań kontynent na nowożyjskich antypodach. Okazało się, że zamieszkiwali go autochtoni, mówiący językiem bardzo trudnym do opanowania (dla Ziemiaków). Gdyby kapitan wybrał drugi kontynent, na półkuli północnej, miałby (a raczej miałby jego lingwista) czterdzieści różnych języków do wyboru, w tym parę stosunkowo prostych pod względem składni i bazujących na krótkich słowach. To znaczy, jeśli wiarygodna była przypadkowa próbka pobrana przez lingwistę wyprawy.

Siddo, ląd na półkuli południowej, był mniej więcej wielkości, choć nie kształtu, Afryki. Od sąsiedniego oddzielało go dziesięć tysięcy mil oceanu. Jeśli wtykowi geolodzy mieli rację, niegdyś stanowił część Gondwany, ale oderwał się i odsunął w dryfie kontynentalnym. Na obu lądach ewolucja przebiegała różnymi drogami. Podczas gdy tamten kontynent został zdominowany przez owady i ich dalekich kuzynów – wewnątrzszkieletowe pseudostawonogi, ten był bardziej przyjazny dla ssaków. Choć, Sigmen świadkiem, żyło na nim także mnóstwo owadów.

Istotami rozumnymi na AbakaVtu, lądzie północnym, do pięciuset lat wstecz byli wtykowie. Na Siddo występowało zwierzę uderzająco podobne do człowieka. *Homo nowoz* wykształcił kulturę na poziomie analogicznym do starożytnego Egiptu albo Babilonu. A potem prawie wszyscy ludzie, cywilizowani czy dzicy, wymarli.

Stało się to zaledwie tysiąc lat przed wylądowaniem na ich wielkim kontynencie wtykijskiego Kolumba. W tej epoce wielkich odkryć i w ciągu dwóch następnych stuleci wtykowie zakładali, że przedstawiciele tej cywilizacji wymarli. Ale gdy wtykijscy koloniści zaczęli penetrować dżungle i góry interioru, odkryli kilka małych grup humanoidów. Wycofali się oni w głąb lądu, gdzie mogły ukrywać się tak skutecznie, jak afrykańscy Pigmeje przed wycięciem wielkich lasów tropikalnych. Szacowano, że może być ich tysiąc, może dwa tysiące, rozproszonych na obszarze stu tysięcy kilometrów kwadratowych.

Wtykowie pochwycili kilka okazów, same samce. Przed wypuszczeniem ich na wolność nauczyli się ich języka. Próbowali też się dowiedzieć, dlaczego humanoidy tak nagle i tajemniczo znikły. Ich informatorzy podawali wprawdzie przyczyny, ale wyjaśnienia były sprzeczne i najwyraźniej pochodzenia mitycznego. Po prostu nie znali prawdy, choć mogła ona skrywać się w ich mitach. Niektóre z podań tłumaczyły katastrofę jako plagę zesłaną przez Wielką Boginię albo Matkę Wszech Rzeczy. Inne mówiły, że bogini zesłała hordę demonów, by zgładzić swoich wyznawców, bo zgrzeszyli przeciwko jej prawom. Jedna historia wspomina, że bogini zrzuciła gwiazdy, które spadły na wszystkich poza paroma ludźmi.

Tak czy owak, Yarrow nie dysponował wszystkimi danymi potrzebnymi do przeprowadzenia badań. Lingwista z pierwszej ekspedycji miał tylko osiem miesięcy na ich zgromadzenie, a większą część tego czasu poświęcił na uczenie paru wtyków amerykańskiego – dopiero wtedy mógł naprawdę zacząć pracę. Statek przebywał na Nowozie dziesięć miesięcy, ale przez pierwsze dwa załoga nie opuszczała pokładu. W tym czasie roboty pobierały próbki atmosfery i próbki biologiczne, które następnie były analizowane, by mieć pewność, że Ziemianie mogą zaryzykować wyjście ze statku bez narażania się na zatrucie czy chorobę.

Mimo tych wszystkich środków ostrożności dwaj członkowie ekspedycji zmarli wskutek pokąsania przez owady, jeden został zabity przez osobliwy gatunek drapieżnika, a potem połowę personelu zaatakowała bardzo wyczerpująca, choć nie śmiertelna choroba. Bakteria, która ją spowodowała, była nieszkodliwa dla mieszkańców planety, ale mutowała w organizmach nienowozyjskich żywicieli.

Obawiając się innych chorób, zobowiązany rozkazami do przeprowadzenia jedynie rekonesansu, a nie dokładnej eksploracji, kapitan wydał rozkaz powrotu na Ziemię. Członkowie personelu zostali poddani długotrwałej kwarantannie na stacji orbitalnej, zanim pozwolono im z powrotem postawić nogę na Ziemi. Lingwista zmarł parę dni po wylądowaniu.

Podczas budowy drugiego statku przygotowano szczepionkę na tę chorobę. Inne zebrane bakterie i wirusy przetestowano na zwierzętach, a następnie na ludziach, którzy zostali skazani na P. Działania te zaowocowały wyprodukowaniem licznych szczepionek; niektóre przyprawiły załogę „Gabriela” o złe samopoczucie.

Z jakiegoś powodu, wiadomego tylko hierarchii, kapitan pierwszego statku popadł w niełaskę. Hal przypuszczał, że być może dlatego, iż zaniedbał pobrania próbek krwi autochtonów. Z tego, co wiedział (a było tego niewiele, w dodatku głównie plotki), wtykowie nie zgodzili się na pobranie krwi. Może dlatego, że udzieliła im się podejrzliwość Haijáców. Kiedy ziemscy naukowcy poprosili o zwłoki do sekcji – z powodów czysto naukowych, oczywiście – wtykowie odmówili. Wszyscy ich zmarli, twierdzili, są kremowani, a popioły rozrzucą się po polach. Co prawda, przed kremacją lekarze często przeprowadzali sekcje, ale było to rytualnym elementem ich religii i musiał to zrobić wtykijski lekarz-kapłan.

Kapitan brał pod uwagę porwanie paru wtyków tuż przed startem, czuł jednak, że robienie sobie z nich wrogów nie byłoby mądre. Wiedział, że na Nowoz zostanie wysłana druga ekspedycja dużo większym statkiem. Jeśli jej biolodzy nie zdołają nakłonić wtyków do oddania krwi, wówczas użyje się siły.

W czasie gdy budowano „Gabriela”, wysokiej klasy lingwista czytał notatki i przesłuchiwał nagrania dokonane przez swojego poprzednika. Niestety, zbyt dużo czasu spędzał na próbach dokonania porównań różnych aspektów siddo z językami ziemskimi, martwymi czy żywymi. Zamiast opracować system, dzięki któremu załoga mogłaby szybciej nauczyć się siddońskiego, pogрузzył się w akademickich rozważaniach. Może dlatego nie znalazł się na statku. Hal nie był jednak pewien, bo nie wyjaśniono mu, dlaczego w ostatniej chwili go zastąpił.

I teraz Hal kłął i pracował. Słuchał siddońskich dźwięków i studiował ich wykresy na oscyloskopie. Męczył się nad odtworzeniem ich swoim nienowozyjskim językiem, wargami, zębami, podniebieniem i krtanią. Pracował nad słownikiem siddo-amerykańskim – podstawą, o której jakimś sposobem zapomniał jego poprzednik.

Niestety, zanim on czy ktoś inny z załogi w pełni opanuje siddoński, jego pierwotni użytkownicy będą już martwi.

Hal pracował sześć miesięcy, długo po tym, jak wszyscy poza szczątkową załogą znikli w suspensorze. Najbardziej irytującą sprawą w całym projekcie była obecność Pornsena. *Aspt* chciałby zostać zamrożony, ale musiał zostać, żeby obserwować Hala i korygować jego nierealne zachowania. Jedynym plusem było to, że Hal nie musiał z nim rozmawiać; zawsze mógł się powołać na pilność swojej pracy. Ale po pewnym czasie osamotnienie zrobiło swoje. Skoro miał tylko Pornsena do towarzystwa, więc z nim rozmawiał.

Hal Yarrow znalazł się wśród pierwszych, którzy wyszli z suspensom. Stało się to, jak mu powiedziano, po czterdziestu latach lotu. Rozumowo pogodził się z tym oświadczeniem, ale nigdy tak naprawdę w nie nie uwierzył. Nie nastąpiła żadna zmiana w fizycznym wyglądzie ani jego, ani kolegów. Jedyną odmianą na zewnątrz statku była zwiększona jasność gwiazdy, do której lecieli.

Wreszcie gwiazda stała się najjaśniejszym obiektem w kosmosie. Potem zobaczyli obiegające ją planety. Nowoz, czwarty, licząc od gwiazdy, w przybliżeniu wielkości Ziemi, wyglądał z daleka dokładnie tak jak ona. Załoga wprowadziła dane do komputera i „Gabriel” wszedł na orbitę. Przez czternaście dni krążył wokół planety; w tym czasie z pokładu i z gigów, które opadły w atmosferę i nawet dokonały kilku lądowań, przeprowadzano obserwacje.

Wreszcie Macneff kazał kapitanowi wylądować.

Powoli, zużywając niesłychane ilości paliwa z powodu swojej ogromnej masy, „Gabriel” wszedł w atmosferę i zaczął opadać ku Siddo, stolicy na środkowo-wschodnim wybrzeżu. Spływał delikatnie jak płatek śniegu w kierunku otwartej przestrzeni parku w centrum miasta.

Parku? Całe miasto było parkiem; porośnięte mnóstwem drzew Siddo wyglądało z góry tak, jakby zamieszkiwało je tylko kilka osób, a nie szacunkowe ćwierć miliona. Było tam wiele budynków, nawet dziesięciopiętrowych, ale w takich odległościach od siebie, że nie sprawiały wrażenia natłoku. Szerokie ulice porastała trawa, niewrażliwa na ścieranie. Tylko ruchliwe nabrzeże Siddo przypominało trochę ziemskie miasto. Tutaj budynki stały blisko jeden drugiego, a na wodzie tłoczyły się statki żaglowe i parowce o łopatkowych kołach.

Kiedy „Gabriel” opadał, tłum, który zgromadził się pod nim, rozbiegł się ku granicom łąki. Kolosalny szary kadłub opadł na murawę i natychmiast zaczął prawie niedostrzegalnie osiadać. *Sandalfon Macneff* rozkazał otworzyć główny luk. Z Halem Yarrowem za plecami – na wypadek, gdyby potknął się w przemowie do powitalnej delegacji – wyszedł na powierzchnię pierwszej odkrytej przez Ziemian zamieszkałej planety.

Jak Kolumb, pomyślał Hal. Czy historia się powtórzy?

Później Ziemianie dowiedzieli się, że potężny statek spoczywa dokładnie nad dwoma podziemnymi tunelami kolejki parowej. Na szczęście nie istniało niebezpieczeństwo ich zarwania. Nad solidnymi tunelami zalegała sześciometrowa warstwa skały i dwadzieścia metrów gruntu. Co więcej, statek był tak długi, że większa część jego ciężaru wspierała się na terenie poza tunelami. Kapitan po namyśle zdecydował, że „Gabriel” zostanie tam, gdzie wylądował.

Od wschodu do zachodu słońca personel przebywał wśród Nowozytów, ucząc się ich języka, obyczajów, historii, biologii i rozmaitych rzeczy, które pominęła pierwsza ekspedycja.

Aby wtykowie nie uznali, że Ziemianie są podejrzenie chętni do pobierania próbek krwi, Hal nie poruszał tej kwestii przez sześć tygodni. Dużo czasu spędzał – zwykle w obecności Pornsena – z Nowozytą o imieniu Fobo. Był on jednym z dwóch tubylców, którzy nauczyli się amerykańskiego i trochę islandzkiego w czasie pierwszej ekspedycji. Choć Fobo o pierwszym języku wiedział nie więcej niż Hal o siddońskim, to wystarczyło, żeby przyspieszyć opanowanie języka Siddo przez Hala. Niekiedy rozmawiali całkiem płynnie, na poziomie elementarnym, przeplatając oba języki.

Ziemianie ukrywali swoje zainteresowanie techniką nowozyjską. Logicznie rzecz biorąc, nie mieli czego się obawiać. Wyglądało na to, że wtykowie nie prześcignęli poziomu nauki na Ziemi z początków dwudziestego wieku. Ale ludzie musieli mieć pewność, że to, co widzą na własne oczy, jest wszystkim, czym tamci dysponują. A jeśli wtykowie ukrywali broń o niszczyielskiej mocy i tylko czekali, żeby zaskoczyć przybyszów?

Pociski i głowice atomowe można było wykluczyć. Nowoz nie był na razie zdolny do ich wytworzenia. Ale wydawało się, że wtykijski rozwój nauk biologicznych jest wysoko zaawansowany, co mogło się stać równie przerażające jak broń termojądrowa. Nawet gdyby nie użyli chorób do ataku na Ziemian, pozostawały one śmiertelnym zagrożeniem. Zarazki, na które Nowozytanie tysiące lat nabywali odporność, tak że powodowały tylko drobne dolegliwości, dla

Ziemitan mogły okazać się zabójcze.

Obowiązywała zatem zasada „powoli i ostrożnie”. Dowiedzieć się wszystkiego, czego tylko można. Zebrać dane, skorelować, zinterpretować. Przed rozpoczęciem Projektu Nowozobójstwa upewnić się, że odwet jest niemożliwy.

Cztery miesiące po pojawieniu się „Gabriela” nad Siddo dwaj na pozór przyjaźni (dla wtyków) Ziemianie wyprawili się w podróż z dwoma przypuszczalnie przyjaznymi (dla Ziemian) pluskwiakami. Zamierzali zbadać ruiny miasta wzniesionego dwa tysiące lat wcześniej przez niemal dziś wymarłych humanoidów. Zainspirował ich sen, który przyśnił się na planecie Ziemia lata wcześniej i lata świetlne dalej.

Pojechali pojazdem, w którego istnienie trudno było ludziom uwierzyć!

Silnik czknął i wehikuł podskoczył. Nowozyta, siedzący z prawej strony na tylnym siedzeniu, pochylił się i coś krzyknął. Hal Yarrow odwrócił głowę. – Co? Powtórzył to samo w siddo:

– *Abhudai'akhu?*

Siedzący z tyłu Fobo przysunął usta do ucha Ziemianina. Tłumaczył uwagę Zugu, choć jego amerykański brzmiał dziwacznie, jakby z wewnętrzną wibracją.

– Zugu mówi, że powinieneś podpompować tym małym prętem po prawej stronie. To da... gaźnikowi... znacznie więcej alkoholu.

Antenka na czapce Fobo łaskotała Hala w ucho. Hal wypowiedział słowo-zdanie, składające się z trzydziestu sylab. Oznaczało ono w przybliżeniu „dziękuję”. Tworzył je czasownik w pierwszej osobie liczby pojedynczej rodzaju męskiego czasu teraźniejszego. Z czasownikiem łączyła się sylaba, sygnalizująca zwolnienie od zobowiązań ze strony albo mówiącego, albo słuchającego, następny był odmieniony zaimek pierwszej osoby i kolejna sylaba wskazująca, że mówiący uznaje słuchacza za osobę uczoną, potem trzecia osoba rodzaju męskiego zaimka w liczbie pojedynczej i dwie sylaby, które w takiej a nie innej kolejności klasyfikowały zaistniałą sytuację jako raczej humorystyczną. W odwróconej kolejności wskazywały, że sytuacja jest poważna.

– Co powiedziałeś? – krzyknął Fobo, a Hal wzruszył ramionami. Nagle uświadomił sobie, że zapomniał klasnąć językiem o podniebienie; takie zaniedbanie albo zmieniało znaczenie zwrotu, albo w ogóle pozbawiało go znaczenia. W obu przypadkach nie miał ani czasu, ani chęci, żeby wszystko powtórzyć.

Zamiast tego pomajstrował przy drążku przepustnicy, jak przykazał Fobo. Żeby to zrobić, musiał oprzeć się o siedzącego z prawej strony *aspta*.

– Tysiąckrotnie przepraszam! – ryknął.

Pornsen nie patrzył na Yarrowa. Ręce trzymał na kolanach, tak mocno zaciśnięte, aż

pobierały mu kłykie. Jak jego podopieczny, przeżywał pierwsze doświadczenie z silnikiem wewnętrznego spalania. W przeciwieństwie do Hala był jednak przerażony hałasem, spalinami, podskokami i kołysaniem, a także samym pomysłem jazdy w ręcznie sterowanym pojeździe naziemnym.

Hal wyszczerzył zęby. Kochał ten osobliwy wehikuł, który przypominał mu ilustracje z podręczników historii, przedstawiające ziemskie automobile z drugiej dekady dwudziestego wieku. Przenikał go dreszcz radości, że może kręcić oporną kierownicą i czuć, jak ciężki pojazd podporządkowuje się woli jego mięśni. Podniecał go łoskot czterech cylindrów i smród spalanego alkoholu. Nawet karkołomna jazda była zabawna, romantyczna, jak wyprawa na morze w żagłowiec – miał nadzieję, że tego też zakosztuje przed opuszczeniem Nowozu.

Poza tym, choć nie chciał się do tego przyznać, wszystko, co przerażało Pornsena, jemu sprawiało przyjemność.

Przyjemność dobiegła końca. Cylindry strzeliły, samochód przyhamował, szarpnął do przodu i znieruchomiał. Dwa pluskwiki przeskoczyły nad burtą, bo nie było drzwi, i podniosły maskę. Hal pospieszył za nimi. Pornsen został na siedzeniu. Wyciągnął z kieszeni-munduru paczkę Miłosiernych Serafinów (jeśli anioły paliły, to na pewno wybierały Miłosierne Serafiny) i zapalił. Ręce mu drżały.

Hal zauważył, że od czasu porannych modłów Pornsen sięgał już po czwartego papierosa. Jeśli nie będzie ostrożny, przekroczy limit przewidziany nawet dla *asptów* pierwszej klasy. To oznaczało, że gdy następnym razem Hal wpadnie w kłopoty, będzie mógł prosić *aspta* o pomoc, przypominając mu... Nie! Ta myśl była zbyt uwłaczająca, żeby zatrzymać ją w głowie. Zdecydowanie nierealna, należąca wyłącznie do pseudoprzyszłości. Kochał *aspta*, a *aspt* kochał jego, nie powinien więc planować takiego niesigmeńskiego zachowania.

A jednak, pomyślał, biorąc pod uwagę dotychczasowe kłopoty, pomoc Pornsena z pewnością by nie zaszkodziła.

Hal potrząsnął głową żeby pozbyć się takich myśli, i pochylił się nad silnikiem. Przyglądał się poczynaniom Zugu. Zugu chyba wiedział, co robi. Powinien, skoro był wynalazcą i konstruktorem jedyne – o ile wiedzieli – nowozyjskiego pojazdu napędzanego silnikiem spalinowym.

Zugu odkręcił kluczem długą wąską rurkę od okrągłego szklanego pojemnika. Hal pamiętał, że jest to układ zasilany grawitacyjnie. Paliwo płynęło ze zbiornika do szklanej komory osadowej. Od niej odchodził przewód, którym paliwo dostawało się do gaźnika.

– Umiłowany synu, będziemy tu tkwić cały dzień? – zawołał chrapliwie Pornsen.

Choć maska i gogle, które Nowozyci dali mu jako osłonę przed wiatrem, przysłaniały znaczną część jego twarzy, zaciśnięte usta wyrażały aż za wiele. Było jasne, że jeśli nic się nie zmieni, *aspt* wysmaruje niezbyt pochlebny raport na swojego podopiecznego.

Aspt chciał zaczekać dwa dni potrzebne na załatwienie giga. Podróż do min zabrałaby wtedy piętnaście minut – byłaby bezgłośną i wygodną przejażdżką w powietrzu. Hal dowodził, że w tym lesistym kraju jazda samochodem umożliwi zebranie większej ilości materiału szpiegowskiego niż obserwacja z powietrza. Zgoda zwierzchników była kolejną rzeczą, która zirytowała Pomsena. Musiał iść wszędzie tam, gdzie udawał się jego podopieczny.

I tak dąsał się przez cały dzień, patrząc bezsilnie, jak młody Ziemianin, instruowany przez Zugu, pędził gruchotem po leśnych drogach. Odezwał się tylko raz, żeby przypomnieć Halowi o świętości ludzkiej jaźni, i kazać mu zwolnić.

Hal odpowiedział:

– Wybacz, umiłowany strózu – i zdjął nogę z pedału gazu. Ale po jakimś czasie znów powoli wcisnął gaz do deski. I znów z rykiem pędzili pylistym traktem.

Zugu odkręcił rurkę, wetknął końcówkę do ust w kształcie litery V i dmuchnął. Z drugiej strony nic nie wypadło. Zugu zamknął wielkie niebieskie oczy i ponownie wydał policzki. Nic się nie stało, tylko jego zielonkawa twarz przybrała barwę ciemnej oliwki. Wreszcie trzasnął miedzianym przewodem o maskę i dmuchnął jeszcze raz. Z tym samym rezultatem.

Fobo sięgnął do skórzanej sakiewki wiszącej u pasa, który opinał jego pokaźny brzuch. Wyjął małego niebieskiego owada i delikatnie wepchnął go w wylot rurki. Po paru sekundach z drugiej strony wypadł niewielki czerwony insekt. Za nim, łakomie krzyżując żuwaczki, ukazał się niebieski. Fobo zwinnie złapał swojego pomocnika i schował go do sakiewki. Zugu zmiażdżył sandałem czerwonego.

– Popatrz! – zawołał Fobo. – Pożeracz alkoholu! Żyje w zbiornikach z paliwem, chłonąc je swobodnie i bez ograniczeń. Potem ekstrahuje węglowodany. Pływak na złocistych morzach alkoholu. Co za życie! Ale od czasu do czasu staje się zbyt żądny przygód, zapuszcza się do komory osadowej, przegryza filtr i przechodzi do przewodu paliwowego. Patrz! Zugu już zmienia filtr. Za chwilę ruszymy w dalszą drogę.

Oddech Fobo zionął dziwnym, przyprawiającym o mdłości zapachem. Hal zastanowił się, czy wtyk pił alkohol. Nigdy wcześniej u nikogo nie wyczuł takiego oddechu, więc nie miał podstaw, żeby tak sądzić. Ale już sama myśl o czymś takim wprawiła go w zdenerwowanie. Jeśli *aspt* dowie się, że na tylnym siedzeniu butelka wędruje z rąk do rąk, nie spuści go z oka nawet na minutę.

Wtykowie wspięli się na tył wozu.

– Ruszamy i odjeżdżamy! – zawołał Fobo.

– Chwileczkę – szepnęła Pornsen do Hala. – Myślę, że będzie lepiej, jeśli Zugu tym pokieruje.

– Jeśli poprosisz wtyka o prowadzenie, pomyśli, że nie masz zaufania do mnie, swego kolegi-Ziemianina – odparł Hal. – Chyba nie chcesz, żeby uznał, iż w twoim przekonaniu wtyk jest lepszy od istoty ludzkiej, prawda?

Pornsen zakaszłał, jak gdyby miał kłopoty z przełknięciem uwagi Hala, i wykrztusił:

– O-o-o-oczywiście, że nie! Sigmenie uchowaj! Chodziło mi tylko o twoje dobro. Pomyślałem, że może zmęczyło cię napięcie związane z całodziennym pilotowaniem tego prymitywnego i niebezpiecznego wynalazku.

– Dziękuję ci za troskę. – Hal wyszczerzył zęby i dodał: – Podnosi mnie na duchu myśl, że zawsze jesteś u mego boku, gotów odwieść mnie od niebezpieczeństw pseudoprzyszłości.

– Przystałem na *Zachodni Talmud* być twoim przewodnikiem przez ten żywot.

Utemperowany wzmianką o świętej księdze, Hal zapuścił silnik. Z początku jechał powoli, zgodnie z wolą *aspta*. Ale po pięciu minutach stopa mu zaciężała, a drzewa z wizgiem zaczęły pomykać w tył. Zerknął na Pornsena. Sztywne plecy i zaciśnięte zęby świadczyły, że *aspt* znów rozmyśla o raporcie, jaki złoży naczelnemu Uzzicie po powrocie na statek. Wyglądał na dość rozwścieczonego, żeby skierować swojego podopiecznego na ‘Metr.

Hal Yarrow oddychał głęboko wiatrem, który uderzał w maskę na jego twarzy. Do D z Pornsenem! Do D z ‘Metrem! Krew śpiewała mu w żyłach. Powietrze tej planety nie było dusznym powietrzem Ziemi. Jego płuca zasysały je jak uszczęśliwione miechy. W tej chwili czuł się tak, że mógłby zagrać na nosie samemu Arcyurielicie.

– Uwważaj! – wrzasnął Pornsen.

Hal kątem oka zobaczył duże, podobne do antylopy zwierzę, które wyskoczyło z lasu na drogę tuż przed prawym błotnikiem pojazdu. Zakręcił kierownicą, żeby je wyminąć. Wehikuł wpadł w poślizg i obrócił się tyłem do przodu. Hal nie znał tak dobrze tajników prowadzenia samochodu, żeby wiedzieć, iż w celu wyprowadzenia go z poślizgu nie powinien kontrować.

Jego niewiedza okazała się bardzo niedobra w skutkach tylko dla zwierzęcia, które uderzyło tułowiem w prawy bok pojazdu. Długie rogi zahaczyły o marynarkę Pornsena i rozdarły mu prawy rękaw.

Automobil po zderzeniu z wielką antylopą ruszył prostopadle od drogi, w górę lekko nachylonego zbocza. Dotarłszy do szczytu wzniesienia, wyskoczył w powietrze i wylądował z hukiem pękających wszystkich opon.

Nawet ten wstrząs go nie zatrzymał. Przed Halem zamajaczył wielki krzak. Szarpnął kierownicą. Za późno.

Uderzył twardo piersią w kierownicę, jakby chciał schować kolumnę w deskę rozdzielczą. Fobo walnął go w plecy, zwiększając nacisk na piersi. Obaj wrzasnęli i wtyk odskoczył.

Potem zapadła cisza. Przerwał ją syk. Słup pary z pękniętej chłodnicy strzelił w gałęzie, które trzymały twarz Hala w szorstkim, drapiącym uścisku.

Hal Yarrow spojrział przez kłęby pary w wielkie brązowe oczy. Potrząsnął głową. Oczy? I ręce jak gałęzie? Pomyślał, że znalazł się w ramionach brązowookiej nimfy. Czy może driady? Nie miał kogo zapytać. Jego towarzysze nie mogli wiedzieć o takich stworzeniach. Wzmianki

o nimfach i driadach zostały wymazane ze wszystkich książek, ze *Zrewidowanym i prawdziwym Miltonem* Hacka włącznie. Tylko dlatego, że był lingwistą Hal miał szansę przeczytać nieokrojony *Raj utracony* i dzięki temu poznać mitologię grecką.

Myśli rozbłyskiwały i gasły jak światełka na tablicy kontrolnej statku kosmicznego. Nimfy czasami przemieniały się w drzewa, żeby uciec prześladowcom. Czy spod najdłuższych rzęs, jakie w życiu widział, patrzyły na niego piękne oczy jednej z tych baśniowych leśnych kobiet?

Zacisnął powieki i zastanowił się, czy za tę iluzję odpowiedzialne są obrażenia głowy. A jeśli tak, czy to mu zostanie. Halucynacje tego typu warte były zachowania. Nie dbał, czy przystawały do rzeczywistości czy też nie.

Otworzył oczy. Widziadło znikło.

Patrzyła na mnie tamta antylopa, pomyślał Hal. Ostatecznie udało jej się wyjść cało. Przebiegła przez krzaki i obejrzała się. Oczy antylopy... A moja ciemna jaźń dorysowała do nich głowę, długie czarne włosy, smukłą białą szyję, pełne piersi... Nie! Nierealne! To mój chory umysł, oszołomiony wstrząsem, na chwilę otworzył się na to, co jątrzyło przez czas spędzony na statku bez widoku kobiety, nawet na taśmach...

Zapomniał o oczach. Dławił się. Nad samochodem wisiał ciężki, przyprawiający o mdłości odór. Wypadek musiał okropnie przestraszyć wtyków. Inaczej nie rozluźniliby mimowolnie zwieraczy, które kontrolowały ujście „gazworka”. Narząd ten, pęcherz ulokowany na wysokości talii po stronie pleców, używany był przez przodków Nowożytyów jako potężna broń obronna, podobna do tej, jaką dysponuje żuk bombardier. Dziś jako narząd szczątkowy, gazworek służył do rozładowywania napięcia nerwowego. Skutecznie pełnił swoją rolę, ale wiązało się to z pewnymi problemami. Wtykijscy psychiatrzy, na przykład, podczas terapii albo trzymali szeroko otwarte okna, albo zakładali maski przeciwigazowe.

Keoki Amiel Pornsen w asyście Zugu wyczołgał się spod krzaka, w którym wylądował. Wielki brzuch, błękitny uniform i białe nylonowe skrzydła anielskie naszyte na plecach kaftana sprawiały, że przypominał tłustą niebieską pluskwę. Podniósł się i zdjął maskę automobilową, ukazując twarz, w której nie pozostała kropla krwi. Jego drżące palce gmerały nad skrzyżowaną klepsydrą i mieczem, symbolem Unii Haijac. Wreszcie znalazły klapkę, której szukały. Pornsen rozpiął magnetyczny zatrzask kieszeni i wyjął paczkę Miłosiernych Serafinów. Wetknął papierosa w usta, ale zanadto mu drżały ręce, by mógł go przypalić.

Hal przysunął rozżarzoną spiralkę swojej zapalniczki do czubka papierosa Pomsena. Jego ręka była pewna.

Trzydzieści jeden lat dyscypliny nie pozwoliło się pojawić uśmiechowi, który już-już miał wypełznąć na usta.

Pornsen przyjął ogień. Sekundę później drzenie jego warg zdradziło, że wie, iż utracił znaczną część przewagi nad Yarrowem. Uświadomił sobie, że nie powinien przyjmować

przysług – nawet takich drobnych – od człowieka, którego miałby ochotę wychłostać.

Zaczął oficjalnym tonem:

– Halu Shamshielu Yarrowie...

– *Shib abba*, słyszę i jestem posłuszny – odparł Hal równie oficjalnie.

– Jak wyjaśnisz ten wypadek?

Hal był zaskoczony. Głos Pomsena brzmiał dużo łagodniej niż mógł się spodziewać. Ale jeszcze się nie odprężył; podejrzewał, że *aspt* chce go zaskoczyć i smagnąć biczem wtedy, gdy nie będzie psychicznie przygotowany na atak.

– Ja... a raczej obecny we mnie Wstecznik... oderwał się od rzeczywistości. Moja ciemna jaźń chętnie otwarła się na pseudoprzyszłość.

– Och, doprawdy? – mruknął Pornsen spokojnie, ale z nutką sarkazmu. – Mówisz, że zrobiła to twoja ciemna jaźń, Wstecznik obecny w tobie? Powtarzasz to, od kiedy nauczyłeś się mówić. Czemu zawsze winisz kogoś innego? Wiesz... powinieneś wiedzieć, bo byłem zmuszony chłostać cię za to wiele razy... że ty i tylko ty ponosisz odpowiedzialność. Kiedy dowiedziałeś się, że to twoja ciemna jaźń powoduje odstępstwa od rzeczywistości, zostałeś też uświadomiony, że Wstecznik nie może nic zrobić, jeżeli ty, twoja prawdziwa jaźń, Halu Yarrowie, nie będzie z nim w pełni współpracować.

– To jest równie *shibjak* lewa ręka Zwiastuna. Ale, mój umiłowany *aspicie*, w swoim wykładzie zapomniałeś o jednym.

Sarkazm w głosie Hala też nie budził wątpliwości.

Pornsen ostro zapytał:

– Mianowicie?

– Że ty też uczestniczyłeś w tym wypadku! – zawołał Hal triumfalnie. – A zatem spowodowałeś go tak samo, jak ja!

Pornsen wytrzeszczył oczy.

– Ale... ale to ty prowadziłeś! – bąknął.

– Zgodnie z tym, co zawsze mi mówiłeś, to nie robi różnicy! – Hal z zadowoleniem wyszczerzył zęby. – Zgodziłeś się uczestniczyć w zderzeniu. Gdyby było inaczej, wymiñlibyśmy to zwierzę.

Pornsen wydmuchnął kłęb dymu. Ręka mu drżała. Yarrow patrzył na drugą, wiszącą swobodnie u boku *aspta*, na palce, skręcające siedem rzemieni zwieszających się z rączki zatkniętej za pas.

Pornsen powiedział:

– Zawsze wykazywałeś oznaki godnej pożałowania dumy i niezależności. Te cechy nie przystają do struktury wszechświata, jak ujawnił ludzkości Zwiastun, prawdziwe niechaj będzie jego imię. Ja – oby Zwiastun mi wybaczył! – wysłałem dwa tuziny mężczyzn i kobiet do D. Nie

sprawiło mi to przyjemności, kochałem ich bowiem z całego serca i jaźni. Płakałem, kiedy meldowałem na nich świętej hierarchii, bo jestem człowiekiem miękkiego serca. Ale moim obowiązkiem, jako Anioła Stróża *Pro Tempom*, jest wypatrywanie obmierzłej choroby jaźni, która może rozprzestrzenić się i *zarazić* wyznawców Sigmena. Nierealności nie wolno tolerować. Jaźń jest zbyt słaba i cenna, by wystawiać ją na pokuszenie. Jestem twoim *asptem* od urodzenia. Byłeś nieposłusznym dzieckiem, ale dawało się miłością nakłonić cię do posłuszeństwa i skruchy; często czułeś moją miłość.

Yarrowowi ciarki przebiegły po plecach. Patrzył, jak dłoń *aspta* zaciska się na wystającej z pasa rączce „miłośnika”.

– Jednak dopóki nie ukończyłeś osiemnastu lat, tak naprawdę nie odszedłeś od prawdziwej przyszłości i nie okazałeś słabości do pseudoprzyszłości. To wtedy postanowiłeś zostać obusem zamiast specjalistą. Ostrzegałem cię, że jako obus nie zajdziesz wysoko w naszym społeczeństwie. Ale ty się uparłeś. A ponieważ potrzebujemy obusów, i ponieważ zostałem przegłosowany przez swoich zwierzchników, pozwoliłem ci nim zostać. To było wystarczająco nie *shib*. Ale kiedy wybrałem kobietę najodpowiedniejszą na twoją żonę – taki był mój obowiązek i prawo, któż bowiem prócz kochającego *aspta* może znać typ kobiety najlepszy dla podopiecznego? – zobaczyłem, jaki jesteś dumny i nierealny. Klóciłeś się i protestowałeś, za moimi plecami próbowałeś odwoływać się do moich zwierzchników i upłynął rok, zanim zgodziłeś się ją poślubić. Ten rok nierealnego zachowania kosztował Paściół jedną jaźń...

Twarz Hala pobladła, ujawniając siedem cienkich czerwonych pręg, które sięgały od lewego kącika ust przez policzek do ucha.

– Paściół nic nie stracił! – wybuchnął Hal. – Mary i ja byliśmy małżeństwem dziewięć lat, ale nie mieliśmy dzieci. Badania wykazały, że żadne z nas nie było fizycznie bezpłodne. Z tego wynika, że jedno z nas albo oboje nie myśleliśmy płodnie. Złożyłem podanie o rozwód, choć wiedziałem, że mogę skończyć w P. Dlaczego nie zażądałeś rozwodu, zgodnie ze swoim obowiązkiem, tylko schowałeś moje podanie do szuflady?

Pomsen nonszalancko wydmuchnął dym, ale jedno ramię mu opadło, jakby coś się w nim zarwało. Yarrow doszedł do wniosku, że jego *aspt* znalazł się w defensywie.

– Kiedy dowiedziałem się, że lecisz na „Gabrielu” – powiedział Pomsen – byłem pewien, że nie robisz tego dla dobra Paściola. Z miejsca pomyślałem, że zgłosiłeś się wyłącznie z jednego powodu. I teraz jestem *shib*, *shib* do szpiku kości, że tym powodem była twoja niegodziwa chęć ucieczki od żony. Skoro bowiem bezpłodność, cudzołóstwo i podróż międzygwiazdowa są jedynymi prawnymi podstawami do rozwodu, a cudzołóstwo oznacza pójście do P, skorzystałeś z jedyne go możliwego wyjścia. Legalnie martwy, zostałeś członkiem załogi „Gabriela”. Ty...

– Nie mów mi o legalności! – krzyknął Hal. Trząsł się ze złości i jednocześnie nienawidził siebie za to, że nie umiał ukryć emocji. – Wiesz, że nie wypełniłeś właściwie roli *aspta*, kiedy

skierowałeś moje podanie na ślepy tor! Musiałem się zgodzić...

– Ach, tak myślałem! – Pornsen z uśmiechem wydmuchnął dym. – Odrzuciłem podanie, bo uznałem je za nierealne. Widzisz, miałem sen, bardzo żywy sen, w którym zobaczyłem Mary za dwa lata noszącą twoje dziecko. Nie był to fałszywy sen, tylko taki, który ma wszelkie cechy objawienia zesłanego przez Zwiastuna. Ten sen mi uświadomił, że twoje pragnienie rozwodu było pragnieniem pseudoprzyszłości. Wiedziałem, że prawdziwa przyszłość spoczywa w moich rękach i tylko kierując twoim zachowaniem zdołam ją urzeczywistnić. Zarejestrowałem ten sen następnego dnia, to znaczy zaledwie tydzień po tym, jak rozpatrzyłem twoje podanie, i...

– Udowodniłeś, że zostałeś omamiony przez sen zesłany przez Wstecznika i nie dostrzegłeś objawienia zesłanego przez Zwiastuna! – wykrzyknął Hal. – Pornsen, mam zamiar o tym zameldować! Skażesz się własnymi ustami!

Pornsen zbladł; otworzył usta i papieros upadł na ziemię. Podbródki zadrżały mu z przerażenia.

– C-co... co masz na myśli?

– Niby jak Mary mogła mieć moje dziecko za dwa lata, skoro nie było mnie na Ziemi, żeby je spłodzić? Tak więc to, co śniłeś, nie miało możliwości stać się realną przyszłością! Tym samym pozwoliłeś, żeby Wstecznik cię oszukał. I wiesz, co to oznacza! Jesteś kandydatem do P!

Aspt zesztyniał. Opuszczone lewe ramię zrównało się z drugim. Prawa ręka powędrowała do bicia, zamknęła się na *crnx ansata* na jego końcu i wyszarpnęła go zza pasa. Rzemienie strzeliły w powietrze, parę centymetrów od twarzy Hala.

– Widzisz je? Siedem rzemieni za każdą z siedmiu Śmiertelnych Nierealności! Czuleś je wcześniej; poczujesz je znowu!

– Zamknij się! – warknął szorstko Hal.

Porsenowi znów szczęka opadła.

– Jak... jak śmiesz? – wyjęczał. – Ja, twój umiłowany *aspt*, jestem...

– Mówiłem ci, żebyś się zamknął! – rzucił Hal ciszej, ale równie jadowitym tonem. – Robi mi się niedobrze od twojego skamlania. Robiło mi się niedobrze od lat, przez całe życie.

Mówiąc patrzył, jak zbliża się do nich Fobo. Za nim na drodze leżała martwa antylopa.

Zwierzę nie żyje, pomyślał Hal. Sądziłem, że udało mu się uciec. Te oczy patrzące na mnie zza krzaka. Oczy antylopy? Ale skoro nie żyje, czyje oczy widziałem?

Głos Pornsena przywołał go do rzeczywistości.

– Myślę, mój synu, że powoduje nami gniew, a nie wyrachowana złośliwość. Wybaczmy jeden drugiemu i nie mówmy nic Uzzitom po powrocie na statek.

– Mnie to shib, jeśli ty nie masz nic przeciwko temu.

Hal zdumiał się na widok łez, wzbierających w oczach Pornsena. I był jeszcze bardziej zdziwiony, niemal wstrząśnięty, kiedy Pornsen spróbował objąć go ramieniem.

– Ach, mój chłopcze, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo cię kochałem, jak wielki odczuwałem ból, gdy musiałem cię karać!

– Raczej trudno mi w to uwierzyć – rzucił Hal i podszedł do Fobo.

Fobo też miał łzy w swych nieładzko wielkich, okrągłych oczach. Ale z innego powodu. Płakał z żalu nad zabitym stworzeniem i z szoku po wypadku. Jednak z każdym krokiem zrobionym w kierunku Hala jego twarz stawała się mniej ponura, a łzy wysychały. Palcem wskazującym prawej ręki kreślił koło nad głową.

Hal wiedział, że jest to znak religijny używany przez wtyków w wielu różnych sytuacjach. Wyglądało na to, że w tym wypadku Fobo zażegnaje nim narosłe napięcie. Niespodziewanie uśmiechnął się upiornym uśmiechem pluskwiaka. Już znowu był w dobrym humorze. Choć nadwrażliwy, jego układ nerwowy szybko odzyskiwał równowagę. Napięcie narastało i rozładowywało się równie łatwo.

Fobo stanął przed nimi i zapytał:

– Zderzenie osobowości, panowie? Nieporozumienie, sprzeczka, kłótnia, dyskusja?

– Nic takiego – odparł Hal. – Po prostu byliśmy trochę wstrząśnięci. Powiedz mi, jak daleko do tych ruin humanoidów? Wasz samochód nie nadaje się do dalszej jazdy. Powiedz Zugu, że jest mi przykro.

– Nie zawracaj sobie czaszki... głowy. Zugu i tak był gotów zbudować nowy, lepszy wehikuł. Co do spaceru, będzie przyjemny i stymulujący. To tylko... kilometr? Coś koło tego.

Hal rzucił na siedzenie maskę i gogle. Upadły obok sprzętu Nowożytnów. Wyciągnął swoją walizkę z przegródki za tylnym siedzeniem. Walizkę *aspta* zostawił, choć nie bez lekkiego poczucia winy. Wiedział, że jako podopieczny powinien zaproponować, iż ją poniesie.

– Do D z nim – mruknął.

Do Fobo powiedział:

– Nie boisz się, że ktoś ukradnie nasze przybory automobilowe?

– Słucham? – zapytał Fobo, chętny do nauczenia się nowego słowa. – Ukradnie? Co to znaczy?

– Zabierze po kryjomu czyjąś własność bez pozwolenia i zatrzyma ją dla siebie. To przestępstwo, karane przez prawo.

– Przystępstwo?

Hal poddał się i ruszył szybko drogą. Za nim *aspt*, zły, ponieważ został odtrącony, a w dodatku jego podopieczny pogwałcił etykietę zmuszając go do niesienia walizki.

Krzyknął w stronę Hala:

– Nie posuwaj się za daleko, ty... ty obusie!

Hal nie odwrócił się, tylko przyspieszył. Wściekła riposta, jaką zaczął mamrotać pod nosem, urwała się w połowie. Kątem oka zauważył mignięcie białej skóry w zielonym listowiu.

Był to tylko błysk, który zniknął równie szybko, jak się pojawił. Hal nie mógł być nawet pewien, czy nie było to białe, rozpostarte skrzydło ptaka. Jednak... mógł być pewien. Na Nowozie nie było ptaków.

Su Yarrow. *Su Yarrow. Wulejtu, su Yarrow.*

Hal się przebudził. Przez chwilę nie pamiętał, gdzie się znajduje. Gdy już całkowicie otrząsnął się ze snu, przypomniał sobie, że spał w jednej z marmurowych komnat w ruinach. Drzwiami wlewało się światło księżyca, jaśniejsze niż na Ziemi. Oświetlało jakiś kształt, który przywierał od dołu do łuku wejścia. Błysnęło krótko na owadzie, który przeleciał pod łukiem. Coś długiego i cienkiego śmignęło nagle w dół, złapało insekta i wciągnęło go w rozwartą paszczę.

Jaszczurka, wypożyczona im przez kustoszy ruin, wykonywała swoją robotą, wyłapując szkodniki.

Hal przekręcił głowę, żeby spojrzeć w otwarte okno. Tam łapacz też był zajęty oczyszczaniem terenu z moskitów.

Głos zdawał się dochodzić spoza wąskiego, omywanego poświatą prostokąta drzwi. Hal wyteżył słuch, jak gdyby mógł zmusić ciszę do wydania głosu jeszcze raz. Ale nic nie usłyszał. Po chwili aż podskoczył, gdy za plecami rozległo się węszenie i grzechotanie. Stworzenie wielkości szopa stało w drzwiach. Był to jeden z tych quasi-owadów, tak zwanych płucorobaków, które grasowały w lesie po nocy. Reprezentował gatunek stawonogów nie znany na Ziemi. W przeciwieństwie do ziemskich kuzynów, miał nie tylko tchawki, czyli rurki do oddychania, ale i dwa worki powietrzne za otworem gębowym. Worki nadymały się i kurczyły, jak u żaby, wydając sapiące odgłosy.

Choć płucorobak miał kształt groźnej modliszki, Hal nie musiał się nim przejmować. Fobo zapewnił ich, że nie jest niebezpieczny dla człowieka.

Nagle w pokoju zawibrował przeszywający dźwięk, podobny do jazgotu budzika. Pornsen usiadł na posłaniu pod ścianą. I wrzasnął na widok robaka. Owad uciekł. Hałas, którego źródłem był mechanizm na nadgarstku *aspta*, po chwili ucichł.

Pornsen położył się z jękiem.

– Te *sib* robale obudziły mnie szósty raz.

– Wyłącz alarm – poradził Hal.

– Żebyś mógł się wymknąć i wylać nasienie na ziemię?

– Nie masz prawa oskarżać mnie o takie nierealne zachowanie. – Hal mówił mechanicznie, bez specjalnej złości. Myślał o głosie.

– Sam Zwiastun powiedział, że nikt nie jest nieskazitelny – mruknął Pornsen. Westchnął i zasypiając wymamrotał: – Ciekawe, czy ta plotka jest prawdą... Sam Zwiastun może być na tej planecie... obserwując nas... przepowiedział... aaa...

Hal usiadł na łóżku i czekał, aż Pornsen zacznie chrapać. Jemu też ciążyły powieki. Na

pewno przyśnił mu się ten miękki, niski głos, mówiący coś w języku, który nie był ani ziemski, ani nowożyjski. Musiało tak być, skoro głos brzmiał jak ludzki, a on i *aspt* byli jedynymi przedstawicielami *Homo sapiens* w promieniu dwustu kilometrów.

Był to głos kobiety. Zwiastunie! Usłyszeć znów kobietę! Tylko nie Mary. Nie chciał już nigdy ani słyszeć jej głosu, ani usłyszeć o niej. Była jedyną kobietą, którą mógł – czy ośmieli się to pomyśleć? – osiąść. To było przykre, obrzydliwe i ponizające doświadczenie. Ale nie odebrało mu pragnienia – cieszył się, że nie ma tu Zwiastuna, mogącego odczytać jego myśli – spotkania innej kobiety, która doprowadziłaby go do prawdziwej ekstazy. Znane mu miłosne uniesienie, sprowadzające się do wylewania nasienia – Zwiastunie, dopomóż! – było z pewnością tylko cieniem i pustką w porównaniu z tym, które czekało...

– *Su Yarrow. Wuhlejhu. Sa mfa, z 'net Tastinak. R 'gateh wa fhnet.*

Powoli podniósł się z łóżka. Czuł się tak, jakby lodowa skorupa skuwała mu kark. Szept dochodził zza okna. Popatrzył przez nie. Zarys kobiecej głowy zamajaczył w prostokącie księżycowego światła. Blask przemienił się w kaskadę. Księżycowa ulewa spłynęła po białych ramionach. Biały palec przekreślił czerń ust.

– *Pu wamu tu bou czu. E'uteh. Luneh. Lit, silwupleh.*

Zdrętwiały, ale posłuszny, jak po zastrzyku hipno-lipno, ruszył w kierunku drzwi. Nie był jednak zszokowany na tyle, żeby nie spojrzeć na Pornsena, by sprawdzić, czy nadal śpi.

Mało brakowało, a górę wzięłyby zakorzenione odruchy – przez sekundę chciał zbudzić *aspta*. Ale cofnął wyciągniętą rękę. Musiał zaryzykować. Naleganie i strach w tym głosie powiedziały mu, że kobieta jest zrozpaczona i potrzebuje jego pomocy. I było jasne, że nie chciała, by budził Pornsena.

Co powiedziałyby Pornsen, co by zrobił, gdyby się dowiedział, że za ścianą tego pokoju jest kobieta?

Kobieta? Skąd tutaj kobieta?

Jej słowa brzmiały jakby znajomo. Doznawał dziwnego wrażenia, że powinien znać ten język. Ale nie znał.

Przystanął, żeby pomyśleć. Jeśli Pornsen przebudzi się i zerknie na łóżko, żeby sprawdzić, czy jego podopieczny nadal śpi... Wrócił do posłania i wepchnął walizkę pod prześcieradło, które dał mu kustosz. Zwinął bluzę i umieścił ją obok walizki. Wysunął jeden koniec i położył na poduszce. Jeśli Pornsen będzie zaspany, może weźmie ciemną płamę na poduszce i wyrzuczone prześcieradło za jego głowę i tułów.

Po cichu, na bosaka, ruszył do drzwi. Stał w nich, niczym na straży, jakiś przedmiot wysokości około osiemdziesięciu centymetrów. Figurka archanioła Gabriela z na w pół rozpostartymi skrzydłami i ze wzniesionym nad głową mieczem.

Gdy jakiś obiekt cięższy od myszy znalazł się w zasięgu promieniującego z figury pola

o promieniu pół metra, następowo przekazanie sygnału do małej kasetki zamocowanej na srebrnej bransolecie na rękę Pornsena. Kasetka podnosiła alarm – jak po pojawieniu się płucorobaka – który wyrwał Pornsena z najgłębszego snu.

Zadaniem posążka było nie tylko ostrzeżenie przed wchodzącymi, ale również zapewnienie, że Hal nie wyjdzie z pokoju bez wiedzy *aspta*. Kanalizacja w ruinach była nieczynna, więc jedynym pretekstem do wyjścia na zewnątrz byłaby potrzeba fizjologiczna. *Aspt* poszedłby jednak za nim, żeby sprawdzić, czy nie próbuje zrobić czegoś innego.

Hal podniósł packę na muchy. Miała długą na prawie metr rączkę zrobioną z jakiegoś giętkiego drewna. Ważyła za mało, żeby uaktywnić alarm. Drżącą ręką, bardzo ostrożnie, końcem drewnianego kijka przesunął posążek na bok. Musiał uważać, żeby go nie przewrócić, bo przekrzywienie też uruchamiało alarm. Na szczęście kamienną posadzkę uprzętnięto z nagromadzonego przez stulecia rumoszu. Kamień był gładki, wypolerowany przez pokolenia stóp.

Hal przestąpił próg i ręką packi przesunął figurkę na poprzednie miejsce. Potem, z walącym sercem, podniecony manipulowaniem statuetką i spotkaniem z dziwną kobietą, skreślił za róg budowli.

Kobieta odsunęła się od okna w cień posągu, klęczącej bogini, jakieś czterdzieści metrów dalej. Ruszył w jej stronę, ale zaraz zobaczył, dlaczego się ukryła. W jego stronę szedł Fobo. Hal przyspieszył. Chciał zatrzymać wtyka, zanim ten zauważy dziewczynę i zanim zbliży się na tyle, by ich głosy obudziły Pornsena.

– Szalom, aloha, dobrych snów, niech Sigmen cię kocha – zagadnął Fobo. – Wyglądasz na zdenerwowanego. Czy to przez ten przedpołudniowy wypadek?

– Nie. Po prostu nie mogę zasnąć. Chciałem też obejrzeć te ruiny w świetle księżyca.

– Imponujące, piękne, niesamowite i trochę smutne – rzekł Fobo. – Myślę o tych ludziach, o wielu pokoleniach, które tu żyły... jak się rodzili, bawili, śmiali, płakali, cierpieli, dawali życie i umierali. Wszyscy, wszyscy... każdy z nich umarł i obrócił się w proch. Ach, Hal, to mnie przyprawia o łzy... zwłaszcza jak myślę o moim losie.

Fobo wyciągnął chusteczkę z sakiewki u pasa i przedmuchał nos.

Hal popatrzył na niego. Jaki ludzki pod pewnymi względami był ten potwór, ten autochton z Nowozu. Nowoz. Dziwna nazwa, z którą wiązała się jakaś opowieść. Co to za historia? Podobno odkrywca tej planety na widok tubylców zawołał: „Nowe Oz!”.

I nic dziwnego. Tubylcy przypominali profesora Pluskwiaka Wtyka Straszego z powieści Franka Bauma. Korpusy mieli okrągłe, a kończyny stosunkowo chude. Usta w kształcie dwóch szeroko rozwartych, zachodzących jedna na drugą liter V, były grube i mięsiste. Prawdę mówiąc, pluskwiaki miały po cztery wargi – każdą laseczkę dwóch V rozdzielały głębokie bruzdy w miejscu zetknięcia. Kiedyś, daleko wstecz na ścieżce ewolucji, te usta były zmodyfikowanymi

ramionami. Teraz te szczątkowe kończyny tak dobrze pełniły rolę narządu mowy, że nikt nie odgadłby ich pochodzenia. Początkowo Ziemianie martwieli z przerażenia, gdy te szerokie usta otwierały się w uśmiechu. Wtykowie nie mieli zębów, tylko ząbkowane brzegi żuchwy. Z podniebienia zwisał fałd skórny. Niegdyś nosogardziel, teraz szczątkowy górny język. To ten organ nadawał charakterystyczne brzmienie nowozyjskim głoskom i sprawiał, że ludzie mieli tyle kłopotów z ich odtworzeniem.

Skórę mieli jasną jak Hal, rudowłosy. Ale odcień jego cery był różowy, a ich lekko zielonkawy. Miedź, nie żelazo, wiązała tlen w ich krwinkach. Przynajmniej tak twierdzili. Dotychczas nie wyrazili zgody na pobranie krwi przez Haijaców. Oznajmili, że powodem ich niechęci są przede wszystkim pewne zakazy religijne. Obiecali jednak, że może udzielią zezwolenia za cztery czy pięć tygodni – gdy nabiorą pewności, że Ziemianie nie zamierzają pić ich krwi.

Macneff uznał, że kłamią, choć nie miał ku temu powodów. Nowozyci nie mogli przecież wiedzieć, po co Ziemianom ich krew.

Ponieważ w ich przypadku rolę nośnika tlenu pełniła miedź, Nowozyci byli znacznie słabsi i mniej wytrzymali fizycznie od Ziemian. Ich krwinki nie przenosiły tlenu równie wydajnie. Ale Natura dokonała tu pewnej kompensacji. Fobo miał dwa serca, które były szybciej niż serce Hala i pompowały krew grubszymi arteriami i żyłami.

Mimo to najszybszy sprinter czy maratończyk z tej planety zostałby daleko w tyle za swoim ziemskim odpowiednikiem.

Hal pożyczył od Fobo książkę o ewolucji, jednak niewiele mógł z niej wyczytać, musiał więc na razie zadowolić się obejrzeniem licznych ilustracji. Fobo wyjaśnił mu, co przedstawiały.

Hal nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Mówisz, że ssaki pochodzą od glisty, żyjącej w pramorzu? Musicie się mylić! Wiemy, że pierwszą lądową formą życia był płaz. Jego płetwy przekształciły się w kończyny i stracił zdolność pobierania denu z wody morskiej. Z płazów wyewoluowały gady, z nich prymitywne ssaki, następnie stworzenia owadożerne, potem pramałpy, małpy i wreszcie pracłowiek, a na koniec człowiek współczesny!

– Doprawdy? – zapytał spokojnie Fobo. – Nie wątpię, że było tak, jak powiedziałeś, ale na Ziemi. U nas ewolucja obrała inną drogę. Tutaj istniały trzy pierwotne „*ba takuju*”, to znaczy matki-robaki. Jedna miała w krwinkach hemoglobinę, druga miedź, trzecia wanad. Pierwsza miała naturalną przewagę nad pozostałymi, ale z jakiegoś powodu zdominowała tylko ten kontynent. Dysponujemy pewnymi dowodami, świadczącymi, że pierwsza linia na wczesnym etapie ewolucji rozpadła się na dwie gałęzie. Przedstawiciele obu miały struny grzbietowe, ale nie były ssakami. Tak czy owak, wszystkie matki-robaki miały płetwy, które przekształciły się na drodze ewolucji w kończyny i...

– To niemożliwe – przerwał mu Hal. – Ewolucja nie mogła przebiegać w ten sposób! Wasi naukowcy popełnili poważny błąd. Zresztą wasza paleontologia jest w powijkach; liczy tylko sto lat.

– Jesteś terrocentryczny i ograniczony. Masz za słabą wyobraźnię. Twoje arterie myślowe są stwardniałe. Weź pod uwagę możliwość, że w tym wszechświecie mogą istnieć miliardy zamieszkałych planet i że na każdej z nich ewolucja mogła wybrać trochę inną albo nawet diametralnie różną drogę. Wielka Bogini jest eksperymentatorką. Znudziłaby się powtarzaniem stale tego samego. Nie mam racji?

Hal był pewien, że wtykowie się mylą. Na nieszczęście nie mieli żyć dość długo, żeby przejął wyższą i dużo starszą naukę Haijatorów.

Fobo zdjął czapkę z imitacją dwóch czułek, symbolem przynależności do klanu Pasikoników. Choć to zmniejszyło jego podobieństwo do profesora Wtyka Straszego, łysy przód czaszki i blond meszek na potylicy budziły podobne skojarzenia, wzmocnione przez prosty, wyrastający ze środka twarzy, komicznie długi nos. W jego chrząstkach kryły się dwie antenki, narządy węchu.

Uwaga Ziemianina, który pierwszy zobaczył Nowozytów, była jak najbardziej usprawiedliwiona – jeżeli w ogóle ją wygłosił, w co trudno było uwierzyć. Po pierwsze, w lokalnym języku występowało słowo Nowoz na określenie Matki Ziemi. Po drugie, nawet gdyby człowiek z pierwszej ekspedycji wymyślił tę nazwę, to nie śmiałyby wypowiedzieć jej na głos. Powieści o krainie Oz w Unii Haijac były zakazane; nie mógłby też nigdzie wyczytać tego terminu, chyba że zaryzykował zakup u pokątnego księgarza. Możliwe zresztą, że to zrobił. Prawdę mówiąc, to jedyne wyjaśnienie. Gdyby było inaczej, skąd podróżnik kosmiczny, który opowiedział Halowi tę historię, mógłby zaczerpnąć to słowo? Być może autor historii nie musiał się przejmować, czy władze dowiedzą się, że czytał zakazane książki. Podróżnicy kosmiczni byli sławni – albo niesławni – z lekceważenia niebezpieczeństw i swobodnego podchodzenia do nakazów Paściola, kiedy byli poza Ziemią.

Hal uświadomił sobie, że Fobo do niego mówi.

– ...ten obus, jak cię nazwał Monsieur Pornsen, kiedy był taki wściekły... Co to oznacza?

– Osobę, która nie jest specjalistą w żadnej dziedzinie, ale wie wiele o wszystkich. Innymi słowy, jestem oficerem łącznikowym między różnymi naukowcami i urzędnikami rządowymi. Moje zadanie polega na podsumowywaniu i integrowaniu bieżących doniesień naukowych, a następnie prezentowaniu wyników hierarchii.

Zerknął na posąg.

Kobiety nie było w polu widzenia.

– Nauka – ciągnął – stała się tak wyspecjalizowana, że zrozumiała komunikacja między naukowcami nawet w obrębie tej samej dyscypliny jest bardzo trudna. Każdy naukowiec ma

głęboką wiedzę pionową w swojej specjalizacji, lecz niewiele wiedzy poziomej. Im więcej wie o swojej dyscyplinie, tym mniej świadom jest tego, co robią inni w dyscyplinach pokrewnych. Po prostu nie ma czasu na przeczytanie choćby ułamka z przytłaczającego ogromu publikacji. Jest tak źle, że z dwóch lekarzy, którzy specjalizują się w chorobach nosa, jeden leczy lewą, a drugi prawą dziurkę.

Fobo ze grozą wyrzucił ręce do góry.

– Ale w ten sposób nauka znajdzie się w martwym punkcie! Na pewno przesadzasz!

– Co do lekarzy, tak. – Halowi udało się wyszczerzyć zęby w imitacji uśmiechu. – Ale w ogóle nie za bardzo. I to prawda, że nauka nie rozwija się dziś w postępie geometrycznym jak niegdyś. Naukowcomi brakuje czasu, poza tym ma zbyt mały kontakt z innymi uczonymi. Odkrycie dokonane w innej dziedzinie nie pomoże mu we własnych badaniach, bo po prostu się o nim nie dowie.

Zobaczył, że zza cokołu posągu wysuwa się głowa. Po chwili znikła. Zaczaj się pocić.

Fobo wypytał go o religię Zwiastuna. Hal był oszczędny w słowach i całkowicie zignorował niektóre pytania, choć czuł z tego powodu pewne zakłopotanie. Wtykowi nie można było odmówić logiki, a logika była światłem, które Hal bał się skierować na to, czego nauczyli go Urielici.

Wreszcie oświadczył:

– Jest absolutną prawdą że większość ludzi może subiektywnie przenosić się w czasie, ale Zwiastun, jego zły uczeń Wstecznik oraz żona Wstecznika są jedynymi ludźmi, którzy mogą odbywać podróże obiektywnie. Wiem, że to prawda, bo Zwiastun przepowiedział, co się stanie w przyszłości, a jego wszystkie przepowiednie się spełniły. I...

– Wszystkie przepowiednie?

– No, poza jedną. Ale okazało się, że była to nierealna przepowiednia, pseudoprzyszłość jakimś sposobem przemycona przez Wstecznika do *Zachodniego Talmudu*.

– Skąd wiecie, że inne przepowiednie, które jeszcze nie zdążyły się spełnić, nie są również fałszywe?

– Cóż... nie wiemy. Jedynym sposobem poznania prawdy jest czekanie na odpowiedni czas. Wtedy...

Fobo uśmiechnął się.

– Wtedy się dowiedziecie, że dana przepowiednia nie została napisana i wtrącona przez Wstecznika.

– Oczywiście. Ale Urielici od paru lat pracują nad metodą, która, jak mówią przez wewnętrzne świadectwo wykaże, czy przyszłe wypadki są przyszłością prawdziwą czy fałszywą. Przed opuszczeniem Ziemi w każdej chwili spodziewaliśmy się usłyszeć, że skończono opracowywać tę niezawodną metodę. Naturalnie, dowiemy się o tym dopiero po powrocie na

Ziemię.

– Czuję, że ta rozmowa wprawia cię w zdenerwowanie. Może podejmiemy temat innym razem? Powiedz mi, co myślisz o tych ruinach?

– Bardzo ciekawe. Interesuję się tym zaginionym ludem, ponieważ należał on do ssaków, podobnie jak my, Ziemianie. Nie mogę sobie tylko wyobrazić, jak to się stało, że wymarł. Gdyby byli tacy jak my, a wydaje się, że byli, ich cywilizacja kwitłaby nadal.

– Byli dekadencją, kłótniwą, chciwą, żądną krwi, złośliwą rasą – powiedział Fobo. – Choć nie wątpię, że żyło wśród nich wielu wspaniałych ludzi. Nie wierzę, by wybili się wzajemnie, z wyjątkiem paru tuzinów. Wątpię też, czy wygubiła ich jakaś plaga. Może pewnego dnia się tego dowiemy. Na razie jestem zmęczony, więc idę do łóżka.

– Mnie się nie chce spać. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pokręcę się tutaj. Te ruiny są takie piękne w blasku księżyca.

– Co przychodzi mi na myśl poemat naszego wielkiego barda Shamero. Gdybym go pamiętał i umiał dobrze przetłumaczyć na amerykański, wyrecytowałbym ci fragmenty.

Fobo rozdziawił dziwaczne usta w ziewnięciu.

– Muszę iść spać, odpocząć, wsunąć się w ramiona Morfeusza. Aha, jeszcze jedno. Masz przy sobie coś, czym mógłbyś bronić się przed tym, co skrada się po nocy?

– Wolno mi nosić nóż w pochwie przy bucie.

Fobo sięgnął za pazuchę i wyjął pistolet. Podał go Halowi.

– Proszę! Mam nadzieję, że nie będziesz musiał go użyć, ale nigdy nie wiadomo. Żyjemy w dzikim, drapieźnym świecie, przyjacielu. Zwłaszcza tutaj, poza miastem.

Hal z zaciekawieniem obejrzał pistolet, podobny do egzemplarzy widzianych w Siddo. Był prymitywny w porównaniu z małymi automatami na „Gabrielu”, ale wzbudzał fascynację jak każda obca broń. Przypominał dawne stalowe pistolety na Ziemi. Sześciokątna lufa miała niecałe trzydzieści centymetrów długości; kaliber wynosił około dziesięciu milimetrów. Bębenek zawierał pięć mosiężnych pocisków załadowanych czarnym prochem i ołowianymi kulami. Spłonki, jak Hal przypuszczał, zawierały piorunian rtęci. O dziwo, pistolet nie miał spustu; silna sprężyna ściągała zwalniany palec młoteczek na spłonkę.

Hal chętnie obejrzałby sobie mechanizm, który obracał bębenek po odciągnięciu młoteczka, ale nie chciał zatrzymywać Fobo dłużej niż potrzeba.

Mimo wszystko nie mógł się powstrzymać od pytania, dlaczego Siddonowie nie używają spustu. Fobo był zaskoczony. Kiedy usłyszał wyjaśnienie Hala, zamrugał wielkimi okrągłymi oczami – co wyglądało dość niesamowicie, bo podnosiła się dolna powieka – i powiedział:

– Nigdy o tym nie pomyślałem! Spust jest pewniejszy i mniej kłopotliwy dla tego, kto strzela, prawda?

– Dla mnie to oczywiste, ale przecież jestem Ziemianinem i myślę jak Ziemianin. Wcale nie

zaskakuje mnie fakt, że wy, Nowozyci, nie zawsze myślicie jak my.

Oddał pistolet Fobo i dodał:

– Przykro mi, ale nie mogę go wziąć. Nie wolno mi nosić broni.

Fobo zrobił zdumioną minę, ale najwidoczniej uznał, że wypytywanie o powody byłoby niegrzeczne. A może po prostu był zbyt zmęczony.

– Dobrze. Szalom, aloha, dobrych snów, oby Sigmen cię odwiedził.

– Szalom, Fobo. – Hal patrzył, jak szerokie plecy wtyka znikają i nika w mroku, i ogarnęło go ciepłe uczucie sympatii do tego stworzenia, mimo jego całkowicie obcego i niehumanoidalnego wyglądu.

Hal odwrócił się i ruszył w stronę posągu Wielkiej Matki. Kiedy znalazł się u jego podstawy, zobaczył kobietę nikałą w cieniu rzucanym przez wysoki na metr stos gruzu. Podążył za nią i stwierdził, że wyprzedza go o parę rzutów kamieniem. Wreszcie stanęła, opierając się o monolit. Dalej rozciągało się jezioro, srebrne i czarne w poświacie księżyca.

Hal ruszył ku niej i był w odległości około pięciu metrów, gdy przemówiła niskim, gardłowym głosem.

– *Bou sfa, su Yarrow.*

– *Bou sfa* – powtórzył, wiedząc, że musi być to powitanie w jej języku.

– *Bou sfa* – rzekła jeszcze raz, a następnie, tłumacząc dla niego zwrot na siddoński, dodała: – *Abhu'umaigeitsi'i.*

Co znaczyło z grubsza „dobry wieczór”.

Hal sapnął z wrażenia.

Teraz już wiedział, dlaczego słowa brzmiały jakby znajomo, a rytm jej mowy przypominał mu niedawne doświadczenie. Powróciły wspomnienia o badaniach prowadzonych w maleńkiej wspólnocie ostatnich francuskojęzycznych mieszkańców Rezerwatu Zatoki Hudsona.

Bou sfa. Bou sfa to bon soir.

Choć jej język był od strony lingwistycznej mocno zdegenerowany, jego pochodzenie pozostało wyraźne. *Bou sfa*. I jeszcze inne słowa, które słyszał przez okno. *Wulejlu*. To mogło być *levez-vous*, francuskie „wstawaj”. *Su Yarrow*. Czy znaczyło to *Monsieur Yarrow*? Początkowe *m* zniknęło, francuskie *eu* przekształciło się w dźwięk, który przypominał amerykańskie *u*... Na pewno. Były też inne zmiany w tym zdegenerowanym francuskim. Rozwój przydechu. Zarzucenie nazalizacji. Przesunięcie samogłosek. Zastąpienie *k* przed samogłoską przez apostrof. Zamiana *d na t*, *l na ł*, dźwięk pośredni między *v i f*, *w na f*. Co jeszcze? Musiały również nastąpić transmutacje w znaczeniu niektórych słów i pojawić się nowe słowa w miejsce starych.

Tak, wbrew pozornej obcości, był to język galijski.

– *Baw sfa* – powtórzył.

Jakie niezwykle powitanie, pomyślał. Oto dwie istoty ludzkie spotykają się ponad czterdzieści lat świetlnych od Ziemi: mężczyzna, który nie widział kobiety od całego subiektywnego roku, i kobieta, najwyraźniej ukrywająca się i przestraszona, może jedyna pozostała na tej planecie. A on może powiedzieć tylko „dobry wieczór”.

Podszedł bliżej i zarumienił się z zażenowania. Mało brakowało, a odwróciłby się i uciekł. Jej białą skórę przysłaniały tylko dwa wąskie paski czarnego materiału, jeden w poprzek piersi, drugi owinięty wokół bioder. Takiego widoku nie oglądał nigdy w życiu, pomijając tamtą zakazaną fotografię.

Zażenowanie minęło niemal natychmiast, gdy zobaczył, że kobieta ma pomalowane usta. Hal poczuł dreszcz strachu. Jej wargi były szkarłatne, jak usta złej żony Wsteczніка.

Zmusił się do opanowania. Musiał myśleć racjonalnie. Ta kobieta nie mogła być Anną Changer, przybyłą z dalekiej przeszłości na tę planetę, żeby go uwieść i zwrócić przeciwko prawdziwej religii. Nie mówiłaby zniekształconym francuskim. A przede wszystkim nie ukazałaby się osobie tak mało ważnej jak on. Przyszłaby raczej do naczelnego Urielity, Macneffa.

Szminka przypomniła Halowi o sprawie kosmetyków. Kosmetyki zniknęły z nastaniem Zwiastuna. Żadna kobieta nie śmiała... no, nie było to do końca prawdą... tylko w Unii Haijac kosmetyki zostały zakazane. Kobiety izraelskie, malajskie i Bantu malowały twarze. Ale wszyscy wiedzieli, do jakiego rodzaju się zaliczały.

Zrobił jeszcze krok i znalazł się dość blisko, by zobaczyć, że szkarłat warg jest naturalny. Ogarnęła go ogromna ulga. A więc nie mogła być żoną Wsteczніка. Nie mogła nawet pochodzić z Ziemi. Musiała być nowozyjskim humanoidem. Freski na ścianach ruin przedstawiały czerwonouste kobiety, a Fobo powiedział mu, że wszystkie rodziły się z płomiennym pigmentem na wargach.

Odpowiedź na jedno pytanie zrodziła następne. Dlaczego mówiła ziemskim językiem, albo raczej pochodną ziemskiego języka? Hal był pewien, że ten język nie istniał już na Ziemi.

W następnej chwili zapomniał o swoim pytaniu. Dziewczyna przywarła do niego, a on otoczył ją ramionami, niezdarnie próbując ją uspokoić. Płakała i wyrzucała z siebie słowa w takim tempie, że choć znał ich pochodzenie, wyłapywał sens tylko nielicznych.

Poprosił ją, żeby mówiła wolniej i powtórzyła wszystko jeszcze raz. Umilkła, lekko przechyliła głowę i przeczesła włosy palcami. Uznał, że ten gest jest dla niej charakterystyczny, kiedy się zastanawia.

Zaczęła mówić wolniej, ale zaraz znowu przyspieszyła. Pełne wargi poruszały się niczym dwa jaskrawoczerwone, niezależne od niej stworzonka, wiodące własne życie i mające własny cel.

Hal patrzył zafascynowany. Wreszcie, zawstydzony, oderwał wzrok od tych purpurowych warg i spróbował zajrzeć w szeroko otwarte, ciemne oczy. Nie mógł napotkać jej spojrzenia.

Opowiadała swoją historię niespójnie, wiele rzeczy powtarzając i przekręcając. Wielu słów nie rozumiał, ale odgadywał ich znaczenie z kontekstu. Zrozumiał, że nazywa się Jeanette Rastignac i że pochodzi z płaskowyżu w największych górach tego kontynentu. Że ona i jej trzy siostry są, o ile jej wiadomo, jedynymi żyjącymi przedstawicielkami swojego rodzaju. Że została pochwycona przez oddział badawczy wtyków, którzy zamierzali zabrać ją do Siddo. Że uciekła, a potem ukrywała się w ruinach i otaczającym je lesie. Że przerażały ją straszne stworzenia, grasujące po nocy. Że żywiła się dzikimi owocami i jagodami albo kradła jedzenie z gospodarstw wtyków. Że widziała Hala, kiedy jego wehikuł zderzył się z antylopą. A więc to były jej oczy, nie antylopy.

– Skąd wiesz, jak się nazywam? – zapytał.

– Poszłam za wami i przysłuchiwałam się rozmowie. Nie mogłam was zrozumieć. Ale po jakimś czasie usłyszałam, że reagujesz na nazwisko Hal Yarrow. Jak widzisz, poznanie twojego nazwiska to była fraszka. Zdumiało mnie to, że ty i ten drugi człowiek wyglądacie jak mój ojciec, a więc musicie być istotami ludzkimi. Ponieważ jednak nie mówiliście językiem mojego ojca, nie mogliście pochodzić z tej planety. Wtedy przypomniałam sobie słowa ojca. Powiedział kiedyś, że jego lud przybył na Wubopfej z innej planety. Tak, to było logiczne. Musieliście przybyć stamtąd, z pierwotnego świata ludzkich istot.

– Nie rozumiem – powiedział Hal. – Przodkowie twojego ojca przybyli na tę planetę, na

Nowoz? Ale... ale nie ma żadnych świadectw! Fobo mówił mi...

– Nie, nie, nie rozumiesz! Mój ojciec, Jean-Jacques Rastignac, urodził się na jeszcze innej planecie. Stamtąd przyleciał tutaj. Jego przodkowie przybyli na tamtą planetę, która obraca się wokół gwiazdy daleko stąd, z jeszcze bardziej odległej planety.

– W takim razie musieli być kolonistami z Ziemi. Ale nie ma na ten temat żadnych dokumentów. Przynajmniej ja ich nie widziałem. Musieli być Francuzami. Jeśli to prawda, opuścili Ziemię i udali się do tamtego systemu ponad dwieście lat temu. I nie mogli być Francuzami kanadyjskimi, bo niewielu ich zostało po wojnie apokaliptycznej. Musieli być Francuzami europejskimi. Ale... ostatni Europejczyk mówiący po francusku zmarł dwa i pół wieku temu. Tak więc...

– Popłątane, *nespfdl* Wiem tylko to, co powiedział mi ojciec. Że on i paru innych z Wubopfej znaleźli Nowoz w czasie eksploracji. Wylądowali na tym kontynencie, jego towarzysze zginęli, on znalazł moją matkę...

– Twoją matkę? Coraz gorzej – jęknął Hal.

– Była stąd. Jej lud zawsze tu mieszkał. Zbudował to miasto. Oni...

– Zaraz, zaraz... więc twój ojciec był Ziemianinem, a ty urodziłaś się z jego związku z nowozyjskim humanoidem? Niemożliwe! Chromosomy twojego ojca i twojej matki nie mogły do siebie pasować!

– Nie obchodzą mnie chromosomy! – zawołała Jeanette drżącym głosem. – Stoję przed tobą, prawda? Istnieje, prawda? Mój ojciec położył się z moją matką i oto jestem. Nie możesz zaprzeczyć.

– Nie chciałem... to znaczy... wydawało mi się... – urwał i popatrzył na nią, nie wiedząc, co powiedzieć.

Nagle zaczęła szlochać. Objęła go mocniej, a on zacisnął ręce na gładkich i miękkich ramionach. Piersi kobiety napierały na żebra Hala.

– Pomóż mi – wyjąkała. – Nie zniosę tego dłużej. Musisz mnie stąd zabrać. Musisz mnie uratować.

Yarrow zastanowił się szybko. Musiał wrócić do komnaty w ruinach, zanim Pomsen się przebudzi. Jutro też jej nie zobaczy, bo rano gig ze statku zabierze obu Haijaców. Cokolwiek zamierzał zrobić, musi wytłumaczyć jej wszystko w ciągu paru minut.

Nagle wymyślił plan; wykielkował z innego pomysłu, który już od dawna nosił głęboko w głowie, chyba jeszcze zanim statek opuścił Ziemię. Ale wtedy nie miał odwagi go zrealizować. Teraz, gdy pojawiła się dziewczyna – a właśnie kogoś takiego potrzebował do wykrzesania z siebie odwagi – wkroczy na ścieżkę, z której nie będzie odwrotu.

– Jeanette – zaczął z zapalem – posłuchaj! Masz czekać tutaj co noc. Niezależnie od tego, co czyha w ciemności, musisz tu być. Nie mogę ci powiedzieć, kiedy uda mi się zdobyć gig

i przylecieć. W ciągu trzech tygodni, jak sądzę. Ale jeśli się nie pojawię, czekaj dalej. C z e k a j!
A kiedy już przybędę, będziemy bezpieczni. Przynajmniej przez jakiś czas. Możesz to zrobić?
Możesz się tu ukryć i czekać?

Pokiwała głową i powiedziała:

– *Fi.*

Dwa tygodnie później Yarrow wybrał się ze statku kosmicznego „Gabriel” do ruin. Gig, smukły jak igła, błyszczał w poświacie wielkiego księżyca, sunąc nad budowlami z białego marmuru. Miasto było milczące i upiorne; wielkie kamienne sześciany, heksagony, walce, piramidy i posągi wyglądały jak zabawki rozrzucone przez ogromne dziecko, które po skończeniu zabawy zapadło w wieczny sen.

Hal wysiadł, rozejrzał się w prawo i w lewo, a potem podszedł do szerokiego łuku wejścia. Latarka rozproszyła ciemność; głos Hala odbił się echem od wysokiego sklepienia i ścian.

– Jeanette! *Sah mfa. Fo tami*, Hal Yarrow. Jeanette! *Ou eh tul* To ja. Twój przyjaciel. Gdzie jesteś?

Zszedł po szerokich na pięć metrów schodach, które wiodły do krypty królów. Struga światła podskakiwała na stopniach i nagle oblała czarno-białą postać dziewczyny.

– Hal! – zawołała. – Dzięki niech będą Wielkiej Kamiennej Matce! Czekałam co noc! Wiedziałam, że przyjdiesz!

Łzy zamigotały na długich rzęsach; szkarłatne usta drżały, jakby na siłę powstrzymywała szloch. Chciał wziąć ją w ramiona i pocieszyć, ale już samo patwienie na niekompletnie ubraną kobietę budziło grozę. Objęcie jej było nie do pomyślenia. Ale właśnie to chodziło mu po głowie.

W następnej chwili, jak gdyby odgadując przyczynę jego paraliżu, zbliżyła się do niego i wsparła mu głowę na piersi. Skuliła ramiona, jakby chcąc wtopić się w niego. Hal objął ją mimo woli. Mięśnie miał naprężone, krew tętniła w lędźwiach.

Puścił ją i odwrócił głowę.

– Porozmawiamy później. Nie ma czasu do stracenia. Chodź.

W milczeniu podążyła za nim do giga. Zawahała się przy drzwiach, ale Hal niecierpliwie machnął ręką; polecił jej wsiąść i zająć miejsce obok niego.

– Myślisz, że jestem tchórzem? – zapytała. – Ale nigdy dotąd nie byłam w latającej maszynie. Oderwanie się od ziemi...

Spojrzał na nią zaskoczony.

Trudno mu było zrozumieć, że może istnieć osoba nie przyzwyczajona do podróży powietrznych.

– Wsiadaj! – warknął.

Bez dalszych sprzeciwów usadowiła się w fotelu drugiego pilota. Nie mogła powstrzymać drżenia; jej duże brązowe oczy niespokojnie wędrowały po otaczających ją instrumentach.

Hal zerknął na zegarofon.

– Dziesięć minut do mojego mieszkania w mieście. Minuta na wysadzenie ciebie. Pół minuty na powrót do statku. Piętnaście minut na zameldowanie o akcji szpiegowskiej wśród wtyków.

Trzydzieści sekund na powrót do mieszkania. Niecałe pół godziny. Nieźle.

Roześmiał się.

– Byłbym tutaj dwa dni temu, ale musiałem zaczekać, aż wszystkie automatycznie sterowane gigi będą zajęte. Wtedy udałem, że mi się spieszy, że zapomniałem o jakichś notatkach i muszę wrócić po nie do swojego mieszkania. Pożyczyłem jeden z ręcznie sterowanych gigów, używanych do badań poza miastem. Nigdy nie uzyskałbym zezwolenia, gdyby nie to. Oficer dyżurny był wstrząśnięty.

Dotknął wielkiej złotej odznaki na lewej piersi. Wyobrażała hebrajskie L.

– To znaczy, że jestem jednym z Wybranych. Przeszedłem pomyślnie przez ‘Metr.

Jeanette, która najwyraźniej zapomniała o swoich lękach, spojrzała w jego twarz oświetloną przez przyrządy kontrolne. Krzyknęła cicho.

– Hal Yarrow! Co oni ci zrobili? – Musnęła palcami jego szczękę.

Miał podkrążone oczy, zapadnięte policzki i nerwowy tik w jednym policzku, zaczerwienione czoło i kilka pręg po biczu na bladej skórze.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że zwariowałem. Tymczasem włożyłem głowę w paszczę lwa, a on mi jej nie odgryzł. Zamiast tego ja odgryzłem mu język.

– Co to znaczy?

– Słuchaj, nie wydaje ci się dziwne, że nie ma ze mną Pornsena, który stale deptał mi po piętach? Nie? Cóż, nic o nas nie wiesz. Tylko w ten sposób mogłem uzyskać pozwolenie na opuszczenie kwatery na statku i załatwienie mieszkania w Siddo. Bez *aspta*, który mieszkałby ze mną i obserwował każdy mój ruch. I bez zostawiania cię tutaj w lesie. A tego nie mógłbym zrobić.

Przeciągnęła palcem wzdłuż jego nosa do kącika ust. Normalnie odwróciłby głowę, bo nie cierpiał dotyku obcych rąk, ale tym razem się nie uchylił.

– Hal – zaczęła miękko. – *Mou szie*.

Poczuł, że się rumieni. „Kochanie”. Cóż, czemu nie? Aby wyzwolić się od zawrotów głowy, spowodowanych dotykiem jej palców, powiedział:

– Mogłem zrobić tylko jedno. Zgłosić się na ochotnika do ‘Metra.

– *Du Metal ‘Es ‘ase ‘asah?*

– To jedyna rzecz, jaka może uwolnić człowieka od stałego cienia *aspta*. Kiedy przez to przejdiesz, jesteś czysta, poza wszelkimi podejrzeniami... przynajmniej teoretycznie. Moja decyzja zaskoczyła hierarchów. Nie spodziewali się, że jakiś naukowiec, a tym bardziej ja, zgłosi się na ochotnika. Urielici i Uzzici poddają się temu, jeśli mają nadzieję na awans w hierarchii...

– Urielici? Uzzici?

– Używając starożytnej terminologii, kapłani i gliniarze. Zwiastun zaczerpnął te określenia z imion aniołów na użytek rządowo-religijny. Z *Talmudu*, rozumiesz?

– Nie.

– Wyjaśnię ci to później. W każdym razie tylko najwięksi zeloci proszą o konfrontację z ‘Metrem. Prawda, robi to wielu ludzi, ale tylko dlatego, że są zmuszeni. Urielici nie dawali mi wielkich szans, ale prawo nakazywało zezwolić mi na próbę. Poza tym byli znudzeni i chcieli się rozerwać, na swój ponury sposób.

Spochmurniał na to wspomnienie.

– Na drugi dzień kazano mi stawić się w pracowni psychologicznej punktualnie o dwudziestą trzecią C. S... to znaczy, czasu statkowego. Poszedłem do swojej kabiny. Pornsena nie było, więc otworzyłem zestaw laboratoryjny i wyjąłem butelkę z etykietką „Strawa Prorocza”. To proszek, którego zasadniczym składnikiem jest pejotl, narkotyk, niegdyś używany przez indiańskich znachorów.

– *Kfe?*

– Tylko słuchaj, a zrozumiesz. Strawa Prorocza jest spożywana przez wszystkich w czasie Okresu Oczyszczenia. To dwa dni zamknięcia w celi, postów, modlitw, chłostania elektrycznymi biczami i doznawania wizji powodowanych przez głód i Strawę. Również subiektywnej podróży w czasie.

– *Kfe?*

– Przestań powtarzać „co”, dobrze? Nie mam czasu na wyjaśnianie podstaw dunnologii. Jej zrozumienie i orientacja w związanej z nią matematyce zabrało mi dziesięć lat. I nawet potem miałem mnóstwo pytań, ale nie zadałem ich. Mógłbym zostać uznany za wątpliwego. Powiem ci tylko tyle, że moja butelka nie zawierała Strawy Proroczej, tylko substytut, który dyskretnie spreparowałem niedługo przed odlotem z Ziemi. Tylko dlatego ośmieliłem się zmierzyć z ‘Metrem. I dlatego nie byłem tak przerażony, jak powinienem być... choć i tak się bałem. Wierz mi.

– Wierzę ci. Byłeś dzielny. Pokonałeś swój strach.

Poczuł, że się czerwieni. Po raz pierwszy w życiu usłyszał komplement.

– Miesiąc przed wyruszeniem ekspedycji na Nowoz w jednym z wielu naukowych czasopism, które musiałem przeglądać, znalazłem artykuł poświęcony odkryciu pewnego leku. Jego skuteczność polegała na niszczeniu wirusa tak zwanej gorączki marsjańskiej. Zainteresował mnie przypis, małym drukiem i po hebrajsku, co świadczyło, że biochemik musiał zdawać sobie sprawę z jego znaczenia.

– *Pukle?*

– Dlaczego? Cóż, domyślam się, że napisał to po hebrajsku, żeby nie zrozumiał żaden laik. Gdyby coś takiego stało się powszechnie znane... Notka w oszczędnych słowach informowała o odkryciu, że człowiek cierpiący na tę gorączkę jest czasowo odporny na efekty hipno-lipno. I że Urielici powinni w czasie każdej sesji z ‘Metrem sprawdzać, czy obiekt jest zdrowy.

– Mam kłopoty ze zrozumieniem.

– Zwolnię. Hipno-lipno to powszechnie stosowane tak zwane serum prawdy. Natychmiast dostrzegłem implikacje. Autor artykułu napisał, że do celów eksperymentalnych wywołano gorączkę marsjańską za pomocą narkotyku. Nie podał jego nazwy, ale znalezienie jej w innych biuletynach nie zabrało mi dużo czasu. Pomyślałem, że skoro prawdziwa gorączka marsjańska uodparnia człowieka na hipno-lipno, to czemu nie miałyby robić tego gorączka narkotyczna? Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Przygotowałem dawkę, wprowadziłem do psychotestera taśmę z pytaniami, dotyczącymi mojego życia osobistego, wstrzyknąłem sobie narkotyk wywołujący gorączkę, a potem serum prawdy i przysięgłem sobie, że okłamię tester. I okłamałem, choć dostałem pełną dawkę hipnolipno!

– Trzeba być mądrym, żeby coś takiego wymyślić – mruknęła z podziwem i ścisnęła go za ramię. Hal z dumą napiął bicepsy. Powodowała nim próżność, ale chciał, żeby podziwiała jego siłę.

– Bzdura! – zawołał. – Nawet ślepy by zobaczył, co trzeba zrobić. Prawdę mówiąc, nie byłbym zdziwiony, gdyby Uzzici aresztowali chemika i nakazali stosowanie jakiegoś innego serum prawdy. Jeśli nawet tak zrobili, to za późno. Nasz statek odleciał, zanim dotarły do nas takie nowiny. W każdym razie pierwszego dnia z ‘Metrem nie było się o co martwić. Przeszedłem dwunastogodzinny pisemny i ustny egzamin z serializmu. To teoria czasu Dunne’a z rozwinięciami Sigmuna. Znam ten test od lat. Łatwy, ale męczący. Następnego dnia wstałem wcześniej, wykąpałem się i zjadłem to, co miało uchodzić za Strawę Proroczą. Bez śniadania udałem się do Celi Oczyszczenia. Leżałem przez dwa dni na pryczy. Od czasu do czasu piłem wodę albo robiłem sobie zastrzyk z fałszywego narkotyku. Od czasu do czasu wciskałem guzik, który uruchamiał mechaniczny bicz. Im silniejsza chłosta, wiesz, tym większe mają do ciebie zaufanie. Nie miałem żadnych wizji. Opadła mnie gorączka, ale nie martwiłem się tym. Gdyby ktoś nabrał podejrzeń, mógłbym wyjaśnić, że mam alergię na Strawę. Niektórzy ludzie mają.

Popatrzył w dół. Las okryty szronem księżycowej poświaty, tu i ówdzie prostokątne albo sześciokątne światło z okna jakiegoś domu. Przed nimi wysokie pasmo wzgórz, które osłaniało Siddo.

– I tak – podjął, mimowolnie przyspieszając, w miarę jak zbliżali się do gór – po zakończeniu oczyszczenia wstałem, ubrałem się i zjadłem ceremonialną kolację z szarańczy i miodu.

– Fuj!

– Szarańcza nie jest zła, jeśli jada się ją od dzieciństwa.

– Szarańcza jest pyszna. Jadłem ją wiele razy. Brzydzi mnie tylko połączenie z miodem.

Wzruszył ramionami.

– Zaraz wyłączę światła w kabinie. Połóż się na podłodze, włóż ten płaszcz i maskę.

Będziesz mogła uchodzić na wtyka.

Posłusznie zsunęła się z fotela. Przed zgaszeniem świateł Hal zerknął w dół. Jeanette wygięła ciało wkładając płaszcz, a on nie mógł nic na to poradzić – zobaczył jej piersi w całej okazałości. Sutki były szkarłatne jak usta. Choć gwałtownie odwrócił głowę, zatrzymał ich obraz pod powiekami. Był mocno podniecony. Wstyd miał nadejść później.

Z zakłopotaniem wrócił do przerwanej opowieści.

– Potem przyszedł hierarcha. *Sandalfon* Macneff. Po nim teolodzy i dunnologiczni specjaliści: paralelitycy psychoneuronowi, interwenioniści, substratumitycy, chronotropiści, pseudotemporalisci, kosmoberwatorzy. Posadzili mnie na krześle, które stało w centrum modulowanego pola wykrywacza magnetycznego. Zgasili światła. Pomodlili się za mnie, a potem zaintonowali rozdziały z *Zachodniego Talmudu* i *Zrewidowanego Pisma Świętego*. Skierowali reflektor na Elohimetr...

– *Es'ase'asah?*

– Elohim to po hebrajsku „Bóg”. Metr... no cóż, mniej więcej jak to. – Wskazał na tablicę przyrządów. – Elohimetr jest okrągły i duży, a jego wskazówka, długa jak moja ręka, przesuwana się w górę i w dół. Na obwodzie tarczy są hebrajskie litery, które służą do oceny zdających test. Większość ludzi nie ma pojęcia, co wskazuje igła. Ale ja jestem obusem. Mam dostęp do książek, które opisują test.

A zatem znalazłeś odpowiedź, nesfa?

– *Fi*. Chociaż to nic nie znaczy, bo hipno-lipno i tak wydobywa prawdę... chyba że, oczywiście, cierpisz na gorączkę marsjańską, naturalną albo sztuczną.

Jego śmiech zabrzmiał jak bezlitosne szczeknięcie.

– Pod wpływem narkotyku, Jeanette, wszystkie brudne i wstrętne rzeczy, jakie zrobiłaś i o jakich myślałaś: nienawiść do zwierchników, wątpliwości co do prawdziwości doktryny Zwiastuna, wypływają z dolnego poziomu umysłu jak mydło z dna brudnej wanny. Wylaniają się, śliskie i pokryte warstwami brudu. A ja siedziałem tam i obserwowałem wskazówkę. To jak patrzenie w twarz Boga, Jeanette... nie potrafisz tego pojąć, prawda?... i kłamałem. Och, bez przesady. Nie udawałem wyjątkowo czystego i pełnego wiary. Przyznawałem się do pomniejszych nierealności. Wtedy wskazówka drżała i cofała się o parę wielkich liter. Ale w zasadniczych kwestiach odpowiedziałem tak, jakby od tego zależało moje życie. Bo zależało. Opowiedziałem im nawet swoje sny i zdałem relację z subiektywnych podróży w czasie.

– *Supjiiwy?*

– *Fi*. Wszyscy podróżują w czasie subiektywnie. Zwiastun jest jedynym człowiekiem, z wyjątkiem swojego pierwszego ucznia i jego żony oraz paru proroków z Pisma, który może podróżować obiektywnie. W każdym razie, moje sny były piękne... piękne jak dzieło sztuki. Mówiłem po prostu to, co chcieli usłyszeć. Uwieńczyłem swoje dzieło, albo może stek kłamstw,

opisem snu, w którym sam Zwiastun pojawia się na Nowozie i przemawia do *sandalfona* Macneffa. To wydarzenie ma mieć miejsce za rok.

– Och, Hal – szepnęła. – Dlaczego tak powiedziałeś?

– Ponieważ teraz, *mou szie*, ekspedycja nie opuści Nowozu przed upływem roku. Nie mogą odlecieć i zrezygnować z okazji ujrzenia Sigmena, jak podróżuje w górę i w dół strumienia czasu. Gdyby odlecieli, zrobiliby z niego kłamcę. I ze mnie. Tak więc, jak widzisz, to piramidalne kłamstwo sprawi, że będziemy razem co najmniej przez rok.

– A potem?

– Pomyślmy o tym kiedy indziej.

Wymruczała gardłowo w ciemności przy fotelu:

– I zrobiłeś to wszystko dla mnie...

Nie odpowiedział. Był zbyt zajęty utrzymywaniem giga ponad dachami. Po obu stronach bryły budynków rozdzielonych pasami zieleni przemykały tak szybko, że o mało nie minęli podobnego do zamku domu Fobo. Wysoki na dwa piętra, średniowieczny z wyglądu, z krenelażami na wieżach i kamiennymi gargulcami w kształcie głów bestii, z rzeźbami owadów w półokrągłych niszach, stał co najmniej o sto metrów od innych budynków. Wtykowie nie musieli oszczędzać przestrzeni.

Jeanette założyła maskę o długim ryjku. Drzwi giga otworzyły się; przebiegli przez chodnik i wpadli do budynku. Śmignęli przez hol i schodami na piętro. Przystanęli, bo Hal musiał poszukać klucza. Kazał wtykijskiemu kowalowi zrobić zamek i wtykijskiemu stolarzowi go złożyć. Nie ufał cieśli ze stadcu, bo istniało zbyt duże prawdopodobieństwo, że sporządzi drugi komplet kluczy dla siebie.

Wreszcie znalazł klucz, ale miał kłopot z wsunięciem go do dziurki. Zasapał się z przejęcia, zanim udało mu się otworzyć drzwi. Niemał wepchnął Jeanette do środka. Zdjęła maskę.

– Zaczekaj, Hal – powiedziała, opierając się o niego. – Nie zapomniałeś o czymś?

– Och, na Zwiastuna! Co to takiego? Coś poważnego?

– Nie. Tylko pomyślałam – uśmiechnęła się, i opuściła powieki – że ziemski obyczaj nakazywał mężczyznom przenosić pannę młodą przez próg domu. Tak mówił mi ojciec.

Szczęka mu opadła. Panna młoda! Zdecydowanie uprzedzała wypadki!

Nie miał czasu na dyskusje. Bez słowa wziął Jeanette na rękę i wniósł do pokoju. Postawił ją i powiedział:

– Wrócę najszybciej jak będę mógł. Jeśli ktoś zapuka albo będzie próbował wejść, ukryj się w schowku, który kazałem zrobić wtykijskiemu stolarzowi w naszej szafie. Nie hałasuj ani nie wychodź, dopóki nie będziesz pewna, że to ja.

Niespodziewanie objęła go i pocałowała.

– *Mou szie, mou gwah, mou fuh.*

Szło zdecydowanie za szybko. Hal nic nie powiedział ani nawet nie oddał pocałunku. Niejasno czuł, że te słowa w odniesieniu do niego były trochę śmieszne. Jeśli właściwie przetłumaczył jej zniekształcony francuski, nazwała go swoim kochanym, wielkim i silnym mężczyzną.

Odwrócił się i zamknął drzwi; w blasku światła z korytarza zdążył jeszcze zobaczyć białą twarz okoloną czernią kaptura. Czerwone usta plamiły biel.

Zadygotał. Miał uczucie, że Jeanette nie zamierza być zimną małżonką, co tak bardzo pochwalał Kościół.

Powrót z „Gabriela” opóźnił się o godzinę, bo *sandalfon* poprosił o więcej szczegółów dotyczących prorocstwa. Potem Hal musiał podyktować sprawozdanie z dziennej misji wywiadowczej. Dopiero wtedy mógł rozkazać, by marynarz odwiózł go gigiem z powrotem do mieszkania. W drodze do doku napotkał Pornsena.

– Szalom, *abba* – przywitał go.

Uśmiechnął się i potarł kostkami palców wypukłe *lamedh* na tarczy.

Lewe ramię *aspta*, zawsze niższe, opadło jeszcze bardziej jak flaga opuszczana na znak poddania. Jeśli były między nimi jakieś zaległe razy biczem, to wyłącznie ze strony Yarrowa.

Hal wypiął pierś i ruszył dalej, ale Pornsen powiedział:

– Chwileczkę, synu. Wracasz do miasta?

– *Shib*.

– *Shib*. Pojadę z tobą. Mam mieszkanie w tym samym budynku. Na drugim piętrze, naprzeciwko Fobo.

Hal otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zmienił zamiar. Teraz z kolei Pornsen błysnął uśmiechem. Odwrócił się i ruszył pierwszy. Hal powlókł się za nim, zagryzając wargi. Czyżby *aspt* śledził go i widział jego spotkanie z Jeanette? Niemożliwe. Gdyby tak było, natychmiast kazałby go aresztować.

Aspt miał jedną wyróżniającą go cechę: był małoduszny. Wiedział, że jego obecność zirytuje Hala i że mieszkanie w tym samym budynku zatruje mu radość z uwolnienia się spod nadzoru.

Hal mruknął pod nosem stare przysłowie: „Zęby *aspta* nigdy nie wypadają”.

Pilot czekał przy gigu. Zajęli miejsca i w ciszy opadli w noc.

Hal wyprzedził Pornsena i pierwszy wszedł do budynku mieszkalnego. Czuł lekką satysfakcję z powodu pogwałcenia etykiety i okazania pogardy temu człowiekowi.

Zanim otworzył drzwi, przystanął. Anioł stróż w milczeniu przesunął się za jego plecami. Hal wiedziony diabelskim podszeptem zawołał:

– *Abba!*

– Słucham cię.

– Może chcesz sprawdzić, czy nie ukrywam u siebie kobiety?

Mały *aspt* spurpurowiał, zamknął oczy i zadrżał, ogłuszony wściekłością. Zaraz uchylił powieki i wrzasnął:

– Yarrow! Jeśli kiedykolwiek spotkałem się z nierealną osobowością, to tylko u ciebie! Nie obchodzi mnie, jak wysoko stoisz w hierarchii! Myślę, że jesteś... jesteś... po prostu nie *shib*! Zmieniłeś się. Byłeś taki pokorny, taki posłuszny! Teraz jesteś arogancki.

Hal zaczął spokojnie, ale po chwili podniósł głos.

– Nie tak dawno temu powiedziałaś, że byłem nieposłuszny od urodzenia. Nagle okazuje się, że byłem wzorem nienagannego zachowania, które Paściół może podawać za przykład. Uważam, że zawsze zachowywałem się tak dobrze, jak tylko potrafiłem. Za to ty byłaś i jesteś marnym, złośliwym, wstrętnym ptasim mózdzkiem i przyszczem na tyłku Paściola. Należałoby cię wycisnąć!

Hal przestał krzyczeć, bo brakło mu tchu. Serce mu waliło, w uszach pulsowało, przed oczami widział mgłę.

Pornsen cofnął się, wyciągając ręce przed siebie.

– Halu Yarrowie! Halu Yarrowie! Opamiętaj się! Zwiastunie, jak on musi mnie nienawidzić! Przez wszystkie te lata myślałem, że mnie kochasz, że jestem twoim umiłowanym *asptem*, a ty moim umiłowanym podopiecznym. A ty mnie nienawidziłaś! Dlaczego?

Hal nagle się uspokoił.

– Mówisz serio?

– Oczywiście! Nigdy nie przypuszczałem... Cokolwiek robiłem, to zawsze dla ciebie; kiedy cię karałem, pękało mi serce. Ale zmuszałem się, pamiętając, że to dla twojego dobra.

Hal wybuchnął śmiechem i śmiał się cały czas, gdy Pornsen biegł korytarzem, tylko raz odwracając pobladłą twarz, by zaraz zniknąć w swoim mieszkaniu.

Oslabiony, roztrzęsiony Hal oparł się o drzwi. To nieprawdopodobne. Był absolutnie przekonany, że Pornsen nienawidził go i uważał za przekornego, wynaturzonego potwora, że czerpał gorzkie zadowolenie z poniżania go i chłostania.

Potrząsnął głową. Z pewnością *aspt* był przerażony i próbował się usprawiedliwić.

Otworzył drzwi. Po głowie tłukła mu się myśl, że źródłem odwagi potrzebnej do skrytykowania Pornsena była Jeanette. Bez niej był niczym – nerwowym, ale strachliwym królikiem. Parę spędzonych z nią godzin umożliwiło mu pokonanie wielu lat surowej dyscypliny.

Zapalił światło w pierwszym pokoju. Zajrzał do jadalni, zobaczył zamknięte drzwi kuchni. Dobiegał zza nich szczeł naczyń. Wciągnął nosem powietrze.

Stek!

Radość ustąpiła miejsca niezadowoleniu. Kazał jej przecież ukrywać się do swojego powrotu. A gdyby zamiast niego wszedł jakiś wtyk albo Uzzita?

Zaskrzypiały zawiasy otwieranych drzwi. Jeanette stała tyłem do niego. Drgnęła na pierwszy zgrzyt nie naoliwionego metalu. Upuściła łyżkę, druga ręka frunęła do otwartych ust.

Zamarły złe słowa, które cisnęły się Halowi na wargi. Gdyby ją skrzyczał, najpewniej zalałaby się łzami, a jemu zrobiłoby się strasznie przykro.

– *Mou czul* Przestraszyłaś mnie!

Chrząknął, minął ją i podniósł pokrywkę.

– Widzisz – mówiła drżącym głosem, jakby domyślała się jego gniewu i chciała się bronić –

wiodłam zawsze życie w ukryciu, bojąc się złapania. Teraz przeraża mnie wszystko, co nagle. Zawsze jestem gotowa do ucieczki.

– Ale ci wtykowie mnie nabrali! – rzucił kwaśno Hal. – Myślałem, że są mili i delikatni.

Zerknęła na niego z ukosa. Kolory powróciły na jej twarz, usta rozchyliły się w uśmiechu.

– Och, nie byli tacy źli. Są naprawdę w porządku. Dali mi wszystko, co chciałam, z wyjątkiem wolności. Bali się, że wrócę do swoich sióstr.

– A co im do tego?

– Myśleli, że w dżungli mogły przetrwać jakieś samce z mojej rasy i że mogą dać im dzieci. Okropnie się boją że nasza rasa znów stanie się silna i liczna i wypowie im wojnę. Oni nie lubią wojny.

– Są dziwnymi istotami. Nie możemy jednak oczekiwać, że zrozumiemy tych, którzy nie znają realności Zwiastuna. Co więcej, są bliżsi owadom niż ludziom.

– Bycie człowiekiem niekoniecznie oznacza, że się jest lepszym – rzekła Jeanette z pretensją w głosie.

– Wszystkie stworzenia Boże mają swoje miejsce we wszechświecie, atoli człowiek jest wszędzie i zawsze. Może zajmować każdą pozycję w przestrzeni i może podróżować w każdym kierunku czasu. A jeśli musi wysiedlić jakieś stworzenie, żeby zdobyć dla siebie miejsce czy czas, robi tylko to, co jest właściwe.

– Cytujesz Zwiastuna?

– Oczywiście.

– Może on ma rację. Może. Ale czym jest człowiek? Człowiek jest istotą myślącą. Wtyk jest także istotą myślącą, z czego wynika, że wtyk jest człowiekiem. *Nespha?*

– *Shib* albo *sib*, nie kłóćmy się. Czemu nie jemy?

– Ja się nie kłócę.

Z uśmiechem dodała:

– Nakryję do stołu. Przekonasz się, czy umiem gotować. Tu obejdzie się bez dyskusji.

Usiedli przy zastawionym stole. Hal oparł na blacie splecione dłonie, pochylił głowę i zmówił modlitwę.

– Isaacu Sigmenie, biegnący przed człowiekiem, realne niechaj będzie Twoje imię. Dziękujemy Ci za pewność tego błogosławionego daru, który niegdyś był niepewną przyszłością. Dziękujemy Ci za tę stawę, którą urzeczywistniłeś z możliwości. Mamy nadzieję i wiemy, że unicestwisz Wstecznika, że ubiegiesz jego próby zachwiania przeszłością i tym samym odmienienia terażniejszości. Uczyn ten świat solidnym i realnym. Jażnie zgromadzone przy tym stole składają ci dziękczynienie.

Rozłączył ręce i popatrzył na Jeanette. Ona też spojrzała na niego.

Posłuszny impulsowi, powiedział:

– Możesz się pomodlić, jeśli chcesz.

– Nie uznasz mojej modlitwy za nierealną?

Wahał się przez chwilę.

– Chyba tak. Sam nie wiem, czemu ci to zaproponowałem. Z pewnością nie poprosiłbym o modlitwę Izraelczyka czy Bantu. Przede wszystkim nie jadłbym z nimi przy jednym stole. Ale ty... ty jesteś wyjątkowa... może dlatego, że nie można cię sklasyfikować. Nie... nie wiem.

– Dziękuję.

Środkowym palcem prawej ręki nakreśliła trójkąt w powietrzu. Patrząc w górę, powiedziała:

– Wielka Matko, dziękujemy ci.

Hal dziwnie się czuł, słuchając modłów poganki. Wysunął szufladę spod blatu i wyjął dwa przedmioty. Jeden podał Jeanette, drugi włożył na głowę.

Była to czapka z szerokim rondem, z którego zwisał długi woal. Całkowicie zakrył mu twarz.

– Włóż to – polecił dziewczynie.

– Po co?

– Żebyśmy się nie widzieli, jak jemy, to chyba jasne – rzucił niecierpliwie. – Między woalem a ustami jest dość miejsca, żeby operować widelcem i łyżką.

– Ale dlaczego?

– Mówiłem ci, żebyśmy się nie widzieli.

– Czy widok tego, jak jem, przyprawi cię o mdłości? – zapytała podniesionym tonem.

– Naturalnie.

– Naturalnie? Dlaczego naturalnie?

– No bo jedzenie jest takie... uff... nie wiem... zwierzęce.

– I twój lud zawsze tak robił? Czy może zaczęli, kiedy odkryli, że byli zwierzętami?

– Przed nadejściem Zwiastuna jedli z odsłoniętymi twarzami i bez wstydu. Ale to się działo na etapie ignorancji.

– Czy Izraelczycy i Bantu zakrywają twarze przy jedzeniu?

– Nie.

Jeanette wstała od stołu.

– Nie mogę jeść z tym czymś na twarzy. To mnie krępuje.

– Ale... ale ja muszę mieć czapkę – wydukał. – Nie mógłbym utrzymać jedzenia w żołądku.

Wypowiedziała zdanie w nie znanym mu języku, ale doskonale zrozumiał zawartą w nim złość i upokorzenie.

– Przykro mi – powiedział. – Taki jest zwyczaj. I tak powinno być.

Usiadła powoli i włożyła czapkę.

– Niech będzie, Hal. Ale myślę, że później musimy o tym porozmawiać. Czuję się tak, jakbym była od ciebie odcięta. Nie ma między nami bliskości, nie ma dzielenia się dobrymi

rzeczami, jakie zsyła nam życie.

– Proszę, nie hałasuj podczas jedzenia. Jeśli naprawdę musisz coś powiedzieć, najpierw skończ jeść. Odwracałem twarz, kiedy wtyk jadł przy mnie, ale nie mogłem zamknąć uszu.

– Wcale nie chcę przyprawić cię o mdłości. Tylko jedno pytanie: co robicie, żeby dzieci przy jedzeniu zachowywały się cicho?

– Nigdy nie jadają z dorosłymi. To znaczy, jedynymi dorosłymi przy ich stołach są *asptowie*. A oni szybko uczą je poprawnego zachowania.

– Aha.

Posiłek minął w ciszy, pomijając nieunikniony szczełk sztucców o talerze. Hal skończył jeść i zdjął czapkę.

– Ach, Jeanette, jesteś wyjątkową kucharką. Jedzenie było tak dobre, że czułem się grzeszny, rozkoszując się nim tak bardzo. Nigdy nie próbowałem lepszej zupy. Chleb też był wyborny, sałatka wyśmienita, a stek nie miał równych sobie.

Jeanette też zdjęła czapkę. Jej porcja była ledwie tknięta. Uśmiechnęła się.

– Ciotki dobrze mnie wyszkoliły. Wśród mojego ludu kobieta od małości uczy się dogadzać mężczyźnie. Pod każdym względem.

Roześmiał się nerwowo i żeby zamaskować skrępowanie, zapalił papierosa.

Jeanette zapytała, czy też może spróbować.

– Skoro płonę, równie dobrze mogę dymić – powiedziała ze śmiechem.

Nie był pewien, co ma na myśli, ale roześmiał się, chcąc pokazać, że nie jest na nią zły za czapki.

Jeanette zapaliła papierosa, zaciągnęła się, zakaszła i popędziła do kuchni po szklanke wody. Wróciła ze łzami w oczach, ale zaraz spróbowała jeszcze raz. Po krótkim czasie zaciągała się jak doświadczony palacz.

– Masz zdumiewający dar naśladownictwa – powiedział Hal. – Patrzyłem, jak naśladujesz moje ruchy, słyszałem, jak naśladujesz moją mowę. Wiesz, że mówisz po amerykańsku równie dobrze jak ja?

– Pokaż mi lub powiedz coś raz, a rzadko będziesz musiał to powtarzać. Jednak nie roszczę sobie prawa do wyższej inteligencji. Jak powiedziałeś, mam instynkt naśladowania, co nie znaczy, że od czasu do czasu nie jestem zdolna do samodzielnego myślenia.

Zaczęła opowiadać ze swadą i zabawnie o życiu z ojcem, siostrami i ciotkami. Jej nastrój wydawał się szczery; najwyraźniej nie mówiła tylko po to, by ukryć przygnębienie spowodowane przez incydent podczas posiłku. Gdy się śmiała, odruchowo unosiła brwi. Miały fascynujący, nieregularny kształt. Cienkie linie czarnych włosów wznosiły się znad nosa, zakręcały łagodnie, wyginały się lekko nad oczodołami, a na końcach były leciutko uniesione.

Zapytał ją czy kształt brwi jest cechą ludu jej matki. Roześmiała się i odparła, że

odziedziczyła je po ojcu, Ziemianinie.

Śmiech Jeanette był niski i melodyjny. Nie działał mu na nerwy tak, jak śmiech byłej żony. Wsluchując się w niego, odczuwał zadowolenie. Za każdym razem, kiedy zaczynał się martwić, jak to wszystko się skończy, a jego dobry humor przygasał, mówiła coś, co go rozbawiało. Zdawało się, że dziewczyna potrafi odgadnąć, czego trzeba, żeby rozwiać ponury nastrój czy przywołać wesołość.

Po godzinie Hal podniósł się, żeby pójść do kuchni. Mijając Jeanette impulsywnie pogładził palcami jej gęste, czarne włosy.

Podniosła twarz ku niemu i przymknęła oczy, jakby spodziewała się pocałunku. Jakoś nie mógł się na to zdobyć. Po prostu nie potrafił się zmusić do wykonania pierwszego kroku.

– Trzeba zmyć naczynia. Co by było, gdyby jakiś niespodziewany gość zobaczył stół nakryty dla dwóch osób? Musimy też chować papierosy i często wietrzyć pokój. Teraz, po ‘Metrze, powinienem wyrzekać się takich drobnych nierealności jak palenie.

Jeśli Jeanette była rozczarowana, to tego nie okazała. Natychmiast zajęła się sprzątaniami. Hal palił i zastanawiał się nad możliwościami zdobycia żeńskiego tytoniu. Palenie sprawiało dziewczynie taką przyjemność, że nie chciałby jej tego pozbawić. Jeden z członków załogi, z którym Hal miał dobre stosunki, nie palił, tylko odsprzedawał swój przydział kolegom. Może jakiś wtyk zgodziłby się zostać pośrednikiem, kupować papierosy od marynarza i przekazywać je Halowi? Może Fobo? Transakcję należało przeprowadzić ostrożnie. Nie warto ryzykować...

Hal westchnął. Obecność Jeanette była cudowna, ale zaczynała komplikować mu życie. Oto zastanawiał się nad popełnieniem przestępstwa, jakby to była najbardziej naturalna rzecz w świecie.

Stała przed nim z rękami na biodrach i z błyszczącymi oczami.

– Hal, *mou namu*, gdybyśmy mieli coś do wypicia, ten wieczór byłby cudowny.

Poderwał się na nogi.

– Przepraszam. Zapomniałem, że nie wiesz, jak zrobić kawę.

– Nie, nie. Nie o takim napoju myślałam. Alkohol, nie kawa.

– Alkohol? Wielki Sigmenie, dziewczyno, my nie pijemy! To najbardziej odrażająca...

Urwał. Wiedział, że Jeanette jest zraniona. W gruncie rzeczy to nie jej wina. Pochodziła z innej kultury. Nie była nawet do końca ludzka.

– Przykro mi – powiedział. – To kwestia religii. Alkohol jest zakazany.

Łzy zalśniły w jej oczach, ramiona zadrżały. Schowała twarz w dłoniach i wyszlochała:

– Nie rozumiesz. Muszę się napić. Muszę.

– Ale dlaczego?

Mówiła spomiędzy palców:

– Bo w czasie uwięzienia nie miałam innego zajęcia. Moi dozorczy dawali mi alkohol; pomagał zabijać czas i tłumiał tęsknotę za domem. Zanim się spostrzegłam, stałam się... alkoholiczką.

Zacisnął pięści i warknął:

– Te syny... robali!

– Rozumiesz więc, że muszę się napić. To poprawia mi samopoczucie. Tylko przez jakiś czas, później... później spróbuję to przezwyciężyć. Wiem, że dam sobie radę, jeśli mi pomożesz.

Bezradnie rozłożył ręce.

– Ale... ale skąd mam wziąć coś takiego? – Żołądek wywracał mu się na samą myśl o handlowaniu alkoholem. Skoro jednak Jeanette go potrzebowała, postara się zdobyć.

– Może Fobo mógłby dać ci trochę – podpowiedziała spieszenie.

– Ale Fobo był jednym z twoich porywaczy! Nie nabierze podejrzeń, jeśli poproszę go o alkohol?

– Pomyśli, że to dla ciebie.

– W porządku – powiedział markotnie i z poczuciem winy. – Ale nie podoba mi się myśl, że ktokolwiek pomyśli, że to ja piję. Nawet jeśli to tylko wtyk.

Podniosła się, frunęła ku niemu i przyłgnęła ustami do jego ust. Trzymał ją w ramionach, tuląc z całej siły; w końcu oderwał usta.

– Muszę cię opuszczać? – wyszeptał. – Nie możesz obyć się bez alkoholu przez ten jeden wieczór? Jutro coś ci załatwię.

– Och, *mou namu*, żałuję, ale nie mogę – odparła żałośnie. – Chciałabym bardzo, ale nie potrafię. Po prostu nie potrafię. Uwierz mi.

– Ależ wierzę.

Puścił ją i przeszedł do pierwszego pokoju. Wyjął z szafy kaptur, płaszcz i nocną maskę. Głowę miał pochyloną, ramiona zgarbione. Wszystko się popsuło. Nie będzie mógł się do niej zbliżyć... nie wtedy, gdy jej oddech będzie cuchnąć alkoholem. Ona prawdopodobnie zacznie się zastanawiać, dlaczego Hal jest taki oziębły, a jemu nie starczy odwagi, by powiedzieć, że budzi w nim wstręt. To zraniłoby jej uczucia. Co gorsza, jeśli odmówi wyjaśnień, ona i tak będzie zraniona.

Przed wyjściem ucałowała jego lodowate teraz wargi.

– Pospiesz się! Będę czekać.

– Tak.

Hal Yarrow zapukał lekko do drzwi mieszkania Fobo. Nikt nie otworzył. Nic dziwnego. Wewnątrz panował okropny harmider. Hal walnął w drzwi pięścią, choć niechętnie, bo nie chciał zwrócić uwagi Pornsena. *Aspt* mieszkał naprzeciwko i mógł wyjrzeć, żeby sprawdzić, co się dzieje. Lepiej, żeby nie wiedział o dzisiejszych odwiedzinach u empaty. Choć Hal miał prawo wchodzić do domu wtyka bez towarzystwa swojego byłego *aspta*, czuł się nieswojo z powodu Jeanette. Nie chciałby, żeby Pornsen wszedł do jego *puka*, podczas gdy on wybrał się na nieoficjalne przeszpiegi. Wówczas miałby go w garści. Wszystko by się wydało.

Hal pocieszył się myślą że Pornsen nie należy do odważnych. Wchodząc samowolnie do jego mieszkania ryzykowałby, że zostanie przyłapany. Hal jako lamedhianin mógłby wywrzeć nacisk, gdzie trzeba; Pornsen popadłby w niełaskę i został zdymisjonowany, a nawet mógłby stać się kandydatem do P.

Głośno, niecierpliwie zabębnił w drzwi. Tym razem się otworzyły. Uśmiechnęła się do niego Abasa, żona Fobo.

– Hal Yarrow! – zawołała w sidło. – Witaj! Dlaczego nie wszedłeś bez pukania?

Hal był zszokowany.

– Jakżebym mógł?

– A czemu nie?

– My tak nie postępujemy.

Abasa wzruszyła ramionami, ale była zbyt dobrze wychowana, żeby to skomentować.

– Wejdz – zaprosiła z uśmiechem. – Nie gryzę!

Wszedł i zamknął drzwi, rzucając przez szparę spojrzenie na drzwi Pornsena. Były zamknięte. Wrzask dwanaściorga dowodzących wtykijskich dzieci odbijał się od ścian pokoju wielkiego jak boisko do koszykówki. Abasa poprowadziła Hala do wejścia na korytarz. Minęli, siedzące przy stole trzy Nowozytki, najwidoczniej z wizytą u Abasy. Zajęte były szyciem, popijaniem z wysokich szklanek i plotkowaniem. Hal rozumiał znaczenie nielicznych tylko słów; w rozmowie między sobą wtykijskie kobiety używały słownictwa zastrzeżonego dla swojej płci. Obyczaj ten, jak zrozumiał Hal, szybko zamierał pod wpływem nasilającej się urbanizacji. Córki Abasy już nawet nie uczyły się mowy kobiet.

Abasa zaprowadziła go na koniec korytarza, otworzyła drzwi i powiedziała:

– Fobo, kochanie! Przyszedł Hal Yarrow, Beznosy!

Hal uśmiechnął się, słysząc to przezwisko. Gdy spotkał się z nim po raz pierwszy, poczuł się urażony. Później dowiedział się, że wtykowie nigdy nikogo umyślnie nie obrażali.

Fobo podszedł do drzwi. Miał na sobie tylko szkarłatną spódniczkę. Hal chyba po raz setny pomyślał, jak dziwacznie wygląda tors Nowozyty, z piersią bez sutków i osobliwym ustawieniem

łopatek.

– Miło cię widzieć, Hal – rzekł Fobo po siddońsku, ale zaraz przeszedł na amerykański. – Szalom. Co za szczęśliwa okazja cię sprowadza? Siadaj. Zaproponowałbym ci drinka, ale właśnie skończyłem butelkę.

Hal nie sądził, by jego twarz zdradziła odrazę, ale Fobo musiał ją wyczuć.

– Coś nie tak?

Hal postanowił nie tracić czasu.

– Tak. Skąd mogę wziąć kwartę alkoholu?

– Potrzebny ci? *Shib*. Pójdę z tobą. Najbliższa gospoda to podrzędna spelunka; będziesz miał okazję zobaczyć z bliska tę stronę siddońskiego społeczeństwa, o jakiej niewątpliwie wiesz bardzo mało.

Wtyk zniknął w garderobie i wrócił z naręczem ubrań. Opasły brzuch opiął szerokim skórzanym pasem, do którego przymocował pochwę z krótkim rapierem. Za pas zatknął pistolet. Zarzucił na ramiona długi zielony płaszcz z czarnymi falbanami, głowę uwieńczył ciemnozieloną mycką z dwoma sztucznymi czułkami. Takie nakrycie głowy było symbolem klanu Pasikonika. Dawniej członek klanu musiał je zawsze nosić poza domem. Teraz system klanowy odgrywał mniejszą rolę społeczną, choć nadal miał duże znaczenie polityczne.

– Muszę pić – powiedział Fobo. – Widzisz, jako zawodowy empata mam do czynienia z wieloma bardzo stresującymi przypadkami. Poddaję terapii tylu neurotyków i psy cnoty ków! Muszę wchodzić w ich skórę, odczuwać ich emocje tak, jak oni je przeżywają. Potem mogę patrzeć obiektywnie na ich problemy. Używając tego... – poklepał się po głowie – i tego... – pogłaskał długi nos – staję się mmi, a potem znów sobą, i w ten sposób czasami udaje mi się im pomóc.

Hal wiedział, że Fobo, wskazując na swój okazały narząd węchu, miał na myśli ukryte w nim dwie wyjątkowo wrażliwe antenki, pomagające określić rodzaj i zmiany emocji pacjentów. Zapach potu wtyka mówił mu więcej niż wyraz jego twarzy.

Fobo wyszedł z Halem do wielkiego pokoju. Powiadomił Abasę, dokąd idzie, i oboje z uczuciem potarli się nosami.

Podał Halowi maskę, przystosowaną do twarzy wtyka, i sam włożył swoją. Hal nie musiał pytać, po co te maski. Wiedział, że obyczaj nakazuje wszystkim Siddończykom nosić je w nocy. Spełniały pożyteczną rolę, bo chroniły przed kąsającymi owadami. Fobo wyjaśnił też ich funkcję socjalną.

– My, Siddończycy z klas wyższych, zakładamy je, kiedy mamy ochotę się... jak brzmi to amerykańskie słowo?

– Pospolitować? – podpowiedział Hal. – Kiedy osoba z klasy wyższej dla rozrywki chodzi do miejsc odwiedzanych przez plebs.

– Pospolitować, właśnie. Zwykle nie wkładam maski, bo chodzę tam bawić się z ludźmi, a nie z nich wyśmiewać. Ale pomyślałem, wybac mi... że ty, jako Beznosy, w masce będziesz czuł się swobodniej.

Kiedy wyszli z budynku, Hal zapytał:

– Po co ten pistolet i miecz?

– Och, ta okolica nie jest specjalnie niebezpieczna, ale lepiej uważać. Pamiętasz, co mówiłem ci w ruinach? Owady z naszej planety są dużo bardziej rozwinięte i wyspecjalizowane od waszych, według tego, co opowiadałeś. Znasz pasożyty i owady upodabniające się do mrówek, które pasożytują na mrówkach z powodu tego podobieństwa? Owady, które mieszkają w ścianach mrowiska i zjadają mrówcze jaja i larwy?

Mamy tutaj podobne stworzenia, tyle że one polują na nas. Ukrywają się w kanalizacji, w piwnicach, w spróchniałych drzewach, w dziurach w ziemi i nocami grasują po mieście. Dlatego nie wypuszczamy dzieci na dwór po zmroku. Nasze ulice są dobrze oświetlone i patrolowane, ale przedzielają je rozległe kępy zieleni.

Szli przez park ścieżką oświetloną przez latarnie gazowe. Siddo nadal było w okresie przejściowym od starszych form energii do elektryczności; często tereny oświetlane żarówkami sąsiadowały z tymi oświetlanymi gazem. Wychodząc z parku na szeroką ulicę, Hal zobaczył kolejny przykład zestawienia nowego ze starym: powozy ciągnięte przez zwierzęta kopytne – należące do tego samego podtypu co Fobo – i pojazdy parowe. Zwierzęta i wózki korzystały z alei porośniętej szorstką trawą o krótkich źdźbłach, niezwykle odporną na wydeptywanie.

Budynki stały tak daleko jeden od drugiego, że trudno było przypuszczać, iż jest się w metropolii. Szkoda, pomyślał Hal. Wtykowie mieli aż za dużo *Lebensraum*; rozrastająca się populacja sprawi, że szerokie przestrzenie zapełnią się domami i blokami. Pewnego dnia Nowoz stanie się równie zatłoczony, jak Ziemia. To nieuchronne.

Zatłoczony, tak, ale nie przez pluskwiaki. Jeśli „Gabriel” wypełni swoje planowane zadanie, ludzkie istoty z Unii Haijac zastąpią autochtonów.

Poczuł ukłucie bólu. Naszła go myśl – nierealistyczna, oczywiście – że takie postępowanie będzie okropnie, niewyobrażalnie, niewybaczalnie złe. Czy istoty z obcej planety miały prawo przybywać tu i bezdusznie mordować wszystkich mieszkańców?

Oczywiście, ponieważ tak powiedział Zwiastun. Naprawdę tak powiedział?

– Aha, to tutaj – zameldował Fobo.

Wskazał na stojący przed nimi budynek. Dwupiętrowy, przypominał trochę zigurat. Jak wiele ze starszych budowli Siddo, nie miał wewnętrznych klatek schodowych. Z górnych pięter schodziły kryte pasáže, w których mieściły się schody; mieszkańcy wchodzili do swoich mieszkań bezpośrednio z ulicy.

Choć stara, tawerna na parterze miała nad drzwiami wielki elektryczny szyld.

– „Szczęśliwa Dolina Duroku” – przetłumaczył Fobo ideogramy.

Bar mieścił się w piwnicy. Hal przystanął na szczycie schodów, zatrzymany przez płynące z dołu opary alkoholu. Po chwili ruszył za wtykiem.

Silny odór alkoholu towarzyszył głośnym taktom dziwnej muzyki i jeszcze głośniejszemu gwarowi rozmów. Wtykowie tłoczyli się wokół sześciokątnych stołów i pochylali nad wielkimi cynowymi kufkami, wrzeszcząc sobie w twarze. Ktoś machnął rękami i przewrócił kufel. Kelnerka przybiegła z ręcznikiem, żeby posprzątać. Kiedy się pochylała, jowialny i bardzo gruby pluskwiak o zielonej twarzy wymierzył jej głośnego klapsa w zad. Jego koledzy ryknęli śmiechem, szeroko otwierając usta w kształcie podwójnego V. Kelnerka też się roześmiała; musiała widocznie odciąć się dowcipnie, bo wtykowie przy sąsiednich stolikach parsknęli śmiechem.

Na podwyższeniu w jednym końcu pomieszczenia kapela złożona z pięciu wtyków grała szybką dziwacznie brzmiącą melodię. Hal wypatrzył trzy instrumenty, które przypominały ziemską harfę, trąbkę i bęben. Czwarty muzyk nie grał, tylko od czasu do czasu szturchał długim kijem zamknięte w klatce stworzenie, podobne do szarańczy, ale wielkości szczura. Owad pocierał wtedy tylnymi skrzydłami o tylne odnóża i wydawał cztery głośne ćwierknięcia, po których następował długi, szarpiący nerwy zgrzyt.

Piąty muzyk pompował miechy połączone z workiem i trzema krótkimi, wąskimi piszczałkami. Dobywał się z nich wysoki pisk.

– Nie myśl, że ten jazgot jest typowy dla naszej muzyki! – krzyknął Fobo. – To tandetne, popularne kawałki. Pewnego dnia zabiorę cię na koncert symfoniczny i wtedy usłyszysz, jak brzmi wielka muzyka.

Wtyk zaprowadził Hala do łoży. Kiedy usiedli, podeszła kelnerka. Pot zalewał jej oczy i spływał po rurkowatym nosie.

– Nie zdejmuj maski, dopóki nie dostaniemy drinków – powiedział Fobo. – Wtedy zasłonimy kotarę.

Kelnerka powiedziała coś po wtykijsku.

Fobo powtórzył po amerykańsku.

– Piwo, wino czy sok z żuka? Sam nie tknąłbym pierwszych dwóch. Są dla kobiet i dzieci.

Hal nie chciał stracić twarzy. Z zapalem, którego nie odczuwał, powiedział:

– To ostatnie, oczywiście.

Fobo podniósł dwa palce do góry. Kelnerka wróciła szybko z dwoma wielkimi kufkami. Wtyk pochylał nos i głęboko wciągnął zapach. Zamknął oczy w ekstazie, podniósł kufel i pił przez długi czas. W końcu odstawił naczynie, beknął głośno i cmoknął wargami.

– Smaki równie dobrze idą w górę jak na dół! – ryknął. Hala zemdlilo. Jako dziecko niejedną raz oberwał batem za folgowanie żołądkowi.

– Hal, ty nie pijesz!

Yarrow rzekł słabo:

– *Damifino*. – Po siddońsku znaczyło to „Mam nadzieję, że to nie boli”.

Ogień spłynął mu do gardła jak lawa po zboczu wulkanu. I jak wulkan, Hal wybuchnął. Kaszlał i rzeził; płyn tryskał mu z ust, a pomiędzy zaciśniętych powiek toczyły się wielkie łzy.

– Dobrze, nie? – zapytał spokojnie Fobo.

– Tak, dobre – wychrypiał Hal. Miał wrażenie, że jego gardło zostało trwale uszkodzone. Choć wypluł większą część napitku, trochę musiało spłynąć przez wnętrzości prosto w nogi; czuł, jak wzbierają i opadają w nich fale przyływu, jak gdyby wzbudzone przez niewidzialny księżyc, krążący w kółko w jego głowie, wielki księżyc, który obijał się o wnętrze czaszki.

– Jeszcze raz.

Tym razem poszło lepiej – przynajmniej pozornie, bo Hal nie kaszał ani nie pluł. Ale wewnątrz nie był taki beztroski. Brzuch go bolał i był pewien, że zaraz się skompromituje. Odetchnął głęboko parę razy i uznał, że może nie zwymiotuje. Potem mu się odbiło. Lawa podeszła do gardła, ale jakoś udało mu się ją powstrzymać.

– Wybacz – wyjąkał, cały czerwony.

– Co? – zapytał Fobo.

Hal pomyślał, że to jedna z najzabawniejszych odpowiedzi, jakie w życiu usłyszał. Roześmiał się głośno i pociągnął z kufla. Jeśli zdoła opróżnić go szybko, a potem kupić kwartę dla Jeanette, może noc nie zostanie całkiem zmarnowana.

Kiedy poziom płynu w kuflu obniżył się o połowę, Hal słyszał Fobo niewyraźnie i z daleka, jakby z końca długiego tunelu. Wtyk pytał go, czy chciałby zobaczyć, jak produkuje się alkohol.

– *Shib*.

Podniósł się, ale musiał przytrzymać się stołu, żeby nie stracić równowagi. Wtyk kazał mu włożyć maskę.

– Ziemianie nadal wzbudzają zaciekawienie. Nie chcemy chyba tracić całego wieczoru na odpowiadanie na pytania, ani na picie drinków, które będą w nas wmuszali.

Przedarli się przez hałaśliwy tłum do pomieszczenia na zapleczu. Fobo podniósł rękę.

– Patrz! *Kesarubu!*

Hal spojrział. Gdyby wiele z jego nawyków nie utonęło w powodzi alkoholu, odraza zwałiłaby go z nóg. A tak był tylko zaciekawiony.

Stworzenie, które wierciło się na krześle przy stole, mogło być wzięte na pierwszy rzut oka za pluskwiaka. Miało jasny meszek wokół łysiny, długi nos i usta w kształcie litery V. Również okrągły tułów i wielki brzuch były typowe dla niektórych Nowozytów.

Ale w jasnym blasku nagiej żarówki widać było, że ciało stworzenia pokrywała twarda, jasnozielona chityna. Gołe kończyny, wyłaniające się spod długiego płaszcza, nie były gładkie,

lecz pierścieniowate, podzielone na segmenty, jak rury połączone kolankami.

Fobo odezwał się do stworzenia. Yarrow zrozumiał parę słów; inne spróbował uzupełnić.

– Ducko, to pan Yarrow. Przywitaj się z panem Yarrowem, Ducko.

Na Hala spojrzały wielkie niebieskie oczy. Na pozór nic nie różniło ich od wtykijskich, a jednak wydawały się nieludzkie, całkowicie owadzie.

– Witam, panie Yarrow – powiedział Ducko głosem papugi.

– Powiedz panu Yarrowowi, że wieczór jest wspaniały.

– Wspaniały wieczór, panie Yarrow.

– Powiedz mu, Ducko, że miło ci go widzieć.

– Duckowi miło pana widzieć.

– I służyć mu.

– I służyć.

– Pokaż panu Yarrowowi, jak robisz sok z żuka.

Wtyk, stojący przy stole, zerknął na zegarek. Zagadał szybko po nowozyjsku. Fobo przetłumaczył.

– Mówi, że Ducko jadł pół godziny temu. Powinien być gotów. Te stworzenia co pół godziny zjadają ogromny posiłek, a potem... patrz!

Duroku postawił na stole wielką glinianą miskę. Ducko pochylił się, aż długa na parę centymetrów rurka, która wystawała z jego piersi, zawisła nad skrajem miski. Rurka, pomyślał Hal, jest prawdopodobnie zmodyfikowanym wylotem tchawicy. Siknął z niej przejrzysty płyn, który szybko wypełnił miskę po brzegi. Duroku złapał naczynie i wyniósł je. Z kuchni przyszedł Nowozyta z talerzem pełnym jak Hal się później dowiedział, sownicie ocukrzonogo makaronu. Postawił talerz, a Ducko zaczął jeść wielką łyżką.

Mózg Hala nie pracował wprawdzie tak sprawnie jak zawsze, ale szybko udało mu się zrozumieć, o co tu chodzi. Z obłędem w oczach rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby wymiotować. Fobo podetknął mu kufel pod nos. Nie mając innego wyjścia, Hal przełknął solidny łyk alkoholu. Raz kozie śmierć. Zdumiewające, ognisty napitek uspokoił mu żołądek. A może po prostu przepalił wzbierającą falę przypływu.

– Dokładnie – odparł Fobo na zduszone pytanie Hala. – Te stworzenia są wybitnym przykładem mimikry pasożytów. Choć quasi-owadzie, są podobne do nas. Żyją wśród nas i dostają mieszkanie z utrzymaniem, dostarczając w zamian tani i wyborny alkohol. Zauważyłeś ten ogromny brzuch, *shibl* To w nim tak szybko produkują alkohol i z niego tak łatwo go wylewają. Proste i naturalne, prawda? Duroku ma jeszcze dwa takie, ale dziś mają wolny wieczór i niewątpliwie upijają się w pobliskiej tawernie. Marynarski urlop...

– Nie możemy kupić kwarty i wyjść? – wybuchnął Hal. – Niedobrze mi. To pewnie z braku powietrza. A może od czegoś innego.

– Pewnie od czegoś innego – mruknął Fobo.

Posłał kelnerkę po dwie kwarty. Czekając na jej powrót, zobaczyli, że wchodzi niski wtyk w masce i niebieskim płaszczu. Przybysz stanął w drzwiach, szeroko rozstawiając nogi w czarnych wysokich butach i kierując długi ryjek maski to w tę, to w tamtą stronę, jak peryskop okrętu podwodnego szukający ofiary.

Hal sapnął.

– Pornsen! Widzę jego mundur pod płaszczem!

– *Shib* – przyznał Fobo. – Opadające ramię i czarne buty też go zdradzają. Myśli, że kogoś nabierze?

Hal rozejrzał się nieprzytomnie.

– Muszę się stąd wydostać!

Kelnerka wróciła z butelkami. Fobo zapłacił i podał jedną Halowi, który odruchowo schował ją do kieszeni płaszcza.

Aspt zobaczył ich, ale nie rozpoznał. Yarrow nosił maskę, *empata* zaś zapewne wyglądał dla Pornsena jak każdy inny wtyk. Metodyczny jak zawsze, Pornsen najwyraźniej był zdecydowany przeprowadzić dokładne poszukiwanie. Poderwał opadające ramię i zaczął rozsuwać kurtyny w łóżach. Ilekroć natykał się na zamaskowanego wtyka, bezceremonialnie zaglądał pod groteskową osłonę.

Fobo zachichotał i po amerykańsku powiedział:

– Nie ujdzie mu to na sucho. Myśli, że kim my, Siddończycy, jesteśmy? Stadkiem myszy?

Stało się to, na co czekał. Krzepki wtyk podniósł się, gdy Pornsen sięgnął do jego twarzy, i zerwał *asptowi* maskę. Zaskoczony widokiem nienowozyjskich rysów, przez sekundę wybałuszał oczy, wreszcie zgrzytnął, wrzasnął coś i trzasnął *Ziemianina* w nos.

W jednej chwili lokal przemienił się w dom wariatów. Pornsen zatoczył się na stół, przewrócił go razem z kufkami i upadł na podłogę. Dwaj wtykowie skoczyli na niego, dwaj inni tłukli się między sobą. Duroku, uzbrojony w krótką pałkę, zaczął walić klientów po plecach i nogach. Ktoś chlusnął mu sokiem z żuka w twarz.

W tej chwili Fobo zgasił światło. Wnętrze gospody pogrążyło się w ciemności.

Hal stał, oszołomiony, gdy ktoś złapał go za rękę.

– Za mną! – Ręka szarpnęła. Hal odwrócił się i dał się prowadzić w kierunku drzwi, które uznał za tylne wyjście.

Wielu innych musiało wpaść na ten sam pomysł. Hala zbito z nóg i stratowano. Puścił rękę Fobo. Zawołał na wtyka, ale jeśli nawet padła jakaś odpowiedź, to zagłuszyło ją chóralne: „Bij go! Złaź mi z pleców, ty dumny robaczy synu! Wielka Larwo, leżymy w drzwiach na kupie!”.

Hałas potęgowały ostre wybuchy. Hal zakrztusił się obrzydliwym smrodem, gdy wtykowie pod wpływem zdenerwowania zaczęli opróżniać gazworki. Ciężko dysząc, torował sobie drogę

do drzwi. Po paru sekundach szaleńczego pełzania po skłębionych ciałach wyrwał się na swobodę, wyskoczył na ulicę i pobiegł co sił w nogach. Nie wiedział, dokąd pędzi. Myślał tylko o jednym: jak najdalej od Pornsena.

Rozbłysły łukowe światła na wierzchołkach wysokich, smukłych słupów. Hal biegł pod samą ścianą, niemal ocierając się o nią ramieniem. Wolał trzymać się w cieniu rzucanym przez liczne wystające z muru balkony. Po minucie zwolnił w wąskim przejściu. Stwierdził, że znalazł się w ślepym zaułku. Zawrócił i biegł, aż dotarł do wielkiej skrzyni – śmietnika, sądząc z zapachu. Przykucnął pod jego osłoną i spróbował odzyskać oddech. Płuca doszły w końcu do siebie; już nie zasysały powietrza rozpaczliwymi haustami. Walenie w uszach też ucichło.

Nie słyszał pościgu, więc po chwili uznał, że może się bezpiecznie podnieść. Pomacał butelkę w kieszeni płaszcza. To cud, że się nie stłukła. Jeanette dostanie swój alkohol. Co za historię będzie miał jej do opowiedzenia! Po tym wszystkim, co dla niej przeszedł, z pewnością należała mu się nagroda...

Na tę myśl ciało pokryła mu gęsia skórka. Ruszył szybko uliczką. Nie orientował się zupełnie, gdzie jest, ale miał w kieszeni plan miasta, wydrukowany na statku, więc pod nowożyjskimi nazwami ulic widniały amerykańskie i islandzkie tłumaczenia. Wystarczy, że odczyta tabliczkę z nazwą ulicy w świetle jednej z licznych lamp, a wtedy z łatwością zorientuje się w terenie i wróci do domu. Co do Pornsena, facet nie dysponował żadnymi dowodami przeciwko niemu, a dopóki ich nie zdobędzie, nie będzie w stanie go oskarżyć. *Złoty lamedh* stawiał Hala ponad wszelkimi podejrzeniami. Pornsen...

Pornsen! Ledwo wymruczał nazwisko, a słowo stało się ciałem. Za jego plecami rozległ się tupot twardych obcasów. Odwrócił się. Uliczką nadchodził niski osobnik, otulony płaszczem. W świetle latarni widać było wyraźnie opuszczone ramię i lśnienie czarnych skórzanych butów. Maski nie było.

– Yarrow! – pisał triumfalnie *aspt*. – Ucieczka nie ma sensu! Widziałem cię w tamtej gospodzie. Już nic cię nie uratuje!

Zbliżył się, stukając obcasami, do wysokiego podopiecznego.

– Piłeś! Wiem, że piłeś!

– Tak? – wychrypiał Hal. – I co jeszcze?

– To nie wystarczy?! – wrzasnął *aspt*. – A może ukrywasz coś w swoim mieszkaniu? Wszystko możliwe! Może masz tam pełno butelek? Zaprowadź mnie do siebie! Zobaczmy, co tam trzymasz. Nie byłbym zaskoczony, gdybym znalazł wszelkie możliwe dowody twojego nierealnego myślenia.

Hal zgarbił ramiona i zacisnął pięści, ale nic nie powiedział. Kiedy *aspt* kazał mu zaprowadzić się do budynku Fobo, ruszył bez sprzeciwu. Jak zdobywca i podbity, wymaszerowali z zaułka na ulicę. Yarrow jednak psuł nieco obraz, zataczając się i wspierając ręką o ścianę.

Pornsen parsknął pogardliwie.

– Ty pijany obusie! Robi mi się niedobrze, kiedy na ciebie patrzę.

Hal wyciągnął rękę.

– Nie jestem jedyny. Popatrz na tamtego faceta.

Miał szaloną nadzieję, że powie lub zrobi coś, co odwlecze ostateczny i fatalny moment, jaki nastąpi po wejściu do mieszkania. Dlatego pokazał *asptowi* wielkiego wyraźnie pijanego pluskwiaka, który tulił się do latarni, żeby zapobiec upadkowi na ostry jak igła nos. Ubrać go w cylinder, a w komplecie z płaszczem i słupem latarni mógłby uchodzić za dziewiętnasto – czy dwudziestowiecznego pijaka. Jęczał od czasu do czasu, jakby głęboko czymś poruszony.

– Może lepiej sprawdzić, czy nie jest ranny – zaproponował Hal.

Musiał coś powiedzieć, cokolwiek, byle tylko zatrzymać Pornsena. Nim *aspt* zdążył zaprotestować, podszedł do wtyka. Złapał go za wolną rękę – druga owijała się wokół słupa – i zapytał w sidło:

– Możemy ci pomóc?

Wielki wtyk wyglądał, jakby też brał udział w bijatyce. Płaszcz, rozdarty na plecach, był w dodatku zbryzgany zaschniętą zieloną krwią. Pijak odwracał twarz w drugą stronę, więc Ziemianin miał kłopoty ze zrozumieniem jego mamrotania.

Pomsen szarpnął Hala za rękaw.

– Chodź, Yarrow. Nic mu nie będzie. Co znaczy jeden mniej lub więcej chory robal?

– *Shib* – zgodził się Hal szeptem. Puścił ramię wtyka i ruszył. Pomsen zrobił krok i wpadł na niego, gdy Hal stanął jak wryty.

– Czemu się zatrzymujesz, Yarrow? – w głosie *aspta* zabrzmiał lęk, a zaraz potem przerażenie i ból.

Hal odwrócił się i zobaczył straszliwą zmianę w postaci domniemanego pijaka. Kiedy położył rękę na ramieniu wroga, poczuł nie ciepłą skórę, ale twardą i zimną chitynę. Przez parę sekund znaczenie tego faktu nie mogło przedrzeć się do jego otumanionego mózgu. Potem przypomniał sobie rozmowę w drodze do gospody i wyjaśnienia, dlaczego nosi miecz. Było już za późno, żeby ostrzec Pornsena.

Aspt trzymał obie ręce przy oczach i wrzeszczał. Stwór, który dotychczas opierał się o latarnię, teraz zmierzał w stronę Hala. Jego ciało zdawało się rosnąć z każdym krokiem. Worek na piersiach wydał się jak szary balon i opróżnił ze świsem. Okropny owadzi pysk, z dwiema szczątkowymi mackami trzepoczącymi po obu stronach otworu gębowego i z trąbką poniżej, zwrócił się w jego stronę. To tę trąbkę Hal mylnie uznał za nos wtyka. W rzeczywistości stwór oddychał przez tchawki i dwie szczeliny pod ogromnymi ślepiami. Zwykle jego oddech musiał brzmieć bardzo głośno, ale stworzenie wyciszało go, żeby nie płoszyć swoich ofiar.

Hal wrzasnął z przerażenia. Złapał połę płaszcza i podniósł, żeby osłonić twarz. Być może maska by wystarczyła, ale wołał nie ryzykować.

Coś zapiekło go w grzbiet dłoni. Krzyknął z bólu, ale skoczył do przodu. Nim stwór zdążył zaczerpnąć powietrza, żeby ponownie nadmuchać worek i wyrzucić kwas przez trąbkę, Hal trzasnął go głową w brzuch.

Stwór sapnął – i runął na ziemię. Leżał na plecach, wymachując rękami i nogami jak wielki jadowity robak, którym zresztą był. Gdy otrząsnął się z szoku, przekręcił się na brzuch i spróbował wstać. Hal kopnął go mocno. Skórzany but z chrzęstem przebił cienką chitynę.

Gdy Hal cofnął nogę, z rany pociekła krew, ciemna w świetle latami. Kopnął jeszcze raz w uszkodzony pancerz. Stwór wrzasnął i spróbował odczołgać się na czworakach. Ziemianin skoczył na niego obiema nogami i rozłożył go na betonie. Nastąpił obcasem na cienką szyję i nacisnął z całej siły. Szyja chrupnęła i stwór znieruchomiał. Żuchwa opadła, odsłaniając dwa rzędy cienkich jak igły zębów. Szczątkowe macki przy otworze gębowym zatrzepotały niemrawo i opadły.

Hal dyszał spazmatycznie. Nie mógł złapać tchu. Cały dygotał, a żołądek podchodził mu do gardła. Hal pochylił się, żeby zwymiotować.

Natychmiast otrzeźwiał. Pornsen, który przestał już wrzeszczeć, leżał skulony w rynsztoku. Hal przewrócił go na plecy i zadrżał. Oczy były częściowo wypalone, usta szare, pokryte

wielkimi pęcherzami. Spomiędzy warg wystawał język, opuchnięty i kluchowaty. Najwidoczniej Pornsen połknął truciznę.

Hal wyprostował się i odszedł. Wtykijski patrol znajdzie ciało *aspta* i przekaże je Ziemianom. Niech hierarcha zachodzi w głowę, co się stało. Pornsen nie żył, a on, Yarrow, przyznawał się przed sobą do tego, o czym wcześniej nie śmiał pomyśleć. Nienawidził Pornsena i był zachwycony, że *aspt* nie żyje. Cierpiał straszliwie, ale co z tego? Jego męki były krótkie, a ból i poczucie winy, jakie wzbudzał w Halu, trwały prawie od trzydziestu lat.

Odwrócił się, słysząc za sobą hałas.

– Fobo?

Dobiegł go jęk, a następnie zniekształcone bólem słowa.

– Pornsen? Nie możesz... ty... nie żyjesz.

Ale Pornsen żył. Stał kołysząc się na boki.

Wyciągnął ręce, żeby wymacać drogę, i zrobił parę niepewnych kroków.

Przez chwilę Hal był tak spanikowany, że naszła go myśl o ucieczce. Zmusił się jednak do pozostania na miejscu i do racjonalnego myślenia.

Jeśli wtykowie znajdą Pornsena, przekażą go lekarzom na „Gabrielu”. Lekarze wszczepią aniołowi nowe oczy z banku narządów i wstrzykną mu środki regenerujące. Za dwa tygodnie język Pornsena odrośnie i *aspt* zacznie mówić. Zwiastunie, i to jak!

Dwa tygodnie? Od razu! Nic nie powstrzyma go od pisania.

Pornsens jęknął z bólu fizycznego; Hal – z psychicznego.

Miał tylko jedno wyjście.

Podszedł do Pornsena i złapał go za rękę. *Aspt* wzdrygnął się i wybełkotał coś niezrozumiale.

– To ja, Hal – powiedział Yarrow.

Pornsens drugą ręką wyciągnął z kieszeni notes i pióro. Hal puścił go. Pornsens napisał coś i podał mu notes.

Pismo było nierówne, ale mimo ślepoty Pornsena dość czytelne. Hal przeczytał notatkę w jasnym świetle księżyca.

Zabierz mnie na „Gabriela”, synu. Przysięgam na Zwiastuna, że nikomu nie wspomnę słowem o alkoholu. Będę ci wdzięczny na wieki. Nie zostawiaj mnie tutaj na łasce potworów. Kocham cię.

Hal poklepał go po ramieniu.

– Weź mnie za rękę. Poprowadzę cię.

Usłyszał wrzawę. W ich stronę zmierzała grupa hałaśliwych wtyków.

Skreślił do pobliskiego parku, prowadząc potykającego się człowieka między drzewami. Po przejściu jakichś stu metrów znaleźli się w gęstym zagajniku. Hal zatrzymał się. Z niedalekiej polanki dobiegały dziwne odgłosy – coś jakby klekotanie i posapywanie.

Wyjrzał zza drzewa i zobaczył przyczynę hałasu. Księżyc oświetlał zwłoki wtyka, a raczej to, co z nich zostało. Górna część była objedzona do kości. Wokół zwłok i na nich roiły się niezliczone srebrzystobiałe owady. Przypominały mrówki, ale wysokie co najmniej na trzydzieści centymetrów. Klekotanie wydawały ich szczęki szarpiące mięso, a posapywanie dobiegało z nadymających się i opróżniających worków powietrznych na głowach.

Hal myślał, że jest dobrze ukryty, ale musiały go wyczuć. Błyskawicznie zniknęły w cieniu drzew po drugiej stronie polanki.

Zawahał się, ale doszedł do wniosku, że to padlinożercy i że nie zrobią krzywdy zdrowemu człowiekowi. Prawdopodobnie wtyk był pijany, stracił przytomność i został zabity przez mrówki.

Hal podprowadził Pornsena bliżej. Obejrzał trupa, bo była to pierwsza okazja zbadania budowy kostnej rodzimych mieszkańców planety. Kręgosłup wtyka, umieszczony z przodu tułowia, biegł z bioder o obcym kształcie i tworzył krzywiznę, stanowiącą lustrzane odbicie ludzkiego kręgosłupa. Z przodu, po obu stronach kręgosłupa, leżały dwa worki wnętrzości z dwudzielnym żołądkiem. U żywego wtyka były one niewidoczne pod skórą.

Taka budowa wewnętrzna nie była zaskakująca u istoty, której protoplasci byli owadami. Seteci milionów lat temu przodkowie wtyków byli niewyspecjalizowanymi, podobnymi do dżdżownic prastawonogami. Rozumiejąc ograniczenia biologicznego typu prawdziwych stawonogów, ewolucja oddzieliła gałąź któregoś prapradziada wtyków od głównego pnia. Kiedy skorupiaki, pajęczaki i owady wykształcały szkielety zewnętrzne i liczne odnóża, Pradziad Wtyk poszedł inną drogą. Zrezygnował z przekształcenia w chitynę delikatnej, pokrytej nabłonkiem skóry i wykształcił szkielet wewnętrzny. Zachował jednak brzuszny ośrodkowy układ nerwowy, a przesunięcie nerwu rdzeniowego i kręgosłupa z przodu na plecy przekraczało jego możliwości. I tak kręgosłup pozostał tam, gdzie był na początku. Wewnętrzne narządy wtyka niewątpliwie różniły się od ssaczy, ale choć forma była inna, pełniły podobne funkcje.

Hal chciałby przeprowadzić dokładniejsze badanie, ale miał do zrobienia coś innego.

Coś, co budziło w nim wstręt.

Pornsena napisał parę słów i podał notes Halowi.

Synu, boli mnie straszliwie. Proszę, zabierz mnie na statek. Nie zdradzę cię. Czy kiedykolwiek zламаłem dane ci słowo? Kocham cię.

Jedynym słowem, jakie kiedykolwiek mi dałeś, była chłosta, pomyślał Hal.

Popatrzył w cień między drzewami. Białe odwłoki przypominały kępę grzybów. Mrówki czekały na jego odejście.

Pornsen wybełkotał coś i usiadł w trawie. Głowa mu opadła.

– Dlaczego muszę to zrobić? – mruknął Hal.

Nie muszę, pomyślał. Możemy z Jeanette zdać się na łaskę wtyków. Pójść do Fobo. Wtykowie by nas ukryli. Ale czy na pewno? Gdybym mógł być tego pewien... A może wydaliby nas Uzzitom?

– Nie ma sensu tego odkładać – wymruczał.

Jęknął i dodał:

– Dlaczego nie umarł tam, na ulicy?

Wyciągnął długi nóż z pochwy w cholewie.

W tej chwili Pornsen podniósł głowę i wypalone oczy. Wyciągnął rękę, szukając go po omacku. Upiorna karykatura uśmiechu wykrzywiła spalone usta.

Hal podniósł nóż i zatrzymał go w odległości kilkunastu centymetrów od jego gardła.

– Jeanette, robię to dla ciebie! – zawołał.

Ale ostrze nawet nie drgnęło, a po kilku sekundach opadło.

– Nie mogę. Nie mogę!

A jednak musiał zrobić coś, co albo powstrzyma Pornsena od wydania go, albo usunie jego i Jeanette z niebezpiecznego zasięgu Uzzitów.

Co więcej, musi dopilnować, żeby Pornsen został otoczony opieką lekarską. Cierpienie tego człowieka przyprawiało go o mdłości, sprawiało, że skręcał się ze współczucia. Zabijając Pornsena skróciłby jego męczarnie, ale nie mógł tego zrobić.

Pornsen, bełkocząc coś niezrozumiale, zrobił parę chwiejnych kroków. Wyciągając ręce na wysokości piersi obracał się, szukając Hala. Hal usunął się na bok. Myślał gorączkowo. Było tylko jedno rozwiązanie: dotrzeć do Jeanette i wziąć nogi za pas. Pomyślał, że sprowadzi jakiegoś wtyka, który zabierze Pornsena na statek, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Pornsen będzie musiał pocierpieć. Każda sekunda była droga, a próba ulżenia *asptowi* stałaby się zdradą wobec Jeanette – nie wspominając o sobie.

Pornsen brnął powoli przed siebie, machając rękami w powietrzu i szurając po trawie, żeby się o nic nie potknąć. Jego stopa natrafiła na kości autochtona. Zatrzymał się i pochylił, żeby pomacać przeszkodę. Kiedy zacisnął ręce na żebrach i miednicy, zamarł. Przez parę sekund trwał nieruchomo, a potem zaczął obmacywać cały szkielet. Palce musnęły czaszkę, powędrowały dalej, trafiły na resztki skóry przywierającej do kości.

Gwałtownie się wyprostował. Widocznie zdał sobie sprawę, że to, co doprowadziło wtyka do takiego stanu, może być blisko, a on jest bezbronny. Ze zdławionym krzykiem pobiegł przez polanę. Jego zawrodożenie urwało się nagle, bo zderzył się z pniem drzewa i przewrócił na plecy.

Zanim zdążył wstać, pokryła go klekocząca masa białych jak grzyby odwłoków.

Hal nie zdążył się zastanowić, czy to ma sens, i popędził w stronę mrówek. W połowie polany zobaczył, że znikają w cieniu, ale niezbyt daleko. Widział ich białawe ciała.

Dotarł do Pornsena, przyklęknął i obejrzał go.

W ciągu paru chwil ubranie mężczyzny zamieniło się w strzępy, a ciało w wielu miejscach zostało wygryzione aż do kości.

Oczy martwo spoglądały w niebo; mrówki przegryzły tętnicę szyjną.

Hal podniósł się z jękiem i rzucił się do ucieczki. Ściągał go szelest i klekot, gdy mrówki wysuwały się spod osłony drzew. Nie obejrzał się.

Zatrzymał się dopiero w świetle latarni, a nagromadzone napięcie znalazło ujście we łzach. Ramiona trzęsły mu się od szlochu, zataczał się jak pijany. Miał wrażenie, że coś rozdziera mu serce.

Nie wiedział, czy to uzewnętrzniał się żal, czy nienawiść. Może jedno i drugie. Cokolwiek to było, wydostawało się z organizmu jak nagromadzona trucizna, paląc go żywym ogniem.

Choć czuł się tak, jakby umierał, przynajmniej pozbył się zatruwających go uczuć. Zmęczenie ciążyło mu w rękach i nogach jak ołów. Ledwo starczyło mu energii, żeby dojść po schodach do frontowych drzwi budynku.

Jednocześnie czuł lekkość w sercu. Biło silnie, bez przeszkód, jakby zniknęła ręka, która się na nim zaciskała.

W blasku świtu czekała na Ziemianina wysoka zjawą w jasnoniebieskim całunie. To Fobo, empata, stał w sześciokątnym wejściu budynku. Odrzucił kaptur, ukazując draśnięty policzek i podbite oko.

– Jakiś robaczy syn zerwał mi maskę i nieźle mi przywalił – powiedział ze śmiechem. – Ale to było zabawne. Od czasu do czasu taka rozróbka pomaga wypuścić parę. Jak się wydostałeś? Bałem się, że zgarnęła cię policja. Normalnie bym się nie martwił, ale wiem, że twoi koledzy ze statku nie byłiby zachwyceni.

Hal uśmiechnął się słabo.

– Łagodnie mówiąc.

Zastanowił się, skąd Fobo wie, jaka byłaby reakcja hierarchów. Ile ci wtykowie wiedzieli o Ziemianach? Czy knuli jakiś podstęp i tylko czekali, by zaatakować? Jeśli tak, to czym? Ich technologia, o ile wiedział, stała daleko w tyle za ziemską. Wprawdzie więcej niż Ziemianie wiedzieli o funkcjach psychicznych, ale to było zrozumiałe. Paściół dawno temu uznał, że psychologia osiągnęła najwyższy poziom rozwoju i że dalsze badania nie są konieczne. Rezultatem był zastój w naukach psychologicznych.

Hal był jednak zbyt zmęczony, żeby rozmyślać nad takimi rzeczami. Marzył o łóżku.

– Później ci powiem, co się stało.

– Domyślam się – odparł Fobo. – Masz mocno poparzoną rękę. Pozwól mi to opatrzyć. Jad nocożytów jest paskudny.

Hal jak dziecko poszedł za wtykiem do jego mieszkania i pozwolił mu posmarować ranę kojącą maścią.

– *Shib* – powiedział Fobo. – Idź spać. Jutro mi wszystko opowiesz.

Hal podziękował mu i poszedł na swoje piętro. Miał kłopoty z trafieniem kluczem w dziurkę. Wreszcie się udało. Wszedł do mieszkania, zamknął drzwi i zawołał Jeanette. Musiała kryć się w szafie w sypialni, bo usłyszał stuknięcie otwieranych drzwi. Po chwili już biegła ku niemu. Zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Och, *mou nam, mou nami* Co się stało? Tak się bałam. Myślałam, że zacznę krzyczeć. Robiło się coraz później, a ty nie przychodziłeś.

Z jednej strony było mu bardzo przykro, że sprawił jej ból, ale z drugiej przyjemność sprawiła mu świadomość, że się o niego martwiła. W podobnej sytuacji Mary być może też byłaby zaniepokojona, ale poczucie obowiązku nakłoniłoby ją do stłumienia niepokoju i wygłoszenia kazania na temat skutków nierealnego myślenia.

– Doszło do bijatyki – wyznał.

Zadecydował, że nie powie jej nic o *aspicie* ani o nocozytach. Porozmawiają o tym później,

kiedy minie napięcie.

Jeanette zdjęła mu płaszcz i kaptur, a potem maskę. Powiesiła wszystko w szafie, a Hal opadł na fotel i zamknął oczy.

Chwilę później uniósł powieki, słysząc dźwięk przelewanego płynu. Jeanette stała przed nim i napełniała wysoką szklankę alkoholem. Smród soku z żuka przyprawił Hala o mdłości. Jeszcze gorszy był widok pięknej dziewczyny pijącej to paskudztwo.

Popatrzyła na niego, wznosząc delikatne brwi.

– *Kietip*.

– Nieważne! – jęknął. – Nic mi nie jest.

Odstawiła szklankę, chwyciła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. Posadziła go na łóżku, a potem delikatnie położyła. Nie opierał się, kiedy zdejmowała buty i rozpiniała koszulę. Poglądziła go po włosach.

– Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

– *Shib*. Mógłbym sprawić lanie całemu światu, nawet z ręką związaną za plecami.

– To dobrze.

Łóżko zaskrzypiało, gdy wstała i wyszła z sypialni. Hal zaczął zapadać w sen, ale rozbudził go jej powrót. Otworzył oczy. Stała nad nim ze szklanką w ręku.

– Chcesz łyczek, Hal?

– Wielki Sigmenie, czy ty nic nie rozumiesz? – Wściekłość poderwała go z pościeli. – Jak myślisz, dlaczego jest mi niedobrze? Nie cierpię tego świństwa! Nie mogę patrzeć, jak je pijesz. Przyprawia mnie o mdłości. Ty też przyprawiasz mnie o mdłości. Co z tobą?

Oczy Jeanette otwarły się szeroko, a krew odpłynęła jej z twarzy. Usta wyglądały teraz jak szkarłatna rana. Ręka jej zadrżała, aż alkohol wylał się na podłogę.

– Ale dlaczego? – jęknęła. – Przecież mówiłeś, że czujesz się dobrze. Myślałam, że nic ci nie jest. Myślałam, że chcesz iść ze mną do łóżka.

Yarrow jęknął, zamknął oczy i opadł na poduszkę. Ona nadal nic nie rozumiała. Brała wszystko poważnie. Będzie musiała się nauczyć. Gdyby nie zmęczenie, poczułby się wstrząśnięty jej otwartą propozycją – jak wtedy, gdy czytał w *Zachodnim Talmudzie* o Szkarłatnej Kobiecie, która próbowała uwieść Zwiastuna.

Ale nie miał nawet tyle siły, żeby się tym przejąć. W dodatku na skraju świadomości szeptał mu jakiś głos, że ona tylko ubrała w proste i nieodwołalne słowa to, co w duchu planował od samego początku.

Brzęk tłuczonego szkła przerwał mu rozmyślenia. Poderwał się na łóżku. Jeanette stała, obok, zapłakana; jej śliczne czerwone usta drżały, a łzy płynęły po policzkach. Ręce miała puste. Wielka mokra plama na ścianie świadczyła, co się stało ze szklanką.

– Myślałam, że mnie kochasz! – krzyknęła.

Niezdolny wymyślić stosownej odpowiedzi; w milczeniu wlepił w nią wzrok. Obróciła się na pięcie i wyszła. Słyszał, jak wchodzi do pokoju obok i zaczyna głośno szlochać. Nie mogąc tego znieść, wyskoczył z łóżka i poszedł za nią. Mieszkania podobno były dźwiękoszczelne, ale nigdy nie wiadomo. A jeśli ktoś ją usłyszy?

W każdym razie Jeanette coś w nim obudziła. Musiał się z tym uporać.

Zobaczył, że dziewczyna siedzi nieruchomo i patrzy w podłogę. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie, bo nigdy wcześniej nie miał do czynienia z takim problemem. Haijackie kobiety nieczęsto płakały, a jeśli już, to w samotności.

Usiadł obok i położył rękę na jej miękkim ramieniu.

– Jeanette.

Odwróciła się szybko i oparła ciemną głowę na jego piersi. Wykrztusiła wśród łkań:

– Gdyby się okazało, że mnie nie kochasz... tego bym nie zniosła. Nie po tym, przez co przesłam!

– No cóż, Jeanette, nie chciałem... nie byłem...

Urwał. Nie miał zamiaru mówić jej, że ją kocha. Nigdy nie powiedział tego żadnej kobiecie, nawet Mary. Ani żadna kobieta nie powiedziała tego jemu. A teraz... ta kobieta na dalekiej planecie, na domiar tylko na pół ludzka, z góry założyła, że on należy do niej, ciałem i jaźnią.

Zaczął cichym głosem cytować Wykład Moralny AT-16:

– ...wszystkie istoty z sercami we właściwym miejscu są bliźnimi twymi... Mężczyzna i kobieta są bratem i siostrą... Miłość jest wszędzie... ale miłość... powinna zachodzić na wyższej płaszczyźnie... Mężczyzna i kobieta powinni gardzić zwierzęcym aktem spółkowania, którego Wielki Umysł, Kosmiczny Obserwator, jeszcze nie wyeliminował z rozwoju ewolucyjnego człowieka... Nadejdzie czas, kiedy dzieci poczynać się będą z samej myśli. Tymczasem musimy uznawać seks za konieczność tylko z jednego powodu: posiadania potomstwa...

Cały drżał, a pod zaciśniętymi powiekami widział ogniste koła.

Minęła chwila, zanim uświadomił sobie, że Jeanette skoczyła na nogi i trzasnęła go mocno otwartą dłonią w twarz. Oczy miała zwężone ze złości; czerwone wargi skurczyły się, odsłaniając zęby.

Potem odwróciła się i pobiegła do sypialni. Poszedł za nią. Leżała na łóżku, zanosząc się szlochem.

– Jeanette, nie rozumiesz!

– *Fva tuh fe tu!*

Kiedy zrozumiał, aż się zarumienił, ale zaraz wpadł w złość. Złapał ją za ramię i przewrócił na plecy, żeby widzieć jej twarz. I niespodziewanie dla samego siebie powiedział:

– Ale ja cię kocham, Jeanette. Kocham.

Brzmiało to dziwnie, nawet dla niego. Koncepcja miłości takiej, jak ona ją pojmowała, była

Halowi obca – obca i przestarzała. Wymagała odświeżenia. Wiedział, że potrafi tego dokonać. Oto w jego ramionach spoczywała kobieta, której natura, instynkt i wykształcenie ukierunkowane były na miłość.

Myślał, że jego zapas rozpaczy już się wyczerpał, ale teraz, gdy zapomniał o swoim postanowieniu przemilczenia tego, co się stało, i gdy przypomniał sobie krok po kroku wydarzenia tej długiej i strasznej nocy, łzy na nowo zaczęły spływać mu po twarzy. W ciągu trzydziestu lat nabierało się ich wiele. Wystarczą na długo.

Jeanette też płakała. Wyznała, jak bardzo jej przykro, że się na niego rozzłościła. Obiecała nigdy więcej tego nie robić. Hal zapewnił, że nie ma do niej żalu. Pocałowali się raz i drugi, jak dzieci, które wyplakały całą złość, i powoli zapadli w sen.

O dziewiątej Czasu Statkowego Yarrow wszedł na pokład „Gabriela”, czując jeszcze zapach porannej rosy na trawie. Konferencja jeszcze się nie zaczęła, zajął więc do Turnboya, obusa historyka. Mimochodem zapytał, czy wiadomo mu coś o kosmicznym locie emigracyjnym z Francji po wojnie apokaliptycznej. Turnboy z radością popisał się swoją wiedzą. Tak, po wojnie apokaliptycznej niedobitki narodu galijskiego zebrały się w kraju Loary i utworzyły załążek państwa, które stało się nową Francją.

Ale Loarę otoczyły szybko rozrastające się kolonie, w północnej części Francji zasiedlane przez przybyszów z Islandii, a na południu – z Izraela. Nowa Francja została szybko zdominowana pod względem ekonomicznym i religijnym. Fale sigmeńskich misjonarzy zalewały jej terytorium. Wysokie opłaty celne zdusiły handel małego państwa. Wreszcie grupa Francuzów, świadoma nieuchronnego wchłonięcia ich kraju, religii i języka, wyruszyła sześcioma dość prymitywnymi statkami kosmicznymi na poszukiwanie innej Galii, krążącej wokół jakiejś dalekiej gwiazdy. Mało prawdopodobne, że im się udało.

Hal podziękował Turnboyowi i poszedł do sali konferencyjnej. Zastał tam już wiele osób z załogi. Połowa z nich, jak on, miała lekko mongolskie rysy. Byli anglojęzycznymi potomkami Hawajczyków i Australijczyków, ocalałych z tej samej wojny, która zdziesiątkowała Francuzów. Ich praprapradziadowie zaludnili na nowo Australię, obie Ameryki, Japonię i Chiny.

Prawie połowa załogi mówiła po islandzku. Ich przodkowie wyruszyli ze swojej niegościnniej wyspy, żeby rozproszyć się po północnej Europie, Syberii i Mandżurii.

Ojczystym językiem mniej więcej około jednej szóstej personelu był gruziński. Ich przodkowie zeszli z gór Kaukazu i zasiedlili wyludnioną południową część Rosji, Bułgarię, północny Iran i Afganistan.

Konferencję można było uznać za udaną. Po pierwsze, Hal z dwudziestego miejsca po lewej ręce Arcyurielity przeniesiony został na miejsce szóste po prawej. *Lamedh* na jego piersi zrobił swoje. Po drugie, śmierć Porsena nie wzbudziła większej sensacji. *Aspt* został uznany za ofiarę nie wypowiedzianej wojny. Wszyscy zostali jeszcze raz ostrzeżeni przed nocożytami i innymi stworami, które grasowały w Siddo po zmroku. Nikt nie zaproponował, żeby Haijacy zawiesili nocne akcje szpiegowskie.

Macneff polecił Halowi, jako duchowemu synowi zmarłego *aspta*, by następnego dnia zajął się pogrzebem. Potem z długiego rulonu wiszącego na ścianie wyciągnął wielką mapę Ziemi, która miała zostać podarowana wtykom.

Mapa była dobrym przykładem fałszu pokrętnego myślenia. Przedstawiała dwie półkule z zaznaczonymi granicami politycznymi. Wiernie oddawała państwa Malajów i Bantu, ale położenie Izraela i narodów Haijacy zostało odwrócone. Legenda pod mapą oznajmiała, że

zielony jest kolorem państw Zwiastuna, a żółty państw hebrajskich. Jednak zieleń obejmowała tereny wokół Morza Śródziemnego oraz szeroki pas, biegnący przez Półwysep Arabski, południową część Azji Mniejszej i północne Indie.

Innymi słowy, gdyby za sprawą jakiegoś niepojętego przypadku Nowozytom udało się zająć „Gabriela”, zbudować własne statki na jego wzór i wykorzystać dane nawigacyjne do znalezienia Słońca, ofiarą ich ataku padłoby niewłaściwe państwo. Bez wątplenia nie zadawaliby sobie trudu nawiązywania kontaktu z mieszkańcami Ziemi, bo chcieliby wykorzystać element zaskoczenia. A zatem Izraelczycy nie mieliby szans, żeby wyjaśnić cokolwiek przed wybuchem bomb. A Unia Haijac, uprzedzona, wysłałaby swoją flotę kosmiczną przeciwko najeźdźcom.

– Jednak nie sądzę – powiedział Macneff – by zaprezentowana pseudoprzyszłość mogła kiedykolwiek stać się rzeczywistością. To niemożliwe, chyba że Wstecznik jest potężniejszy niż mi się wydaje. Oczywiście, możecie myśleć, że takie rozwiązanie jest najlepsze. Cóż bowiem mogłoby ukształtować przyszłość lepiej niż unicestwienie naszych izraelskich wrogów przez tych nieludzi? Ale, jak wiecie, nasz statek jest dobrze zabezpieczony przed otwartym czy podstępny atakiem. Radar, lasery, sprzęt audiotechniczny i teleskopy pracują przez cały czas. Broń jest gotowa. Wtykowie stoją dużo niżej pod względem techniki; nie mogą użyć przeciw nam niczego, czego nie potrafilibyśmy zmiażdżyć. Gdyby Wstecznik zesłał im jednak nadludzką przebiegłość i gdyby wdarli się na nasz statek, i tak nie osiągnęliby celu. W chwili zdobycia którejkolwiek części statku, jeden z dwóch oficerów, stale pełniących służbę na mostku wciśnie guzik. To spowoduje wykasowanie z banków pamięci wszystkich danych nawigacyjnych; wtykom nigdy nie uda się zlokalizować Słońca. A gdyby – niech Sigmen broni – dotarli na mostek, oficer dyżurny naciśnie inny guzik.

Macneff zamilkł i popatrzył na zebranych przy stole konferencyjnym. Dobrze wiedzieli, co zaraz usłyszą.

– Bomba wodorowa unicestwi ten statek. Zniszczy również miasto Siddo. A my na wieki zostaniemy wyniesieni w oczach Zwiastuna i Paścioła. Naturalnie wszyscy wolelibyśmy, żeby tak się nie stało. Ale nie mogę ostrzec Siddończyków, żeby nie próbowali nas atakować. Popsułoby to nasze dobre stosunki i mogłoby zmusić nas do przedwczesnej realizacji Projektu Nowozobójstwa.

Po konferencji Hal wydał polecenia w sprawie pogrzebu Pornsena. Różne obowiązki zatrzymały go na statku do zmroku.

Po powrocie do domu zamknął za sobą drzwi. Słyszał było szum prysznica. Powiesił płaszcz w szafie; szum wody ucichł. Gdy stanął w progu sypialni, Jeanette wyszła z łazienki, wycierając włosy ręcznikiem. Była naga.

– *Bou zu*, Hal – powiedziała i bez żadnego zażenowania pomaszerowała do sypialni. Hal odpowiedział jej drżącym głosem. Przez własną nieśmiałość czuł się głupio i nierealnie; serce mu

waliło, oddychał ciężko, a w lędźwiach czuł płynny ogień, sprawiający mu zarazem ból i rozkosz.

Wyszła do niego w bladozielonej sukni, którą jej kupił i którą sama dopasowała do figury. Ciężkie czarne włosy związała w grecki węzeł. Pocałowała go i zapytała, czy przyjdzie do kuchni zobaczyć, jak szykuje jedzenie. Powiedział, że z przyjemnością będzie jej towarzyszyć.

Zaczęła przyrządzać spaghetti. Poprosił ją żeby opowiedziała mu o swoim życiu. Kiedy raz zaczęła, trudno jej było przerwać.

– ...i tak lud mojego ojca znalazł planetę podobną do Ziemi i tam się osiedlił. Była to piękna planeta; dlatego nazwali ją *Wubopfej*, Piękna Ziemia. Według mojego ojca na jednym kontynencie mieszkało tu około trzydziestu milionów istnień. Ojcu nie podobało się życie takie, jakie wiedli jego dziadowie – uprawianie ziemi albo prowadzenie sklepu i wychowywanie wielu dzieci. Z paroma młodymi ludźmi zabrali jedyny statek, który pozostał z szczęściu, i wyruszyli ku gwiazdom. Przybyli na Nowoz. I rozbili się. Nic dziwnego. Statek był okropnie stary.

– Wrak nadal tu jest?

– Blisko miejsca gdzie mieszkają moje siostry, ciotki i kuzynki.

– Twoja matka nie żyje?

– Nie – odparła po krótkim wahaniu. – Zmarła w połogu, dając mi życie. Ojciec umarł później... to znaczy myślimy, że umarł. Ruszył na polowanie i nigdy nie wrócił.

Hal zmarszczył brwi.

– Mówiłaś mi, że twoja matka i ciotki były ostatnimi przedstawicielkami tubylczych istot ludzkich na Nowozie. To nieprawda. Fobo powiedział, że w głębi lasów żyje co najmniej tysiąc małych, odizolowanych grup. Kiedyś wspominałaś, że Rastignac był jedynym Ziemianinem, który przeżył katastrofę statku. Był mężem twojej matki, i choć brzmi to niewiarygodnie, ich związek – istoty ziemskiej i pozaziemskiej – miał potomstwo! Już samo to wstrząsnęłoby moimi kolegami do głębi. Dopasowanie obcych chromosomów całkowicie przeczy przyjętym poglądom! Ale chodziło mi o coś innego: podobno siostry twojej matki też miały dzieci. Skoro ostatni mężczyzna z waszej grupy zmarł wiele lat przed katastrofą statku Rastignaca, to kto był ich ojcem?

– Mój ojciec, Jean-Jacques Rastignac. Był mężem mojej matki i moich trzech ciotek. Wszystkie mówiły, że był wyjątkowym kochankiem, bardzo doświadczonego, bardzo męskim.

– Aha – mruknął Hal.

Przyglądał się w milczeniu, jak Jeanette przygotowuje spaghetti i sałatkę. W końcu ochłonął i zaczął rozważać wszystko na chłodno. Koniec końców, Francuz nie był dużo gorszy od niego. Może nawet wcale nie był zły. Hal zaśmiał się. Jak łatwo potępiać kogoś innego za uleganie pokusie, dopóki człowiek sam nie znajdzie się w podobnej sytuacji. Zastanowił się, jak postąpiłby Pornsen, gdyby to z nim skontaktowała się Jeanette.

– Kiedy płynęliśmy rzeką przez dżunglę – ciągnęła Jeanette – przestali pilnować mnie tak skrupulatnie. Byliśmy o dwa miesiące drogi od mojego domu, więc doszli do wniosku, że nie poważę się na próbę ucieczki i samotny powrót W dżungli czyha tyle niebezpiecznych stworzeń. Przy nich nocożyt jest łagodny jak baranek.

Zadrzała.

– Kiedy dotarliśmy do wioski, leżącej na skraju cywilizacji, pozwolili mi chodzić swobodnie. Do tego czasu nauczyłam się ich języka, a oni trochę mojego. Ale nasze rozmowy przebiegały na najprostszym poziomie. Jeden z nich, naukowiec zwany ‘Asa’atsi, poddał mnie różnym egzaminom i testom, fizycznym i umysłowym. W wiejskim szpitalu mieli maszynę, która zrobiła zdjęcia mojego wnętrza, mojego szkieletu, moich narządów. *Mou djuh!* Wszystkiego. Powiedzieli, że to bardzo interesujące. Wyobraź sobie tylko! Stoję przed nimi obnażona jak żadna inna kobieta, a ci mi mówią, że to wielce interesujące! Coś takiego!

Hal roześmiał się.

– Nie możesz oczekiwać, że przyjmą punkt widzenia samca-ssaka na samicę-ssaka, który jest...

Popatrzyła na niego figlarnie.

– A więc ja jestem ssakiem?

– Oczywiście, niewątpliwie, bezspornie i entuzjastycznie.

– Za to należy ci się całus.

Pochyliła się i ustami dotknęła jego warg. Zesztywniał, reagując jak wtedy, gdy całowała go żona. Jeanette musiała się widocznie tego spodziewać, bo powiedziała:

– Jesteś mężczyzną, nie kamiennym słupem. A ja jestem kobietą, która cię kocha. Pocałuj mnie, nie ograniczaj się do przyjmowania moich pocałunków.

– Och, nie tak mocno – wymruczała po chwili. – Pocałuj mnie. Nie próbuj miażdżyć mi ust. Delikatnie złącz wargi z moimi. Popatrz.

Pięściła czubkiem języka jego język. Wreszcie wyprostowała się z uśmiechem. Powieki miał przymknięte, usta wilgotne, Hal drżał na całym ciele i dyszał ciężko.

– Czy twoi ludzie myślą, że język służy wyłącznie do mówienia? Uważaliby, że to, co zrobiłam, jest wstrętne i nierealne?

– Nie wiem. Nikt u nas o tym nie rozmawia.

– Podobało ci się, wiem. A przecież to te same usta, którymi jem. Te, które muszę skrywać za woalem, kiedy siadam z tobą do stołu.

– Nie wkładaj więcej czapki – wybuchnęła. – Przemyślałem to. Nie ma racjonalnego powodu, który usprawiedliwiłoby zasłanianie twarzy przy jedzeniu. Nauczono mnie po prostu, że jedzenie jest czymś obrzydliwym. Pies Pawłowa ślinił się, kiedy słyszał dzwonek; mnie robiło się niedobrze, kiedy widziałem, jak ktoś wkłada jedzenie do ust.

– Jedzmy. Potem napijemy się i porozmawiamy o nas. A później zrobimy to, na co oboje mamy ochotę.

Uczył się szybko. Nawet się nie zarumienił.

Po posiłku Jeanette zmieszała w dzbanku sok z żuka z wodą, dołała purpurowego płynu, który sprawił, że napój zaczął pachnieć winogronami, i wrzuciła gałązki jakiejś pomarańczowej rośliny. Podany w wysokiej szklance z kostkami lodu drink był chłodny i smakował jak winogrona. Gładko spływał do gardła.

– Dlaczego wybrałaś mnie, a nie Pomsena?

Usiadła mu na kolanach i jedną ręką objęła za szyję. W drugiej trzymała drinka.

– Och, byłeś taki przystojny, a on taki brzydki. Poza tym czułam, że tobie można zaufać. Wiedziałam, że muszę być ostrożna. Ojciec opowiedział mi o Ziemianach. Powiedział, że nie wolno im wierzyć.

– To prawda. Musisz mieć intuicję, Jeanette, bo postąpiłaś właściwie. Gdybyś miała antenkę, powiedziałbym, że potrafisz wykrywać emanacje nerwowe. A może masz? Poszukajmy! – Chciał przeganiać palcami jej włosy, ale uchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem.

On śmiał się razem z nią, pieszcząc gładką skórę jej ramienia.

– Jestem prawdopodobnie jedyną osobą na statku, która by cię nie wydała. Ale teraz mam kłopot. Widzisz, twoja obecność budzi we mnie Wstecznika. Naraża mnie na poważne niebezpieczeństwo, którego jednak wcale nie chcę uniknąć. Jednak martwi mnie to, co powiedziałaś o tych maszynach do prześwietlania. Jak dotąd nie widzieliśmy niczego podobnego. Czy wtykowie je ukrywają? Jeśli tak, to dlaczego? Wiemy, że mają elektryczność i że są teoretycznie zdolni do skonstruowania aparatu rentgenowskiego. Może ukrywają te maszyny tylko dlatego, że są świadectwem istnienia dużo bardziej rozwiniętej techniki? Ale to brzmi mało przekonująco. Z drugiej strony, nie wiemy zbyt wiele o kulturze siddońskiej. Jesteśmy tutaj od niedawna; nie mamy dość ludzi, żeby przeprowadzić kompleksowe badania. Może jestem zbyt podejrzliwy, mimo to należałoby powiadomić Macneffa. Ale nie mogę mu wyznać, skąd się o tym dowiedziałem, a nie śmiałybym powołać się na jakieś wymyślone źródło informacji. Mam dylemat.

– Dylemat? Nigdy nie słyszałam o takiej chorobie.

Przytulił ją i westchnął.

– Mam nadzieję, że nigdy nie usłyszysz.

– Słuchaj – zaczęła, wpatrując się w niego zachłannie brązowymi oczami – dlaczego zawracać sobie głowę informowaniem Macneffa? Jeśli Siddonowie zaatakują Sigmenitów – czy też Sodomitów, jak według twoich słów nazywają ich wrogowie – i podbiją ich, to co z tego? Moglibyśmy przecież ruszyć w moje rodzinne strony i tam zamieszkać.

Hal był wstrząśnięty.

– To moi rodacy! Oni... Wszyscy jesteśmy Sigmenitami. Nie mógłbym ich zdradzić!

– Robisz to, ukrywając mnie tutaj – oznajmiła poważnie.

– Wiem – przyznał – ale to nie jest wielka zdrada, to nawet nie jest prawdziwa zdrada. Czy robię im krzywdę, mieszkając tu z tobą?

– Nie obchodzi mnie to, co im robisz. Obchodzi mnie, co robisz sobie.

– Sobie? Robię najlepszą rzecz w życiu!

Roześmiała się czarująco i lekko pocałowała go w usta.

Ale Hal spochmurniał.

– Jeanette, to poważna sprawa. Prędzej czy później, prawdopodobnie prędzej, musimy podjąć ostateczną decyzję. Rozumiem przez to znalezienie kryjówki, najlepiej głęboko pod ziemią. Później, po wszystkim, wyjdziemy na powierzchnię i będziemy mieć dla siebie co najmniej osiemdziesiąt lat, ponieważ tyle czasu zajmie „Gabrielowi” powrót na Ziemię i przysłanie statków z kolonistami. Będziemy jak Adam i Ewa, tylko my dwoje i bestie.

– Co to znaczy? – zapytała, szeroko otwierając oczy.

– Nasi specjaliści pracują dzień i noc nad próbkami krwi wtyków. Mają nadzieję otrzymać sztuczny semiwirus, który przyczepi się do miedzi w ich komórkach krwi i zmieni ich właściwości elektroforetyczne.

– *Arna?*

– Spróbuję ci wyjaśnić, nawet jeśli będę musiał posługiwać się mieszanką amerykańskiego, francuskiego i siddo. Odmiana tego sztucznego semiwirusa zabiła większą część mieszkańców Ziemi w czasie wojny apokaliptycznej. Nie będę wchodzić w szczegóły historyczne; wystarczy powiedzieć, że wirus został potajemnie rozpylony w atmosferze ziemskiej przez statki kolonistów marsjańskich. Na czele potomków Ziemiaków na Marsie, uważających się za prawdziwych Marsjan, stał Siegfried Russ, najbardziej podły człowiek w historii. Przynajmniej tak podają książki historyczne.

– Nie wiem, do czego zmierzasz.

Wpatrywała się w niego ponuro.

– Zaraz przejdę do sedna. Cztery statki marsjańskie, udające statki kupieckie, orbitujące przed lądowaniem, wyrzuciły do atmosfery miliardy tych wirusów. Niewidzialne molekuly protein rozprzestrzeniły się nad całym światem, spowijając go rozrzedzoną mgiełką. Kiedy raz przeniknęły przez skórę istoty ludzkiej, przyczepiały się do hemoglobiny w krwinkach czerwonych i nadawały im ładunek dodatni. Ładunek sprawiał, że cząsteczki wiązały się w łańcuch i zachodziła w nich swego rodzaju krystalizacja. Kuliste krwinki zmieniały kształt na sierpowaty, co powodowało sztuczną niedokrwistość sierpowatokomórkową.

Stworzona w laboratorium anemia działała szybciej i mocniej od naturalnej, bo atakowała wszystkie krwinki w organizmie, nie tylko niektóre. Krwinki przestawały spełniać swoją rolę, żadna nie przenosiła tlenu. Organizm umierał. Organizm umierał, Jeanette – organizm ludzkości.

Prawie wszyscy mieszkańcy planety umarli z powodu braku tlenu.

– Chyba rozumiem większość z tego, co powiedziałaś. Ale nie wszyscy umarli?

– Nie. Już na samym początku rządy Ziemi zorientowały się, co się dzieje i wystrzeliły pociski w stronę Marsa. Pociski te, zaprojektowane do wywoływania trzęsień ziemi, zniszczyły większość podziemnych kolonii marsjańskich.

Na każdym ziemskim kontynencie przeżyło może milion ludzi. Z wyjątkiem pewnych obszarów, gdzie prawie wcale nie było ofiar. Dlaczego? Nie wiemy. Coś, może korzystne prądy powietrzne, zapobiegło opadnięciu wirusów na ziemię. Poza ciałem człowieka wirus ginął.

W każdym razie na Hawajach i na Islandii przetrwali wszyscy. Izrael też wyszedł bez szwanku, jakby ręka Boga osłoniła go w czasie śmiertelnego opadu. I południowa Australia, i Kaukaz.

Mieszkańcy tych terenów zasiedlili świat, wchłaniając ocalałe grupy z terenów, które zajmowali. W dżunglach Afryki i na półwyspie Malajskim przeżyło dość ludzi, by zaryzykować ekspansję. Ci zajęli swoje ojczyste ziemie, zanim zdążyli je zasiedlić koloniści z wysp i Australii.

To, co się stało na Ziemi, jest przeznaczeniem tej planety. Po wydaniu rozkazu z „Gabriela” zostaną wystrzelone pociski ze śmiertelnymi ładunkami. Tylko że te ładunki będą dostosowane do krwinek Nowozytów. Pociski będą krążyć w atmosferze, i rozsiewać niewidzialny deszcz śmierci.

– Sza! – Jeanette położyła palec na jego drżących wargach. – Nie wiem, co to są proteiny, molekuly i te... te ładunki elektryczne! To mnie przerasta. Ale wiem, że im dłużej mówiłaś, tym bardziej byłeś przerażony. Głos ci się łamał, a oczy... oczy wypełnił lęk. Przestraszono cię kiedyś, w przeszłości. Nie, nie przerywaj! Przerazili cię, a ty byłeś na tyle mężczyzną, że ukryłeś strach w sobie. Ale nie wykonali swojej roboty na tyle dobrze, byś nie mógł sobie z tym poradzić.

Przyłożyła usta do jego ucha i wyszeptwała:

– Zamierzam przepędzić ten strach. Wyprowadzę cię z doliny lęku. Nie! Nie protestuj! Wiem, rani cię myśl, że kobieta wie o twoim strachu. Ale to niczego nie zmienia. Podziwiam cię tym bardziej, że pokonałeś go już częściowo. Wiem, jakiej odwagi wymagało stawienie czoła ‘Metrowi. Wiem też, że zrobiłaś to z mojego powodu, i jestem z ciebie dumna. Kocham cię za to. Wiem, jakiej odwagi wymaga trzymanie mnie tutaj, kiedy jedno nieopatrzne słowo mogłoby skazać cię na niełaskę i śmierć. Wiem, co to wszystko oznacza. To kwestia mojego instynktu, mojej natury i miłości – muszę to wiedzieć. Napij się ze mną! Nie jesteśmy tam, żeby przejmować się takimi rzeczami i umierać ze strachu. Jesteśmy tutaj. Z dala od wszystkich, sami ze sobą. Wypij i kochaj mnie. Ja cię kocham, Hal; nie chcemy ani nie potrzebujemy oglądać świata na zewnątrz. Na razie. Zapomnisz w moich ramionach.

Pocałowali się i przytulili, i powiedzieli sobie to, co zawsze mówią zakochani.

Między pocałunkami Jeanette dołała do szklanek purpurowego płynu. Wypili. Hal nie miał już żadnych kłopotów z przetykaniem. Doszedł do wniosku, że mdłości powodowała nie sama myśl o alkoholu, tylko jego zapach. Kiedy nos dał się oszukać, żołądek też uległ. Po każdym drinku coraz łatwiejsze stawało się wypicie następnego.

Wypił trzy wysokie szklanki, wstał, wziął Jeanette na ręce i zaniósł do sypialni. Całowała go po szyi, a on miał wrażenie, że ładunki elektryczne spływają z jej warg na jego skórę, a stamtąd do mózgu i w dół, przez pierś, żołądek i nabrzmiewające genitalia aż w podeszwy stóp, które, o dziwo, stały się lodowate. Miał nadzieję, że z Jeanette w ramionach nie zapragnie się wycofać, jak wtedy, gdy wypełniał swój obowiązek wobec Mary i Paścioła.

A jednak, nawet w ekstazie oczekiwania, na dnie duszy istniała chęć odwrotu. Mała ciemna plamka w morzu płomieni. Nie potrafił zapomnieć się bez reszty i bał się, czy nie zawiedzie. Przytrafiało mu się to czasami, kiedy w ciemności wsuwał się do łóżka i sięgał po Mary.

Zwątpienie w siebie zasiało czarne ziarno paniki. Jeśli zawiedzie, zabije się. Będzie skończony na zawsze.

To się nie stanie, to się nie może stać – przekonywał sam siebie. Nie wtedy, kiedy miał ją w ramionach i czuł jej pocałunki.

Położył Jeanette na łóżku i zgasił górne światło. Zapaliła lampkę nocną.

– Dlaczego to robisz? – zapytał, stając w nogach łóżka. Czuł narastającą panikę i odpływ pożądania. Jednocześnie zastanawiał się, jakim cudem udało jej się rozebrać tak szybko i bez zwracania jego uwagi.

– Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałeś? – zapytała z uśmiechem. – Taki piękny cytat: „Bóg rzekł: Niechaj się stanie światłość”.

– My jej nie potrzebujemy.

– Ja potrzebuję. Muszę cię widzieć cały czas. Ciemność odebrałaby mi połowę przyjemności. Chcę widzieć, jak mnie kochasz.

Wyciągnęła rękę, żeby przesunąć lampkę. Jej piersi uniosły się, co przepełniło Hala nieznośnym bólem.

– O, tak. Teraz będę widzieć twoją twarz. Zwłaszcza w chwili, gdy najlepiej poznam, że mnie kochasz.

Dotknęła palcem u nogi jego kolana. Skóra przy skórze... zupełnie jakby palec anioła delikatnie kierował go ku przeznaczeniu. Ukląkł na łóżku, a ona zgięła nogę, nie przerywając kontaktu, jakby nie mogła oderwać palca.

– Hal, Hal – wymruczała. – Co oni ci zrobili? Co zrobili wszystkim waszym mężczyznom? Z tego, co powiedziałeś, wynika, że są podobni do ciebie. Kazali wam nienawidzić zamiast kochać, choć nazwali nienawiść miłością. Uczynili z was półludzi, którzy zamykają swój popęd w sobie, a potem kierują go na zewnątrz, na wroga. Staliście się takimi zawziętymi wojownikami

tylko dlatego, że jesteście bojaźliwymi kochankami.

– To nieprawda. Nieprawda.

– Widzę, jaki jesteś. To prawda.

Odsunęła stopę, postawiła ją obok jego nogi.

– Chodź bliżej. – Kiedy przysunął się, nadal na kolanach, przyciągnęła go do piersi.

– Przyłóż tu usta. Stań się znów dzieckiem. A ja wychowam cię tak, że zapomnisz o nienawiści i będziesz znać tylko miłość. I staniesz się mężczyzną.

– Jeanette, Jeanette – wychrypiał. Położył rękę na wyłączniku lampki i powiedział: – Bez światła.

Ale ona nakryła dłonią jego rękę.

– Przy świetle.

Cofnęła rękę.

– W porządku, Hal, zgaś. Ale na chwilę. Skoro musisz wracać w ciemność, powinienes pójść daleko. A potem narodzić się na nowo... na chwilę. Potem zapalimy światło.

– Nie! Niech się świeci! – warknął. – Nie jestem w łonie matki. Nie chcę tam wracać, nie muszę. Wezmę cię tak, jak armia bierze miasto.

– Nie bądź żołnierzem, Hal. Bądź kochankiem. Masz mnie kochać, nie gwałcić. Nie możesz mnie wziąć szturmem, bo ci się poddam.

Jej ręka zacisnęła się delikatnie. Jeanette wygięła plecy w łuk i nagle to on się poddał. Przeniknęło go drżenie, zupełnie jak wtedy, kiedy całowała go po szyi, ale jeszcze mocniejsze.

Chciał schować twarz na jej ramieniu, ale Jeanette podniosła go z klęczek z zaskakującą siłą.

– Nie. Muszę patrzeć ci w twarz. Zwłaszcza teraz. Chcę widzieć, jak zatracasz się we mnie.

Cały czas miała szeroko otwarte oczy, jakby próbowała utrwalić obraz twarzy kochanka w każdej komórce swojego ciała.

Hal zapomniał o całym świecie; nie zwróciłby uwagi nawet na stojącego w drzwiach Arcyurielitę. Ale zauważył, choć wówczas o tym nie pomyślał, że źrenice oczu Jeanette zrobiły się maleńkie jak czubek zatemperowanego ołówka.

Alkoholicy w Unii Haijac trafiali do P. Nie trzeba więc było opracowywać żadnych metod leczenia – ani psychologicznych, ani farmakologicznych – dla uzależnionych. Hal, by wyrwać Jeanette ze zgubnego nałogu, sfrustrowany swoim brakiem wiedzy, udał się po lekarstwo do tych samych ludzi, którzy wpędzili ją w chorobę. Ale udawał, że chodzi o niego. Fobo wyjaśnił mu:

– Picie na Nowozie jest powszechne, lecz umiarkowane. Naszym nielicznym nałogowym alkoholikom pomaga się metodą terapii empatycznej, oczywiście plus leki. Dlaczego nie chcesz, żebym cię poddał terapii?

– Przykro mi. Nasz rząd tego zakazuje.

W podobny sposób wymówił się od zaproszenia Fobo do swojego mieszkania.

– Macie wyjątkowo restrykcyjny rząd – rzekł Fobo i wybuchnął długim, przypominającym wycie śmiechem.

Kiedy się uspokoił, dodał:

– Alkoholu też nie wolno wam pić, ale to cię wcale nie powstrzymuje. No cóż, nie ma wytłumaczenia dla niekonsekwencji. Poważnie, mam coś dla ciebie. Nazywa się to Łagodny Rozgrzewacz. Wlewamy go do dziennej porcji alkoholu, stopniowo zwiększając ilość lekarstwa, a zmniejszając alkoholu. Po dwóch czy trzech tygodniach pacjent pije drinka w dziewięćdziesięciu sześciu procentach złożonego z Łagodnego Rozgrzewacza. Smak jest podobny; pacjent rzadko coś podejrzewa. W ten sposób uniezależnia się od alkoholu. Jest tylko jeden minus.

Przerwał i po chwili dokończył:

– Jest teraz uzależniony od Rozgrzewacza!

Rżał z radości, tłukąc dłońmi po udach i potrząsając głową, aż długi nos zaczął mu wibrować, a łzy popłynęły z oczu.

Kiedy udało mu się zapanować nad śmiechem, otarł łzy chusteczką w kształcie rozgwiazdy i powiedział:

– Tak naprawdę, działanie Rozgrzewacza polega na otwieraniu pacjenta w kierunku rozładowania napięć, które doprowadziły go do picia. Może być poddany empatii i zarazem odzwyczajony od środka stymulującego. Skoro nie mogę podać ci go w sekrecie, muszę mieć pewność, że jesteś poważnie zainteresowany kuracją. Daj znać, kiedy będziesz gotów na terapię emptyczną.

Hal zabrał butelkę do siebie. Codziennie ukradkowo i ostrożnie dolewał Rozgrzewacz do soku z żuka. Miał nadzieję, że podstawowa wiedza psychologiczna pozwoli mu zauważyć u Jeanette skutki zażywania lekarstwa i je wyeliminować.

Choć tego nie wiedział, sam był „leczony” przez Fobo. Niemal codzienne pogawędki

z empatą zaszczepiały w nim wątpliwości co do religii i nauki Unii Haijac. Fobo przeczytał biografię Isaaca Sigmena i jego dzieła: *Pratora*, *Zachodni Talmud*, *Pisma zrewidowane*, *Podstawy serializmu*, *Czas i teologia*, *Jaźń a bieg świata*. Siedząc spokojnie przy stole ze szklanką soku w ręce, wtyk bezlitośnie rozprawiał się z matematyką dunnologów. Hal przedkładał dowody; Fobo je obalał. Wykazywał, że matematyka opiera się głównie na nieprawdziwych założeniach, że rozumowanie Dunne'a i Sigmena podparte jest zbyt wieloma fałszywymi analogiami, metaforami i naciągniętymi interpretacjami. Usunąć podpory, mówił, a budowla legnie w gruzach.

– Pozwól mi wskazać jeszcze jedną z niezliczonych sprzeczności zawartych w waszej teologii. Wy, Sigmenicy, wierzycie, że każda osoba jest odpowiedzialna za wszystko, co jej się przytrafia, że nie można winić nikogo innego poza własną jaźnią. Jeśli ty, Halu Yarrowie, potkniesz się o zabawkę zostawioną przez jakieś roztrzepane dziecko – szczęśliwe maleństwo bez żadnej odpowiedzialności! – i obetrzesz sobie skórę na łokciu, to stanie się tak dlatego, że naprawdę chciałeś się zranić. Jeśli padasz ofiarą jakiegoś „wypadku”, to wcale nie był wypadek; po prostu sam zgodziłeś się na urzeczywistnienie możliwości. W przeciwnym razie uzgodniłbyś ze swoją jaźnią by nie brać w niczym takim udziału i w ten sposób urzeczywistnić inną przyszłość.

Jeśli popełniasz przestępstwo, to znaczy, że chcesz je popełnić. Jeśli zostajesz złapany, to wcale nie dlatego, że jesteś głupi albo że *uzzi* – jak nazywacie ich w żargonie – są mądrzejsi, ani też nie wpadasz w ich ręce w wyniku niefortunnego splotu wydarzeń. Nie, dzieje się tak, ponieważ pragniesz zostać złapany; sam jakimś sposobem wywierasz wpływ na okoliczności.

Jeśli umierasz, to dlatego, że chcesz umrzeć, nie dlatego, że ktoś wycelował w ciebie z pistoletu i pociągnął za spust. Umierasz, ponieważ chcesz dostać kulkę; godzisz się z zabójcą, że zostaniesz zabity.

Oczywiście, ta filozofia, ta wiara jest bardzo *shib* dla Paścioła, bo zdejmuje z niego wszelką odpowiedzialność za chłostę, egzekucję, niesprawiedliwe ukaranie grzywną czy jakąkolwiek inną wymierzoną ci karę. Przecież gdybyś nie chciał być wychłostany, stracony, opodatkowany czy potraktowany w nieuczciwy sposób, nigdy byś do tego nie dopuścił.

Natomiast nie zgadzając się z Paściołem albo próbując mu się przeciwstawić, usiłujesz realizować pseudoprzyszłość, potępioną przez Paścioła. W takim układzie ty, jednostka, nie możesz wygrać.

Wierzysz, że masz wolną wolę decydowania o przyszłości. Ale przecież przyszłość już została zdeterminowana, ponieważ Sigmen wyprzedził cię w czasie i ją zaaranżował. Brat Sigmena, Juda Changer, może wprowadzić chwilowy nieład w przyszłości i przeszłości, ale Sigmen i tak w końcu przywróci pożądaną równowagę.

Pozwól, że zapytam, jak w takim razie możesz decydować o przyszłości, skoro przyszłość

już została zdeterminowana i przepowiedziana przez Sigmęna? Poprawne może być tylko jedno lub drugie stwierdzenie, ale nie oba naraz.

– No cóż – mruknął Hal. Twarz go paliła, piersi przygniatał wielki ciężar, ręce mu drżały. – Sam się nad tym zastanawiałem.

– Pytałeś kogoś?

– Nie. – Hal czuł się jak w potrzasku. – Wolno nam, oczywiście, wypytywać naszych nauczycieli. Ale tego pytania nie było na liście.

– Chcesz mi powiedzieć, że mieliście podane pytania i do nich musieliście się ograniczać?

– A czemu nie? – warknął ze złością Hal. – To dla naszego dobra. Paściół po latach doświadczenia wie, o co pytają studenci, więc zestawiał listę dla mniej rożgarniętych.

– Trafne określenie. Przypuszczam, że każde pytanie spoza listy uważane jest za niebezpieczne, za prowadzące do nierealistycznego myślenia.

Hal żałośnie pokiwał głową.

Fobo kontynuował bezlitosną analizę. Gorsze, dużo gorsze od poprzednich były jego następne słowa, stanowiły bowiem atak na prześwietną jaźń samego Sigmęna.

Powiedział, że w oczach obiektywnego czytelnika biografie i prace teologiczne ukazują Zwiastuna jako mężczyznę oziębłego płciowo i nienawidzącego kobiet, z kompleksem Mesjasza oraz paranoicznymi i schizofrenicznymi skłonnościami, które od czasu do czasu przedzierały się przez lodową skorupę w postaci religijno-naukowych bredni i fantazji.

– Inni ludzie – mówił Fobo – też wyciskali piętno osobowości i idei na swoich czasach. Ale Sigmęn miał niewątpliwą przewagę nad tymi wielkimi przywódcami z przeszłości... i potrafił ją wykorzystać. Dzięki odmładzającemu serum żył dostatecznie długo, by nie tylko narzucić społeczeństwu swoją wizję, ale również skonsolidować je i wyplenić jego słabości. Nie umarł, dopóki nie stwardniał cement w jego społecznej formie.

– Ależ Zwiastun nie umarł – sprzeciwił się Yarrow. – Odszedł w czasie. Nadal jest z nami, podróżując po polach prezentacji, przeskakując tu i tam, raz w przeszłość, raz w przyszłość. Pojawia się wszędzie tam, gdzie trzeba przekształcić pseudoczas w czas prawdziwy.

– Aha, właśnie – uśmiechnął się Fobo. – Z tego powodu udałeś się do ruin, prawda? Żeby obejrzeć freski, które sugerowały, że ludzi z Nowozu odwiedził kiedyś przybysz z innej gwiazdy? Myślałeś, że to mógł być Zwiastun, prawda?

– Nadal tak myślę. Ale stwierdziłem, że choć człowiek ten nieco przypominał Sigmęna, świadectwa są zbyt mało przekonujące. Zwiastun mógł, ale nie musiał, odwiedzić tę planetę tysiące lat temu.

– Nawet gdyby tak było, nadal uważam, że twoje tezy są pozbawione sensu. Twierdzisz, że jego prorocтва stały się prawdą. Ja mówię, że są po pierwsze, niejasno sformułowane. Po drugie, jeśli zostały zrealizowane, to tylko dlatego, że wasze potężne państwo-kościół – zwane przez was

Paściółem – podjęło kolosalne wysiłki, żeby tak się stało.

Co więcej, wasze społeczeństwo o układzie piramidy – ta administracja aniołów stróżów, w której na każde dwadzieścia pięć rodzin przypada jeden *aspt*, nadzorujący najbardziej intymne i drobne szczegóły życia, każdy *aspt* dwudziestu pięciu rodzin ma nad sobą *aspta* blokowego, a pięćdziesięciu *asptów* blokowych podlega *asptowi-kierownikowi* i tak dalej – oparte jest na strachu, ignorancji i represjach.

Słyszając to Hal, wstrząśnięty, zły, zszokowany, zbierał się do wyjścia. Fobo przywoływał go z powrotem i prosił, żeby zbił jego argumenty. Hal wyzwalał powódź gniewu. Czasami po takim wybuchu Fobo zapraszał go do spokojnego podjęcia dyskusji, a czasami on też tracił panowanie i wtedy obaj wrzeszczeli i wymieniali się obelgami. Dwa razy doszło do walki na pięści; Hal miał rozkwaszony nos, a Fobo podbite oko. Potem wtyk z płaczem obejmował Hala i błagał o wybaczenie, siadali razem i pili, dopóki nie ochłonęli.

Hal wiedział, że nie powinien słuchać Fobo, że nie powinien dopuszczać do sytuacji, w której pojawiały się takie nierealizmy. Ale nie mógł do niego nie przychodzić. Choć nienawidził Fobo za jego poglądy, znajomość z nim fascynowała i sprawiała dziwną satysfakcję. Nie potrafił odseparować się od istoty, której język ciął i smagał go boleśniej od bata Pornsena.

Opowiadał Jeanette o tych rozmowach. Ona zachęcała go do powtarzania ich jak najczęściej, aż w końcu pozbywał się napięcia, żalu, nienawiści i wątpliwości. Zawsze później kochali się z żarem, którego istnienia wcześniej nawet nie podejrzewał. Hal odkrył, że mężczyzna i kobieta mogą stać się jednym ciałem. Jego żona i on zawsze tworzyli odrębne kręgi, ale Jeanette знаła geometrię, która pozwalała jej zawrzeć w sobie krąg Hala i chemię, która łączyła w całość ich pierwiastki.

Zawsze paliło się przy tym światło i zawsze pili. Ani jedno, ani drugie już Halowi nie przeszkadzało. Jeanette, niczego nieświadoma, piła teraz drinki złożone prawie wyłącznie z Łagodnego Rozgrzewacza. A on przyzwyczał się do lampy świecącej nad łóżkiem. Był to jeden z jej kaprysów. Nie brał się z lęku przed ciemnością, ponieważ nalegała na zapalenie światła tylko wtedy, gdy się kochali. Hal tego nie pojmował. Może chciała uwiecznić w pamięci jego wizerunek, zachować go na wypadek, gdyby kiedykolwiek go utraciła. Nie upierał się więc przy gaszeniu lampy. W jej blasku badał ciało Jeanette z zainteresowaniem po części zmysłowym, po części antropologicznym. Był uradowany i zdumiony licznymi drobnymi różnicami między nią a ziemskimi kobietami. Na podniebieniu miała niewielki wyrostek skórny, który mógł być jakimś szczątkowym narządem, dawno temu odrzuconym przez ewolucję. Miała dwadzieścia osiem zębów; brakowało zębów mądrości. To mogło, ale nie musiało być cechą ludu jej matki.

Podejrzewał, że Jeanette ma wyjątkowo dobrze rozwinięte mięśnie klatki piersiowej. Jej duże stożkowate piersi nigdy nie opadały. Były wysokie, jędrne, zwrócone lekko w górę: ideał

kobiecego piękna, tak często przedstawiany na przestrzeni wieków przez rzeźbiarzy i malarzy i tak rzadko występujący w naturze.

Nie tylko patrzenie na nią było przyjemnością; miło było z nią przebywać. Uwielbiała szyc; z materiałów, jakie jej dawał Hal, szyła bluzki, spódnice, nawet sukienki. Zmianom strojów towarzyszyła zmiana uczesania. Jeanette zawsze była inna i zawsze urocza – sprawiła, że Hal po raz pierwszy uświadomił sobie, iż kobieta może być piękna. Albo może to ona uświadomiła mu, że piękny może być człowiek. A piękno sprawiało radość, jeśli nie na zawsze, to przez długi czas.

Pomagała im w porozumieniu biegłość, z jaką Jeanette posługiwała się jego językiem. Zdawało się, że bez najmniejszego kłopotu przeszła z francuskiego na amerykański. Po tygodniu, choć zasób słownictwa miała ograniczony (a rozbudowywała go w niewiarygodnym tempie), mówiła szybciej i z większą ekspresją niż on.

Hal, szczęśliwy w towarzystwie Jeanette, zaczął zaniedbywać obowiązki. Jego postępy w nauce czytania po siddońsku znacznie zmalowały.

Pewnego dnia Fobo zapytał go, co robi z książkami, które mu pożyczył. Hal wyznał, że są dla niego za trudne – na razie. Wtedy Fobo dał mu książkę o ewolucji, używaną we wtykijskich szkołach podstawowych.

– Spróbuj z tą. Ma dwa tomy, ale tekst jest raczej skąpy. Liczne ilustracje ułatwią ci szybkie zrozumienie tekstu. To podręcznik dla młodzieży autorstwa wybitnego pedagoga, We’enai.

Jeanette miała dużo więcej czasu na lekturę niż Hal, ponieważ on musiał wychodzić do pracy, a pod jego nieobecność miała niewiele do zrobienia. Energicznie zabrała się za nowe książki, a Hal wpadł w leniwy nawyk słuchania jej przekładu. Najpierw czytała głośno po siddońsku, a potem tłumaczyła na amerykański. Albo, jeśli brakowało jej słów, na francuski.

Pewnego wieczora zaczęła z dużym zapałem, ale cały czas popijała sok z żuka i szybko straciła zainteresowanie tłumaczeniem.

Przebrnęła przez pierwszy rozdział, który opisywał powstanie planety i początki życia. Przy rozdziale drugim ziewnęła otwarcie i popatrzyła na Hala, ale on zamknął oczy i udawał, że niczego nie zauważył. Przeczytała więc, jak wtykowie rozwinęli się z prastawonoga, który na pewnym etapie ewolucji zmienił zdanie i postanowił zostać strunowcem. We’enai rzucił parę przyciężkich dowcipów na temat przekory pluskwiaków, datującej się od tego brzemiennego w skutki dnia, a potem, w rozdziale trzecim, przeszedł do historii ssaków na drugim wielkim kontynencie Nowozu i do ewolucji, której ukoronowaniem był człowiek.

Czytała:

– Człowiek, jak my, miał swoje mimetyczne pasożyty. Jedne z nich były odmianą tak zwanego żuka gospodowego, z tym, że nie upodobiały się do wtyków, lecz do ludzi. Podobnie jak znane nam żuki, nie mogły oszukać inteligentnej osoby, ale człowiek tolerował je ze względu

na umiejętność wytwarzania alkoholu. Towarzyszyły one swojemu gospodarzowi od czasów najdawniejszych, stając się integralną częścią jego cywilizacji i w końcu, według jednej z teorii, przyczyną jej upadku.

Żuk gospodowy nie jest jedyną przyczyną zniknięcia ludzkości z powierzchni Nowozu – o ile w ogóle się do tego przyczynił. Stworzenie to można bowiem kontrolować. Z drugiej strony, może być niewłaściwie wykorzystane, a jego rola może zostać tak wypaczona, że staje się zagrożeniem.

I tak postąpił z nim człowiek.

Trzeba zaznaczyć, że miał sprzymierzeńca, który pomógł mu niewłaściwie wykorzystać owada. Ten pasożyt, przedstawiciel nieco innego rodzaju, był poniekąd naszym kuzynem.

Jedną rzecz różni go od nas, od człowieka i od wszelkich innych zwierząt na tej planecie z wyjątkiem paru bardzo prymitywnych gatunków. Mianowicie, o czym świadczą najstarsze znane nam skamieniałości, pasożyt ten był całkowicie...

Jeanette odłożyła książkę.

– Nie znam następnego słowa Hal, muszę to czytać? To takie nudne.

– Nie, daj sobie z tym spokój. Poczytaj mi jeden z tych komiksów, które tak bardzo lubisz. Podobnie zresztą jak marynarze z „Gabriela”.

Uśmiechnęła się prześlicznie i zaczęła czytać tom tysiąc trzydziesty siódmy, księgę pięćdziesiątą szóstą *Przygód Leifa Magnusa, umiowanego ucznia Zwiastuna, kiedy napotkał straszidło z Arktura*.

Hal słuchał, jak z pewnym trudem przekłada amerykański na potoczny siddo, aż zmęczyła go banalna akcja i przyciągnął ją do siebie.

Zawsze przy zapalonym świetle.

A jednak dochodziło między nimi do nieporozumień, sprzeczek i kłótni.

Jeanette nie była ani marionetką, ani niewolnicą. Kiedy nie podobało jej się coś, co powiedział lub zrobił Hal, po prostu mu o tym mówiła. Jeśli odpowiadał drwiąco albo porywczo, stawał się celem jej słownych ataków.

Niedługo po ulokowaniu Jeanette w swoim *puka* Hal wrócił po długim dniu pracy na statku z wyraźnym zarostem na twarzy.

Jeanette pocałowała go, skrzywiła się i powiedziała:

– To kłuje, jak opiłki. Nałóż ci krem i sama zetrę tę szczecinę.

– Nie, nie rób tego.

– Czemu nie? – rzuciła przez ramię, idąc do niewymownej. – Uwielbiam robić dla ciebie różne rzeczy. A najbardziej lubię poprawiać ci urodę.

Wróciła z tubką kremu do depilacji.

– Siadaj, zrobię wszystko za ciebie. Możesz myśleć, jak bardzo cię kocham, gdy będę usuwać te drapiące druty z twojej twarzy.

– Nie rozumiesz, Jeanette. Nie mogę się golić. Teraz jestem lamedhianinem, a lamedhianie muszą nosić brody.

Zatrzymała się.

– Musisz? Chcesz powiedzieć, że tak nakazuje prawo, że będziesz przestępcą, jeśli tego nie zrobisz?

– Nie, niedokładnie. Zwiastun nigdy nie powiedział ani słowa na ten temat ani też nie wydano żadnego prawa, które by to regulowało. Ale taki jest zwyczaj. Broda jest wyróżnieniem, bo tylko człowiekowi godnemu nosić *lamedh* wolno ją zapuścić.

– A co by się stało, gdyby brodę zapuścił nielamedhianin?

– Nie wiem – odparł z wyraźnym rozdrażnieniem. – To się nigdy nie zdarzyło. To... to jedna z tych rzeczy, które z góry przyjmuje się za oczywiste. Nad tym mógłby się zastanawiać tylko ktoś z zewnątrz.

– Ale broda jest taka brzydka. I drapie mnie po twarzy. Czy już niedługo będę całować stertę chrustu?

– W takim razie – burknął ze złością – albo będziesz musiała się tego nauczyć, albo obywać się bez pocałunków. Ja muszę mieć brodę!

Podeszła bliżej.

– Posłuchaj, wcale nie musisz! Jaki sens ma zostanie lamedhianinem, skoro nie masz ani trochę więcej swobody niż wcześniej, skoro musisz robić to, czego się od ciebie oczekuje? Dlaczego po prostu nie zignorujesz tego obyczaju?

Hala ogarnęła furia i panika. Panika, bo mógł zrazić do siebie Jeanette, która może zechce odejść; wiedział jednak, że jeśli jej ustąpi, wzbudzi podejrzenia innych lamedhian na „Gabrielu”.

W rezultacie wyzwał ją od idiotek. A ona nie pozostała mu dłużna. Pokłócili się; minęła połowa nocy, zanim uczyniła pierwszy krok ku pojednaniu. Zdążył wstać świt, zanim udowodnili sobie, że się kochają.

Rankiem Hal się ogolił. Przez trzy dni na „Gabrielu” nic się nie działo, nikt nie skomentował jego wyglądu. Wydawało mu się, że ludzie popatrują na niego ze zdziwieniem, ale skoro nikt nic nie mówił, doszedł do wniosku, że ponosi go wyobraźnia. Wreszcie osądził, że albo nikt nie zwrócił uwagi na brak zarostu, albo wszyscy byli zbyt pochłonięci obowiązkami, by tracić czas na komentarze. Zaczął się nawet zastanawiać, czy z pozycją lamedhianina nie wiąże się przypadkiem inne niedogodności, które też mógłby pokonać.

Potem, czwartego dnia rano, poproszono go do biura Macneffa.

Sandalfon siedział za biurkiem i gładził własną brodę. Skierował na Hala bladoniebieskie oczy i dopiero po dłuższej chwili odpowiedział na jego powitanie.

– Yarrow – zaczął – byłeś prawdopodobnie zbyt zajęty badaniami wśród wtyków, żeby pomyśleć o innych sprawach. Prawda, żyjemy w nienormalnym środowisku i wszyscy skupiamy się na dniu, w którym przystąpimy do realizacji naszego projektu.

Wstał i zaczął spacerować po pokoju.

– Z pewnością wiesz, że jako lamedhianin masz nie tylko przywileje, ale i obowiązki.

– *Shib, abba.*

Macneff niespodziewanie obrócił się na pięcie i wycelował w niego długi, kościsty palec.

– W takim razie, dlaczego nie zapuszczasz brody? – zagrzmiał i spiorunował go wzrokiem.

Hal poczuł, że robi mu się zimno. Znał to uczucie z czasów, gdy był dzieckiem, a jego *aspt*, Pornsen, robił ten sam manewr. Ogarnęło go takie samo zmieszanie.

– Ja... ja...

– Musimy starać się nie tylko o uzyskanie *lamedh*, musimy starać się zasłużyć na jego noszenie. Czystość i tylko czystość zapewni nam powodzenie. Osiągniemy cel, podejmując nieustanne wysiłki życia w czystości!

– Wybacz, *abba* – zaczął Hal drżącym głosem – ale naprawdę podejmuję wysiłki.

Ośmielił się spojrzeć *sandalfonowi* w oczy, choć nie miał pojęcia, skąd wzięła się jego odwaga. On, który żył w nierealności, kłamał teraz bezczelnie, kłamał w obecności wielkiego i czystego *sandalfona*?

– Jednak – podjął – nie wiedziałem, że golenie ma coś wspólnego z czystością. W *Zachodnim Talmudzie* ani w żadnej innej księdze Zwiastuna nie ma ani słowa o realności czy nierealności brody.

– Śmiesz mi mówić, co jest w pismach? – wrzasnął Macneff.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale to, co powiedziałem, jest prawdą, prawda?

Macneff podjął swój spacer.

– Musimy być czyści, musimy być czyści. Może nas skalać nawet najłżejsza sugestia pseudoprzyszłości, najbliższe odstępstwo od rzeczywistości. To prawda, Sigmen nigdy nie wypowiedział się na temat zarostu, ale od dawna przyjęto, że tylko czyści są godni naśladowania Zwiastuna w noszeniu brody. A zatem, żeby być czystym, musisz wyglądać czysto.

– Zgadzam się z tobą z całego serca.

Hal zaczynał odkrywać w sobie odwagę i pewność. Nagle przyszło mu na myśl, że dlatego był taki wstrząśnięty, bo reagował na Macneffa jak na Pornsena. Ale Pornsen nie żył: jego prochy rozrzuciono na wietrze. To on sam je rozrzucił podczas ceremonii.

– W normalnych okolicznościach chciałbym zapuścić brodę – oznajmił. – Ale na razie mieszkam wśród wtyków, więc prócz przeprowadzania badań mogę również wykonywać misje szpiegowskie. Dowiedziałem się, że wtykowie uważają brodę za obrzydliwość; sami, jak wiesz, nie mają bród. Nie rozumieją, dlaczego je zapuszczamy, skoro mamy środki do usuwania zarostu.

Odczuwają zaniepokojenie i wstręt w obecności brodatego człowieka. Gdybym nosił brodę, nie zdobyłbym ich zaufania. Ale zapuszczę ją natychmiast po rozpoczęciu projektu.

– Hmm – mruknął Macneff, gładząc swój zarost. – Może coś w tym jest. Ostatecznie okoliczności są niezwykle. Ale dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Jesteś tak bardzo zajęty od rana do wieczora, że nie chciałem ci przeszkadzać. – Hal zastanowił się, czy Macneff znajdzie czas i zada sobie trud zweryfikowania jego oświadczenia. Wtykowie nigdy nie wspomnieli słowem o brodach. Zainspirowało go wspomnienie tego, co czytał na temat reakcji Indian na zarost białych ludzi.

Macneff wygłosił jeszcze krótkie przemówienie na temat znaczenia czystości i wreszcie go odprawił.

Hal, roztrzęsiony po tym kazaniu, poszedł prosto do domu. Tam wypił parę drinków, żeby się uspokoić, a potem jeszcze parę, żeby przygotować się na kolację z Jeanette. Odkrył, że wypicie odpowiedniej ilości alkoholu likwiduje wstręt, jaki budził w nim widok wkładania jedzenia do nie osłoniętych niczym ust.

Pewnego dnia Yarrow wrócił z bazaru z wielkim pudłem. – Ostatnio naprawdę pochłaniasz jedzenie tonami – powiedział. Nie jesz przypadkiem za dwoje? Albo za troje? Zbladła.

– *Mou czu* \ Czy ty wiesz, co mówisz?

Postawił pudło na stole i chwycił ją za rękę.

– *Shib*. Wiem, o czym mówię. Jeanette, myślałem o tym od dawna, ale nie chciałem cię niepokoić. Powiesz mi, prawda?

Spojrzała mu prosto w oczy. Drżała.

– Och, nie. To niemożliwe!

– Ale prawdopodobne?

– *Fi*. Ale wiem... nie pytaj mnie, skąd... że to niemożliwe. Nie wolno ci nigdy o tym wspominać. Nawet żartem. Nie zniosłabym tego.

Przyciągnął ją bliżej i nad jej ramieniem wyszeptał:

– Dlatego, że wiesz, że nigdy nie będziesz nosić moich dzieci?

Potrząsnęła bujnymi, pachnącymi włosami.

– Wiem. Nie pytaj mnie, skąd.

Odsunął ją na długość ramion.

– Słuchaj, Jeanette. Powiem ci, na czym polega twój problem. Ty i ja należymy do różnych gatunków. Podobnie było z twoją matką i ojcem, a jednak mieli dzieci. Na pewno wiesz, że osioł i klacz też mogą mieć potomstwo, ale muł jest bezpłodny. Lew i tygrysica mogą się rozmnożyć, ale legrys ani tygrew nie. Mam rację? Boisz się, że jesteś takim mułem?

Przytuliła głowę do jego piersi; łzy zmoczyły mu koszulę.

– Bądźmy realistami, kochanie – powiedział. – Może rzeczywiście tak jest. I co z tego? Zwiastun wie, że nasza sytuacja jest wystarczająco zła bez dziecka, które by ją dodatkowo skomplikowało. Będziemy szczęśliwi, nawet jeśli jesteś bez... dlatego, że mamy siebie, prawda? Jesteś wszystkim, czego pragnę.

Zadumany osuszał jej łzy, całował ją i pomagał jej wkładać zakupy do lodówki.

Rzeczywie jadła więcej niż zwykle i piła mnóstwo mleka. Nie miało to żadnego wpływu na jej figurę. Równie dobrze mogłaby nic nie jeść. Minął miesiąc. Hal obserwował ją uważnie. Jadła bez opamiętania i nic się nie działo.

Yarrow uznał, że tak musi być. W końcu niewiele wiedział na temat jej metabolizmu.

Kolejny miesiąc. Hal wychodził z biblioteki na statku, gdy zatrzymał go Turnboy, obus historyk.

– Wieść niesie, że technikom wreszcie udało się uzyskać cząsteczkę wiążącą globinę – oznajmił. – Myślę, że tym razem poczta pantoflowa nie kłamie. O piętnastej odbędzie się

konferencja.

– *Skib.*

Hal postarał się, żeby jego głos nie zdradził rozpaczy.

Zebranie zakończyło się o szesnastej pięćdziesiąt. Hal wyszedł z sali zrozpaczony. Ruszyła produkcja wirusa. W ciągu tygodnia powstanie zapas, wystarczający do napełnienia rozpylaczy sześciu powrotnych torped. Planowano wypuszczenie ich w celu unicestwienia miasta Siddo. Torpedy miały latać torem przypominającym rozkręcającą się spiralę, aby skazić jak największy obszar. Potem wrócą zostaną ponownie naładowane i wystrzelone, a wtedy zginie cała planeta wtyków.

Po powrocie do domu zastał Jeanette w łóżku; rozsypane na poduszce włosy otaczały jej głowę niczym czarna korona. Uśmiechnęła się słabo.

Przejęty troską zapomniał o wtykach i projekcie.

– O co chodzi, Jeanette?

Przyłożył rękę do jej czoła. Skóra była suchą gorącą i szorstką.

– Nie wiem. Od dwóch tygodni nie czuję się zbyt dobrze, ale się nie skarżyłam. Myślałam, że przejdzie. Dzisiaj poczułam się tak źle, że po śniadaniu musiałam wrócić do łóżka.

– Postawimy cię na nogi.

Mówił z przekonaniem, którego nie odczuwał. Jeśli zapadła na jakąś poważną chorobę, nie będzie mogła pójść do lekarza, nie dostanie lekarstwa.

Przez parę następnych dni leżała w łóżku. Temperatura skakała od prawie normalnej rano do bardzo wysokiej w nocy. Hal opiekował się nią najlepiej, jak potrafił. Przykładał jej do czoła wilgotne ręczniki i worki z lodem, dawał aspirynę. Przestała prawie jeść; chciała tylko pić. Zawsze prosiła o mleko. Odstawiła nawet sok z żuka i papierosy.

Już sama choroba była okropna, ale milczenie Jeanette doprowadzało Yarrowa do szaleństwa. Od kiedy ją poznał, mówiła dużo, ze swadą, zabawnie. Umiała też doskonale słuchać. Teraz pozwoliła mówić jemu, a kiedy milkł, ciszy nie wypełniały jej pytania ani komentarze.

Chcąc ją ożywić, opowiedział jej o planie kradzieży giga i zabrania jej do domu w dżungli. Światło rozbłysło w jej matowych oczach; po raz pierwszy od dawna załśniły jak dawniej. Nawet usiadła na chwilę, gdy rozłożył jej na kolanach mapę kontynentu. Wskazała obszar, gdzie mieszkała, a potem opisała pasmo górskie w dżungli i płaskowyż, gdzie w ruinach starożytnej metropolii mieszkały jej ciotki i siostry.

Hal usiadł przy sześciokątnym stoliku przy łóżku, żeby określić współrzędne. Od czasu do czasu podnosił głowę. Jeanette leżała na boku: jej białe, delikatne ramię wylaniało się z koszuli nocnej. Oczy ogromniały w otaczających je cieniach.

– Muszę tylko wykraść pewien mały klucz – tłumaczył. – Widzisz, metromierz na gigu jest zerowany przed każdym lotem. Łódź może przelecieć siedemdziesiąt kilometrów na

sterowaniu ręcznym. Ale gdy taśma minie siedemdziesiątkę, zatrzymuje się automatycznie i wysyła sygnał położenia. To uniemożliwia ucieczkę. Można jednak otworzyć automatyczny nadajnik i wyłączyć go. Trzeba tylko mieć kluczyk. Zdobędę go, nie martw się.

– Musisz mnie bardzo kochać.

– *Shib*, że tak!

Wstał i pocałował ją. Jej usta, kiedyś tak miękkie i wilgotne, teraz były suche i spierzchnięte, jakby zrogowaciałe.

Wrócił do obliczeń. Godzinę później westchnienie Jeanette oderwało go od pracy. Oczy miała zamknięte, usta lekko rozchylone. Pot spływał jej po twarzy.

Miał nadzieję, że gorączka spadła, ale okazało się, że jeszcze wzrosła.

Powiedziała coś niewyraźnie.

Pochylił się, żeby lepiej usłyszeć.

Mruczała w nieznanym języku, w mowie ludu matki. Majaczyła.

Hał zaklął. Musiał coś zrobić, nie bacząc na konsekwencje. Pobiegł do łazienki, wytrząsnął z buteleczki dziesięciokątnej tabletkę nasenną i wrócił do sypialni. Posadził Jeanette, wsunął jej tabletkę do ust i z niejakim trudem zmusił ją do napicia się wody.

Zamknął drzwi sypialni na klucz, włożył płaszcz z kapturem i poszedł szybko do najbliższej apteki. Tam kupił trzy igły dwudziestki, trzy strzykawki i trochę środka przeciwkrzepliwego. Po powrocie do domu spróbował wkuć się w żyłę na jej rękę. Igła weszła dopiero po czwartej próbie, kiedy w chwili rozdrażnienia nacisnął bardzo mocno.

W tym czasie nie otworzyła oczu ani nie poruszyła ręką.

Kiedy krew pokazała się w strzykawce, odetchnął z ulgą. Do tej pory nieświadomie zagryzał usta i wstrzymywał oddech. Nagle zdał sobie sprawę, że przez cały zeszły miesiąc nachodziło go okropne podejrzenie. Teraz zrozumiał, że nie miało sensu.

Krew była czerwona.

Spróbował obudzić Jeanette, żeby zdobyć próbkę moczu. Skrzywiła usta, wypowiadając dziwne sylaby, i zaraz zapadła w sen albo śpiączkę – nie wiedział. Zrozpaczony, uderzył ją w twarz, raz, drugi i trzeci, mając nadzieję, że zdoła ją ocucić. Zaklął, bo uświadomił sobie, że powinien pobrać próbki przed podaniem tabletki. Że też zgłupiał do tego stopnia! Nie myślał rozsądnie; był zbyt przejęty jej stanem i tym, co miał zrobić na statku.

Zaparzył mocną kawę i wlał jej trochę do gardła. Reszta ściekła po brodzie i wsiąkła w koszulę.

Przebudziła ją kofeina, albo głos Hala pełen rozpacz. Otworzyła oczy i patrzyła na niego, gdy wyjaśniał, czego od niej chce i dokąd później pójdzie. Kiedy oddała mocz do wysterylizowanego słoiczka, zawinął strzykawki i słoiczek w chusteczkę i wsunął je do kieszeni płaszcza.

Zadzwoił na „Gabriela” po gig. Po chwili przed domem zatrąbił klakson. Spojrzał jeszcze raz na Jeanette, zamknął na klucz drzwi sypialni i zbiegł po schodach. Gig unosił się nad chodnikiem. Zajął miejsce i wcisnął guzik z napisem START. Łódź wzniosła się na trzysta metrów i z dziobem skierowanym do góry pomknęła w kierunku parku, gdzie spoczywał statek.

W sekcji medycznej panowały pustki, nie licząc jednego dyżurnego. Facet rzucił komiks i skoczył na nogi.

– Spokojnie – powiedział Hal. – Chcę tylko skorzystać z Labtechu. I nie trudź się wypisywaniem formularzy. To drobna sprawa osobista, rozumiesz?

Hal zdjął płaszcz, żeby dyżurny mógł zobaczyć jasne złoto *lamedh*.

– *Shib* – mruknął.

Hal dał mu dwa papierosy.

– O rany, dzięki. – Dyżurny zapalił, usiadł i podniósł *Zwiastuna i Dalilę w przeklętym mieście Gaza*.

Yarrow stanął za narożnikiem Labtechu, żeby dyżurny nie mógł go zobaczyć, i nastawił odpowiednie tarcze. Umieścił próbki i usiadł. Po paru sekundach zerwał się i zaczął chodzić tam i z powrotem. W tym czasie wielki sześcian Labtechu mruczał jak zadowolony kot, trawiąc to dziwne jedzenie. Pół godziny później zadudnił i błysnął zielonym światłem: ANALIZA ZAKOŃCZONA.

Hal wcisnął guzik. Jak język z metalowych ust, ze szczeliny wysunęła się długa taśma. Przeczytał kod. Mocz nie odbiegał od normy. Żadnej infekcji. Normalne było też pH i liczba krwinek w milimetrze sześciennym.

Nie był pewien, czy „oko” jest w stanie rozpoznać komórki w jej krwi. Jednak istniała duża szansa, że krwinki Jeanette będą podobne do ziemskich. Czemu nie? Ewolucja, nawet na planetach oddalonych o lata świetlne, podążała równoległymi ścieżkami; dwuwklęsły dysk jest najbardziej efektywną formą przenoszenia jak największych ilości tlenu.

Tak myślał dopóty, dopóki nie zobaczył krwinek Nowozyty.

Maszyna zaterkotała i wypluła więcej taśmy. Hal czytał zdumiony. Nieznany hormon! Pod względem budowy molekularnej podobny do hormonu przytarczyc, w pierwszym rzędzie odpowiedzialnego za metabolizm wapnia.

Co to oznaczało? Czyżby przyczyną kłopotów Jeanette była ta tajemnicza substancja w jej krwiobiegu?

Jeszcze jeden wydruk. Zawartość wapnia w krwi Jeanette wynosiła czterdzieści procent.

Dziwne. Tak nienormalnie wysoki procent oznaczał, że został przekroczony próg wydolności nerek i że nadmiar wapnia powinien zostać „spuszczony” z moczem. Co się z nim stało?

Labtech błysnął czerwonym światłem: KONIEC.

Hal zdjął z półki podręcznik hematologii i otworzył go na podrozdziale o roli wapnia. Kiedy

skończył czytać, wyprostował ramiona. Nowa nadzieja? Może. Wyglądało na to, że Jeanette cierpi na hiperkalcemię, objawiającą się w postaci wielu chorób – od krzywicy i zapalenia kości po zwyrodnieniowy gościec stawowy. Cokolwiek występowało w jej przypadku, było spowodowane wadliwą czynnością gruczołów przytarczycznych.

Następny ruch to maszyna Farm. Wcisnął trzy guziki, wykręcił numer, odczekał dwie minuty, a potem otworzył drzwiczki. Wysunęła się tacka. Leżał na niej celofanowy woreczek, a w nim igła do podskórnych zastrzyków i strzykawka z trzydziestoma centymetrami bładoniebieskiego płynu. Było to serum Jespera, jednorazowa „działka” przywracająca prawidłowe działanie przytarczyc.

Włożył płaszcz, wsunął pakiecik do kieszeni i wyszedł. Dyżurny nawet nie podniósł głowy.

Teraz magazyn z bronią. Wręczył dyżurnemu rozkaz – wydrukowany w trzech egzemplarzach – wydania automatu i magazynka z setką pocisków wybuchowych. Dyżurny tylko zerknął na podrobione podpisy – on też był pod wrażeniem *lamedh* – i otworzył drzwi. Hal wziął pistolet, który mógł z łatwością schować w dłoni, i wetknął go do kieszeni spodni.

W pokoju, gdzie przechowywano klucze, dwa korytarze dalej, powtórzył dotychczasowy schemat. A raczej próbował.

Moto, oficer dyżurny, zajął w papiery, zawahał się i oznajmił:

– Przykro mi. Mam rozkaz konsultować zgłaszane zapotrzebowanie z Naczelnym Uzzitą. Niestety, w ciągu najbliższej godziny to niemożliwe. Odbywa konferencję z Arcyurielitą.

Hal wziął z powrotem dokumenty.

– Nieważne. Moja sprawa może poczekać. Wrócę rano.

W drodze do domu zaplanował, co zrobi. Po wstrzyknięciu Jeanette serum Jespera przeniesie ją do giga. Będzie musiał rozwalić podłogę pod pulpitem sterowniczym, rozłączyć dwa przewody i jeden z nich połączyć inaczej. To anuluje limit siedemdziesięciu kilometrów. Niestety wywoła również alarm na „Gabrielu”.

Miał nadzieję, że uda mu się wystartować pionowo, wyrównać i zanurkować za pasmem gór na zachód od Siddo. Wzgórza zmylą radar. Włączy autopilota na czas potrzebny na rozbicie skrzynki wysyłającej sygnał, za sprawą którego „Gabriel” mógłby go namierzyć.

Później, lecąc tuż nad ziemią, może liczyć, że przed świtem będzie wolny. Następnie zanurkuje w najbliższym jeziorze lub rzece i przeczeka do zmroku. Po ciemku popędzi w kierunku lasów tropikalnych. Jeśli radar pokaże oznaki pościgu, znów zanurzy giga w jakimś zbiorniku. Na szczęście na „Gabrielu” nie było sonaru.

Zostawił długiego, smukłego jak igła giga przy krawężniku. Jego buty zadudniły na schodach. Klucz wsunął się w dziurkę dopiero przy trzeciej próbie. Hal trzasnął drzwiami, nie tracąc czasu na zamykanie ich na klucz.

– Jeanette!

Nagle przestraszył się, że może wstała w gorączce, jakimś sposobem otworzyła drzwi i wyszła.

Odpowiedział mu jęk. Pchnął drzwi sypialni. Leżała z szeroko otwartymi oczami.

– Jeanette, lepiej się czujesz?

– Nie. Gorzej. Dużo gorzej.

– Nie martw się, maleńka. Przyniosłem lekarstwo, które wleje w ciebie nowe życie. Za parę godzin usiądziesz i będziesz wołać o jedzenie. I nawet nie tkniesz mleka. Wypijesz galon swojego Rozgrzewacza. A potem...

Zająknął się, gdy zobaczył jej twarz. Wyglądała jak kamienna maska rozpacz; groteskowa, wykrzywiona maska tragiczków greckich.

– Och, nie... nie! – jęknęła. – Co powiedziałaś? Rozgrzewacza? – Podniosła głos. – Więc to mi dawałeś?

– *Shib*, Jeanette. Uspokój się. Smakowało ci? Co za różnica? Najważniejsze, że...

– Och, Hal, Hal! Coś ty zrobił?

Widok jej wymizerowanej twarzy rozdzierał mu duszę. Łzy płynęły mu z oczu bez przerwy.

Odwrócił się i pobiegł do kuchni. Wyjął strzykawkę i założył igłę. Wrócił do sypialni. Jeanette nic nie powiedziała, gdy wbijał igłę w jej żyłę. Przez chwilę bał się, że igła może się złamać na twardej, wysuszonej skórze.

– Ten środek leczy Ziemian w mgnieniu oka. – Miał nadzieję, że jego ton brzmi radośnie.

– Och, Hal, chodź tutaj. Jest... jest za późno.

Wyciągnął igłę, potarł ranę spirytusem, przyłożył wacik. Opadł na kolana przy łóżku i pocałował Jeanette. Jej usta były szorstkie jak nie wygarbowana skóra.

– Hal, kochasz mnie?

– Nie uwierzyłaś mi? Ile razy muszę ci mówić?

– Niezależnie od tego, czego się o mnie dowiesz?

– Wiem o tobie wszystko.

– Nie, nie wiesz. Nie możesz wiedzieć wszystkiego. Och, Wielka Matko, gdybym tylko ci przedtem powiedziała! Może mimo wszystko kochałbyś mnie równie mocno. Może...

– Jeanette! O co chodzi?

Zamknęła oczy. Jej ciałem wstrząsnął spazm. Kiedy drzenie przeminęło, zaczęła szeptać sztywnymi wargami. Pochylił głowę, żeby ją lepiej słyszeć.

– Co powiedziałaś? Jeanette! Mów dalej!

Potrząsnął nią. Gorączka musiała minąć, bo ramię miała zimne. I twarde.

Słowa były ciche, niewyraźne.

– Zabierz mnie do moich ciotek i sióstr. One będą wiedziały, co zrobić. Nie dla mnie... ale dla...

– Co chcesz powiedzieć?

– Hał, czy zawsze będziesz kochać...

– Tak, tak! Wiesz o tym. Ale teraz mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Jeśli go słyszała, to tego nie okazała. Szyję miała wygiętą, nos celował w sufit. Powieki i usta były zamknięte, ręce leżały wzdłuż boków, wnętrzem dłoni w górę. Piersi znieruchomiały. Oddech był zbyt słaby, by nimi poruszyć.

Hal bębnił pięściami w drzwi Fobo, dopóki się nie otworzyły. – Hal, przestraszyłeś mnie! – powiedziała żona empaty.

– Gdzie jest Fobo?

– Na zebraniu rady uczelni.

– Muszę się z nim zobaczyć. Natychmiast.

Abasa krzyknęła za nim:

– Jeśli to coś ważnego, idź śmiało! Te narady i tak go nudzą!

Yarrow pokonał schody po trzy stopnie na raz i dotarł do pobliskiego campusu. Płuca paliły go z pośpiechu jak ogień. Nie zwolnił kroku; wbiegł po schodach do budynku administracji i wpadł do sali konferencyjnej.

Żeby się odezwać, musiał najpierw parę razy głęboko zaczerpnąć powietrza.

Fobo zerwał się z krzesła.

– Co się stało?

– Musisz przyjść. Kwestia życia i śmierci.

– Panowie, wybaczcie.

Dziesięciu wtyków pokiwało głowami i wróciło do przerwanej narady. Empata włożył płaszcz i myckę ze sztucznymi czułkami i wyprowadził Hala z pokoju.

– Mów, o co chodzi?

– Muszę ci zaufać. Wiem, że nie możesz mi nic obiecać. Ale myślę, że mnie nie wydasz. Jesteś prawdziwie ludzki, Fobo.

– Do rzeczy, przyjacielu.

– Wy, wtykowie, w endokrynologii stoicie równie wysoko co my, nawet jeśli nie nadążacie w innych naukach. Możecie przebadać Jeanette, wykonać jakieś testy. Powinniście coś wiedzieć o jej anatomii, fizjologii, metabolizmie. Wy...

– Jeanette? Och, Jeanette Rastignac! Lalitha!

– Tak. Ukrywam ją w swoim mieszkaniu.

– Wiem.

– Wiesz? Ale skąd? To znaczy...

Wtyk położył mu rękę na ramieniu.

– Powinieneś się o tym dowiedzieć. Chciałem poinformować cię dzisiaj, po przyjściu do domu, ale powiem to już teraz. Dziś rano niejaki Art Hunah Pukui wynajął mieszkanie w budynku po drugiej stronie ulicy. Twierdził, że chce mieszkać wśród nas, żeby szybciej nauczyć się języka i poznać nasze zasady moralne. Ale większość czasu spędził na przenoszeniu z miejsca na miejsce walizki, która, jak się domyślam, zawiera różne urządzenia, umożliwiające

podsluchiwanie z daleka dźwięków z twojego mieszkania. Jednak gospodarz miał na niego oko, więc nie mógł rozmieścić swoich przyrządów.

– Pukui jest Uzzitą.

– Skoro tak mówisz. Teraz jest u siebie i obserwuje nasz dom przez potężny teleskop.

– I być może także nas słyszy. Jego instrumenty są niezwykle czułe. Z drugiej strony... ściany są przecież dźwiękoszczelne. Tak czy owak, dajmy sobie z nim spokój!

Fobo poszedł za Halem do jego mieszkania. Przyłożył rękę do czoła Jeanette i spróbował podnieść jej powiekę, żeby obejrzyć oko. Nie chciała się odchylić.

– Hmm... Zwapnienie zewnętrznej warstwy skóry jest daleko posunięte.

Jedną ręką odrzucił prześcieradło, a drugą chwycił koszulę przy dekolcie i rozdarł ją z góry na dół. Dwie części spłynęły na boki. Jeanette leżała naga, niema, blada i piękna jak arcydzieło rzeźbiarza.

Jej kochanek uznał postępek wtyka za świętokradztwo, ale nic nie powiedział. Zrozumiał, że Fobo postąpił jak lekarz.

Obserwował go ze zdumieniem. Fobo postukał czubkami palców płaski brzuch, a potem przyłożył do niego ucho. Wyprostował się i pokręcił głową.

– Nie będę cię oszukiwał, Hal. Zrobimy, co w naszej mocy, ale to może nie wystarczyć. Czeka ją operacja. Jeśli zdążymy wydobyć jaja, zanim popękają, być może zdołamy odwrócić proces i wyciągnąć ją z tego. To serum, które jej podałeś, też jest nie bez znaczenia.

– Jaja?!

– Później ci wyjaśnię. Przykryj ją. Pobiegnę na górę i zadzwonię do doktora Kuto.

Yarrow owinął Jeanette kocem i przewrócił ją na bok. Była sztywna jak manekin. Przysłonił jej twarz. Nie mógł znieść widoku jej skamieniałych rysów.

Zabrzączał naręczny telefon. Odruchowo chciał go wyłączyć, ale w ostatniej chwili cofnął palec. Telefon brzęczał głośno, uparcie. Po paru sekundach tortur zdecydował, że jeśli nie odpowie, tym szybciej wzbudzi podejrzenia.

– Yarrow!

– *Shiffl* Zamelduj się u Arcyurielity. Masz piętnaście minut. *Shib*.

Wrócił Fobo.

– Co zrobisz?

Hal ściągnął usta.

– Weź ją za ramiona, a ja złapię za nogi. Jest taka sztywna, że nie potrzebujemy noszy.

Gdy znosili ją po schodach, Hal powiedział:

– Możesz ukryć nas po operacji, Fobo? Teraz nie będziemy mogli korzystać z giga.

– Nie martw się. Ziemianie będą zbyt zajęci, by się za tobą uganiać – rzucił enigmatycznie wtyk.

Zapakowanie Jeanette do giga, przelot do szpitala i wyniesienie chorej zabrało łącznie sześćdziesiąt sekund.

– Połóżmy ją na chwilę – powiedział Hal. – Muszę nastawić gig na auto i odesłać go na „Gabriela”. W ten sposób nie będą wiedzieli, gdzie jestem.

– Nie. Zostaw go tutaj. Może będziesz mógł skorzystać z niego po tym, co się stanie.

– Po czym?

– Później. O, jest Kuto.

Hal miotał się po poczekalni, zionąc kłębam dymu z Miłosiernego Serafina. Fobo siedział na krześle, pocierając łysinę i gęste kędziorki na potylicy.

– Wszystkiego tego można było uniknąć – zaczął ze smutkiem w głosie. – Gdybym wiedział, że mieszka z tobą lalitha, mógłbym się domyślić, po co ci Rozgrzewacz. Choć niekoniecznie. W każdym razie dopiero dwa dni temu dowiedziałem się, że masz ją u siebie. Byłem jednak zbyt zajęty Projektem Ziemianin, żeby o niej pomyśleć.

– Projektem Ziemianin? – zapytał Hal. – Co to takiego?

Usta Fobo rozchyliły się w uśmiechu, ukazując ostre, ząbkowane brzegi kości.

– Nie wyjaśnię ci tego teraz, bo twoi koledzy z „Gabriela” mogliby dowiedzieć się czegoś od ciebie przed czasem. Uważam jednak, że mogę ci bezpiecznie zdradzić, iż wiemy o waszym planie rozrzucenia w naszej atmosferze śmiercionośnych, wiążących globinę cząsteczek.

– Jeszcze niedawno byłbym przerażony, słysząc taką wiadomość. Ale teraz to nie ma znaczenia.

– Nie jesteś ciekaw, skąd się dowiedzieliśmy?

– Chyba jestem – odparł Hal bez zainteresowania.

– Naszą podejrzliwość wzbudziły wasze prośby o próbki krwi.

Postukał się w koniec absurdalnie długiego nosa.

– Nie umiemy czytać w waszych myślach, oczywiście. Ale w tym narzędziu ukryte są dwie antenki. Ogromnie czułe; ewolucja nie stąpiła naszego powonienia, co spotkało was, Ziemian. Antenki te pozwalają nam wykryć przez zapach najmniejsze zmiany w metabolizmie innych. Kiedy jeden z waszych emisariuszy poprosił nas o przekazanie krwi dla celów naukowych, wyczuliśmy, hmm... dyskretną emanację. W końcu daliśmy wam krew, ale należącą do gospodarczego zwierzęcia, które ma w krwinkach miedź. U nas, wtyków, pierwiastkiem przenoszącym tlen jest magnez.

– Więc nasze wirusy są beзуyteczne!

– Tak. Oczywiście, po pewnym czasie, kiedy nauczylibyście się czytać nasze pismo i dostali w ręce nasze podręczniki, prawda wyszłaby na jaw. Ale byłoby za późno – w co wierzę, na co mam nadzieję i o co się modlę – by mogło to mieć jakieś znaczenie czy też spowodować jakieś konsekwencje.

Tymczasem odkryliśmy, do czego zmierzacie. Z przykrością muszę wyznać, że musieliśmy użyć siły, ale skoro na szali leżało nasze życie, a wy, Ziemianie, byliście agresorami, cel uświęcił środki. Dopiero tydzień temu nadarzyła się okazja porwania biochemika i jego *aspta*, którzy zwiedzali laboratorium na uczelni. Wstrzyknęliśmy im narkotyk i zahipnotyzowaliśmy ich. Wydobicie z nich prawdy było trudne, ale tylko z powodu bariery językowej. Na szczęście opanowałem amerykański w wystarczającym stopniu. Byliśmy przerażeni, choć nie do końca zaskoczeni. Prawdę mówiąc, od samego początku, od czasu pierwszego kontaktu z Ziemianami podejrzewaliśmy, że szykujecie coś, co nam się nie spodoba, i przygotowaliśmy się do zareagowania. Rozpoczęliśmy prace w dniu lądowania waszego statku. Statek, jak wiesz, leży bezpośrednio...

– Dlaczego więc mnie nie zahipnotyzowałeś? – przerwał mu Hal. – Mogłeś zrobić to z łatwością i dawno temu.

– Ponieważ wąpiliśmy, czy będziesz wtajemniczony w plan związany z naszą krwią. Potrzebowaliśmy kogoś, kto posiada niezbędną wiedzę techniczną. Jednak obserwowaliśmy cię, choć widać niezbyt skutecznie, skoro udało ci się przemycić lalithę.

– Powiesz mi, jak dowiedziałeś się o Jeanette? Czy mogę ją zobaczyć?

– Niestety, nie; to odpowiedź na drugie pytanie. Co do pierwszego... dwa dni temu udało nam się skonstruować urządzenie podsłuchowe dostatecznie czułe, by warto było instalować je w twoim mieszkaniu. Jak wiesz, pod wieloma względami stoimy daleko za wami.

– Przez długi czas codziennie przeszukiwałem *puka* – przyznał się Hal. – Przestałem, kiedy się zorientowałem, na jakim poziomie stoi wasza elektronika.

– Nasi naukowcy nie marnowali czasu. Wizyta Ziemian przyspieszyła badania w kilku dziedzinach.

Weszła pielęgniarka.

– Telefon, doktorze.

Fobo wyszedł.

Yarrow chodził w kółko, paląc drugiego papierosa. Fobo wrócił po minucie.

– Będziemy mieć towarzystwo. Jeden z moich kolegów, który obserwuje statek, powiedział mi, że Macneff i dwaj Uzzici odlecieli gigiem. Powinni pojawić się w szpitalu lada moment.

Yarrow zamarł w pół kroku. Szczęka mu opadła.

– Tutaj? Jak się dowiedzieli?

– Domyślałam się, że mają sposoby, o których cię nie poinformowali. Nie bój się.

Hal stał jak wryty. Papieros, zapomniany, sparzył go w palek. Rzucił go i rozdeptał.

Z korytarza dobiegł tupot kroków.

Weszli trzej ludzie. Wysoki i chudy jak szkielet Macneff, Arcyurielita i dwaj osobnicy niscy, szerocy w ramionach i odziani na czarno. Ich mięsiste dłonie, choć puste, były gotowe sięgnąć do

kieszeni. Oczy spod ciężkich powiek przeszły Fobo, potem Hala.

Macneff podszedł do obusa. Jego bladoniebieskie oczy płonęły; bezwargie usta rozciągnęły się w uśmiechu kościotrupa.

– Ty bezczelny degeneracie! – krzyknął.

Jego ręka zatoczyła łuk; strzelił bicz wyrwany zza pasa. Cienkie czerwone pręgi pojawiły się na białej twarzy Yarrowa. Pocięła z nich krew.

– Wrócisz na Ziemię w łańcuchach, a tam zostaniesz wystawiony na widok publiczny jako przykład największego zbrodźcy, zdrajcy i... i...!

Zaślinił się, niezdolny znaleźć słów.

– Ty, który przeszedłeś przez Elohimetr, który miałeś być czysty, uległeś żądzy i obcowałeś z owadem!

– Co?!

– Tak! Z owadem, który stoi niżej nawet od bydłęcia! Dopuściłeś się czegoś, o czym nawet Mojżesz nie pomyślał, kiedy zakazał związku między człowiekiem a zwierzęciem! Nie przyszło to na myśl nawet Zwiastunowi, gdy potwierdzał to prawo i ustanawiał najwyższą karę za jego pogwałcenie. Zrobiłeś to! Ty, Hal Yarrow, czysty, kawaler *lamedh*!

Fobo wstał i niskim głosem powiedział:

– Chciałbym zauważyć, że nie masz całkowitej racji w swojej zoologicznej klasyfikacji. To nie rodzina *Insecta*, tylko *Chordata pseudarthropoda*, ogólnie rzecz biorąc.

– Co? – wydukał Hal. Nie mógł zebrać myśli.

– Zamknij się – warknął wtyk. – Daj mi mówić.

Odwrócił się do Macneffa.

– Wiesz o niej?

– *Shib*, że wiem! Yarrow myślał, że mu się uda. Ale niezależnie od tego, jak przebiegli są ci nierealiści, zawsze na czymś się potkną. W tym przypadku było to wypytywanie Turnboya o Francuzów, którzy opuścili Ziemię. Turnboy, żarliwy sługa Paścioła, zameldował o tej rozmowie. Raport leżał w moich dokumentach przez pewien czas. Kiedy się na niego natknąłem, przekazałem go psychologom. Powiedzieli mi, że pytanie obusa odbiegało od schematu, jakiego się po nim spodziewali; było całkowicie oderwane, chyba że wiązało się z czymś, o czym nie wiedzieliśmy. Co więcej, odmowa zapuszczenia brody też była podejrzana. Kazaliśmy go śledzić. Przydzielony człowiek zauważył, że Yarrow kupował dwa razy więcej artykułów spożywczych niż powinien. A kiedy wy, wtykowie, nauczyliście się od nas palić i też zaczęliście wyrabiać papierosy, on odkupywał je od was. Nasuwał się oczywisty wniosek: miał w swoim mieszkaniu kobietę. Nie sądziliśmy, że waszą, bo nie przebywałyby w ukryciu. A zatem musiała być ludzka. Ale nie mogliśmy dojść, skąd ludzka kobieta mogłaby wziąć się tutaj, na Nowozie. Niemożliwe, żeby Yarrow przeszmugłował ją na „Gabrielu”. Musiała przybyć tu innym statkiem

albo pochodzić z ludu, który to uczynił. Rozmowa Yarrowa z Turnboyem potwierdziła nasze domysły. Najwyraźniej Francuzi wylądowali właśnie tutaj, a ona była ich potomkiem. Nie wiemy, jak obus ją znalazł. To nie było ważne. Teraz się dowiemy.

– Musicie dowiedzieć się też paru innych rzeczy – oznajmił zimno Fobo. – W jaki sposób doszliście, że jednak nie jest ludzka?

– Chyba sobie usiądę – mruknął Yarrow.

Dobrnął chwiejnie do ściany i opadł na krzesło. Jeden z Uzzitów ruszył w jego stronę. Macneff ruchem ręki kazał mu zostać na miejscu.

– Pewien wtyk przeczytał Tumboyowi książkę o historii człowieka na Nowozie – powiedział.
– Historyk natknął się na wiele wzmianek o lalithach. Powstało podejrzenie, że dziewczyna może być jedną z nich. Tydzień później jeden z wtykijskich lekarzy w rozmowie z Turboyem wspomniał, że kiedyś badał lalithę. Powiedział, że później uciekła. Nietrudno było zgadnąć, gdzie się zaszła!

– Mój chłopcze – powiedział Fobo do Hala – nie czytałeś opracowania We’enai?

Hal pokręcił głową.

– Zaczęliśmy, ale Jeanette gdzieś je zapodziała.

– I bez wątpienia zadbała, żebyś myślał o wszystkim, byle nie o tej książce... one są dobre w zwracaniu ludziom w głowie. Czemu nie? Taki jest ich cel w życiu.

Wszystko ci teraz wyjaśnię Hal. Lalithy stanowią najdoskonalszy znany przykład mimetycznego pasożytnictwa. Są też wyjątkiem wśród istot rozumnych. Wyjątkiem dlatego, że wszystkie są samicami.

Gdybyś przeczytał We’enai, dowiedziałbyś się, że na podstawie skamieniałości odkryto, iż gdy nowozyjski człowiek był jeszcze owadożernym, podobnym do małpy stworzeniem, miał już w swojej rodzinie nie tylko grupę własnych samic, ale i samice innego rodzaju. Musiały one wyglądać jak samice praczłowieka i prawdopodobnie miały taki sam zapach, skoro małpolud mógł z nimi mieszkać i kopulować. Były podobne do ssaków, ale sekcja ujawniła, że pochodzą od pseudostawonogów.

Nasuwa się rozsądne przypuszczenie, że przodkowie lalith były pasożytami człowieka na długo przed etapem małpokrształnym. Być może spotkały go, gdy tylko wypłynął z morza. Początkowo dwupłciowe, stały się samicami i zaczęły przyjmować kształt gadów i prymitywnych ssaków. I tak dalej.

Wiemy jedno: lalitha jest najbardziej zdumiewającym eksperymentem Natury w dziedzinie pasożytnictwa i ewolucji równoległej. Gdy człowiek rozwijał się w formy wyższe, lalitha dotrzymywała mu kroku. Wszystkie samice, zauważ, pod względem kontynuacji gatunku uzależnione były od samców należących do innego typu biologicznego.

Zdumienie budzi stopień ich integracji ze społecznościami praludzkimi, ze wspólnotami pitekantropa i neandertalczyka. Dopiero gdy pojawił się *Homo sapiens*, zaczęły się kłopoty. Niektóre rodziny i plemiona akceptowały je, inne zabijały. Tak więc lalithy uciekły się do podstępów i zaczęły naśladować ludzkie kobiety. Nie było to trudne – dopóki nie zachodziły w ciążę.

W takim wypadku umierały.

Hal jęknął i przysłonił twarz rękami.

– Bolesne, ale prawdziwe, jak powiedziałby nasz znajomy, Macneff – ciągnął Fobo. – Oczywiście, odmienny stan groził ujawnieniem prawdziwej natury lalithy. W tych społeczeństwach, w których niezbędne było stosowanie kamuflażu, lalitha po zajściu w ciążę odchodziła i umierała w jakiejś kryjówce wśród swoich krewniaczek, które potem zajmowały się nimfami...

Hal zadrżał.

– ...do czasu, aż były zdolne samodzielnie przeniknąć w ludzką kulturę. Albo też wprowadzane były jako podrzutki czy odmienne. Znajdziesz obszerny materiał na ich temat – często są głównymi bohaterkami baśni i mitów. Były uważane za wiedźmy, demony i jeszcze gorsze stworzenia. Wynalezienie alkoholu polepszyło ich sytuację. Alkohol czynił je bezpłodnymi. Jednocześnie, wyjąwszy wypadek, chorobę czy morderstwo, zapewniał im nieśmiertelność.

Hal oderwał ręce od twarzy.

– Chcesz... chcesz powiedzieć, że Jeanette żyłaby wiecznie? Że ja jej to odebrałem?

– Mogłaby żyć wiele tysięcy lat. Wiemy, że niektóre tyle żyły. Co więcej, nie ulegały fizycznej degradacji, ale zawsze pozostawały na etapie wieku fizjologicznego dwudziestu pięciu lat. Pozwól mi to wszystko wyjaśnić we właściwej kolejności. Pewne rzeczy cię zmartwią, ale musisz je usłyszeć.

Długowieczność zaowocowała tym, że lalithy czczone były jako boginie. Niekiedy żyły tak długo, że przeżywały upadek potężnych narodów, które były małymi plemionami, gdy do nich dołączyły. Lalithy stały się skarbnicami wiedzy, przykładami zdrowia i ostojami władzy. Powstawały religie, w których lalitha była nieśmiertelną boginią, a kolejni królowie i kapłani jej kochankami.

Niektóre kultury wyjęły lalithy spod prawa. Ale one nakłaniały narody, którymi władały, do podbicia tych, które je odrzuciły, albo też przenikały w nie ukradkiem i rządziły zza kulis. Zawsze niezwykle urodziwe, zostawały żonami i kochankami najbardziej wpływowych ludzi. Rywalizowały z ludzkimi kobietami i pokonywały je ich własną bronią. W postaci lalith Natura uosobiła ideał kobiety.

I tak zyskiwały władzę nad swoimi kochankami, ale nie nad sobą. Początkowo tworzyły potajemne stowarzyszenie, które wkrótce się rozpadło. Zaczęły utożsamiać się z narodami, którymi władały, i dążyć do podbojów innych krajów. Co więcej, ich długowieczność sprawiała, że młodsze lalithy stawały się niecierpliwe, nie mogąc się doczekać swojej kolejki. Wynik: zabójstwa, walki o władzę i tak dalej.

Miały też negatywny wpływ na rozwój nauki i techniki. Próbowaly zachować *status quo*

w każdej dziedzinie życia; w rezultacie społeczeństwo nabrało tendencji do eliminowania wszystkich nowych i progresywnych koncepcji oraz ludzi, którzy byli ich orędownikami.

Fobo zamilkł i podjął dopiero po chwili:

– Musisz zrozumieć, że większość z tego, co usłyszałeś, to spekulacje, oparte głównie na tym, co powiedzieli nam nieliczni ludzie, których pojaliśmy w dżungli. Jednak ostatnio w pogrzebanej od dawna pod ziemią świątyni odkryliśmy piktogramy, które dostarczyły nam dodatkowych informacji, potwierdzających naszą rekonstrukcję historii lalithy.

Z sali operacyjnej wyszła wtykijska pielęgniarka i szepnęła coś do empaty.

Macneff wyraźnie próbował podsłuchać. Pielęgniarka mówiła po nowozyjsku, a on nie rozumiał tego języka, więc podjął przechadzkę po poczekalni. Hal zastanawiał się, dlaczego kapłan nie kazał od razu zabrać go do giga, dlaczego czekał na zakończenie opowieści Fobo. Uznał, że Macneff prawdopodobnie chce, by Hal dowiedział się wszystkiego o Jeanette i uświadomił sobie ogrom swojej zbrodni.

Pielęgniarka wróciła do sali operacyjnej. Arcyurielita zapytał głośno:

– Czy to zwierzę już zdechło?

Hal potrząsnął głową jak uderzony, gdy dotarły do niego ostatnie słowa. Fobo zignorował kapłana. Przemówił do Hala:

– Twoje larwy... to znaczy twoje dzieci zostały wyjęte. Są w inkubatorze. Są... – zawahał się – w dobrym stanie. Będą żyć.

Hal z jego tonu poznał, że pytanie o matkę nie ma sensu.

Wielkie łzy stoczyły się z okrągłych, niebieskich oczu wtyka.

– Nie zrozumiesz, co się stało, Hal, dopóki nie poznasz niezwykłego sposobu rozmnażania się lalith. Reprodukcję warunkują trzy rzeczy, następujące po sobie we właściwej kolejności. Przede wszystkim lalitha musi zostać zainfekowana w wieku pokwitania przez inną, dorosłą lalithę. Ta infekcja jest warunkiem przekazywania genów.

– Genów? – powtórzył Hal. Chociaż nadal był w szoku, wbrew woli poczuł zainteresowanie wyjaśnieniami Fobo.

– Tak. Lalithy nie dostają żadnych genów od ludzkich samców, muszą więc wymieniać materiał genetyczny między sobą. A jednak mężczyzna też jest niezbędny.

Dorosła lalitha ma trzy tak zwane banki genów. Dwa zawierają duplikaty materiału chromosomowego. O trzecim powiem za chwilę.

Macica lalithy zawiera jajeczka, których geny są duplikowane w ciałach mikroskopijnych żyjątek, rozwijających się w olbrzymich śliniankach w ustach lalithy. Te tak zwane jajeczka śliniankowe są stale wydzielane przez osobniki dorosłe. Za ich pośrednictwem odbywa się przekazywanie genów; lalithy zarażają się, jakby te nośniki cech dziedzicznych były chorobami. Nie można tego uniknąć – pocałunek, kichnięcie, dotyk zrobi swoje. Wydaje się jednak, że

niedojrzała lalitha posiada naturalną odporność na zakażenie. Raz zainfekowana, wykształca przeciwciała, broniące ją przed otrzymaniem jajeczek śliniankowych od innej lalithy. W tym czasie pierwsze jajeczka wędrują przez krwiobieg, przewód pokarmowy, skórę aż do macicy żywicielki.

Tam jajeczka śliniankowe łączą się z macicznymi. W następstwie powstaje zygota. W tej chwili zapłodnienie zostaje dokonane – i odroczone. Zostały dostarczone wszystkie dane genetyczne potrzebne do powstania nowej lalithy, z wyjątkiem genów odpowiedzialnych za rysy twarzy dziecka. Te dane muszą być dostarczone przez mężczyznę, kochanka lalithy. Ale żeby tak się stało, należy spełnić dwa warunki jednocześnie. Jeden to pobudzenie przez orgazm, drugi to stymulacja nerwów fotokinetycznych. Jedno nie może wystąpić bez drugiego, a oba są uzależnione od poprzedniego zapłodnienia. Najwyraźniej połączenie dwóch jajeczek inicjuje przemianę chemiczną, która umożliwia lalithom przeżywanie orgazmu i pełen rozwój nerwów fotokinetycznych.

Fobo umilkł i przekrzywił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Hal, który dzięki znajomości z wtykami nauczył się interpretować wyraz ich twarzy, odgadł, że Fobo czeka na coś ważnego. Bardzo ważnego. I że cokolwiek to było, dotyczyło Ziemian.

Nagle zadrżał, uświadamiając sobie, że stoi po stronie wtyków. Nie był już Ziemianinem, a przynajmniej nie Haijakiem.

– Dostatecznie namieszałem ci w głowie? – zapytał Fobo.

– Wystarczająco – odparł Hal. – Nigdy na przykład nie słyszałem o nerwach fotokinetycznych.

– Nerwy fotokinetyczne są wyłączną cechą lalith. Biegają od siatkówki oka przez nerwy wzrokowe do mózgu. Stamtąd schodzą rdzeniem kręgowym do podstawy kręgosłupa i odbijają do macicy. Macica jest zupełnie inna niż u ludzkiej kobiety. Nie ma co się kusić o dokonywanie porównań. Można powiedzieć, że łono lalithy jest ciemnią fotograficzną. Tutaj następuje biologiczne wywoływanie wizerunku ojca i poniekąd powielanie go w postaci twarzy córek.

Odbywa się to za pośrednictwem fotogenów. Znajdują się one w trzecim wspomnianym przeze mnie banku. Widzisz, w chwili orgazmu w tym nerwie zachodzi reakcja elektrochemiczna. W świetle, którego lalitha domaga się w czasie stosunku, jeśli chce doznać orgazmu, twarz mężczyzny zostaje niejako sfotografowana. Odbywa się to za pośrednictwem oczu lalithy. Jeśli zakryje je ręką, orgazm natychmiast zostaje przerwany.

Musiałeś w trakcie stosunku zauważyć – bo na pewno kazała ci mieć otwarte oczy – że jej źrenice zwężają się w małe kropeczki. Ta mimowolna reakcja zawężała jej pole widzenia. Dlaczego? Żeby nerwy fotokinetyczne mogły skoncentrować się wyłącznie na twojej twarzy. W ten sposób informacje, na przykład o kolorze twoich włosów zostały przekazane do banku fotogenów. Nie wiemy dokładnie, jak nerwy fotokinetyczne przekazują te dane. Ale przekazują.

Masz kasztanowe włosy i ta informacja dociera do banku. Bank następnie odrzuca geny odpowiedzialne za inny kolor włosów. Gen „kastanowy” zostaje duplikowany i łączy się z genetyczną strukturą zygoty. Podobnie dzieje się z innymi genami, które decydują o pozostałych cechach przyszłej twarzy.

– Słyszysz? – zawołał Macneff z triumfem. – Spłodziłeś larwy! Potwory z bezbożnego nierealnego związku! Owadzie bękarty! Będą miały twoją twarz na świadectwo tej obrzydliwej rozpusty...

– Oczywiście, nie jestem znawcą ludzkich rysów – przerwał mu Fobo. – Ale twarzyczki młodych zrobiły na mnie wrażenie żywych i urodziwych. Na ludzki sposób, rozumiesz.

Odwrócił się do Hala.

– Teraz rozumiesz, do czego Jeanette potrzebowała światła. Dopóki wypijała odpowiednią ilość alkoholu przed stosunkiem, nerw fotokinetyczny – bardzo czuły na alkohol – zostawał znieczulony. Tym samym następował orgazm, ale nie było ciąży. Nie musiała się obawiać śmierci z powodu rodzącego się w niej życia. Ale kiedy rozrzedziłeś sok z żuka Rozgrzewaczem – oczywiście, nie wiedząc...

Macneff wybuchnął przeraźliwym śmiechem.

– Co za ironia! Prawdę powiedziano, że za nierealizm płaci się śmiercią!

Śmiało, Hal – powiedział głośno Fobo. – Płacz, jeśli chcesz. Poczujesz się lepiej. Nie możesz, co? Szkoda. Powiem ci, co dalej. Lalitha, nieważne, jak ludzko wygląda, nie może uciec przed swoim dziedzictwem. Nimfy rozwijające się z larw z łatwością mogą uchodzić za niemowlęta, ale widok samych larw sprawiłby ci ból. Choć ja uważam, że nie są brzydsze od pięciomiesięcznego ludzkiego płodu.

To smutne, że lalitha-matka musi umrzeć. Zaczęło się to setki milionów lat temu. Kiedy jaja prymitywnego pseudostawonoga były gotowe do wyklucia, hormon uwalniany przez gruczoły powodował zwapnienie skóry. Zostawała z niej skorupa. Larwy zjadały narządy i kości, rozmiękczone z powodu odwapnienia. Po zakończeniu etapu larwalnego, sprowadzającego się do jedzenia i rośnięcia, larwy nabierały sił i przeistaczały się w nimfy. Wtedy rozbiły skorupę w najsłabszym miejscu na brzuchu matki.

Tym słabym punktem jest pępek. Tylko on nie ulega zwapnieniu i pozostaje miękki. Zanim nimfy staną się gotowe do wyjścia, miękkie tkanki pępka ulegają rozkładowi. Podczas rozkładu uwalnia się substancja, która odwapnia większą część brzucha. Nimfy, choć słabe jak ludzkie noworodki i dużo od nich mniejsze, instynktownie przerywają cienką i kruchą skorupę.

Musisz zrozumieć, Hal, że pępek pełni funkcjonalną rolę. Skoro larwy nie są związane z matką pępowiną, nie muszą mieć pępka, ale jednak wyrasta im narośl, która przypomina pępek.

Piersi dorosłych samic też spełniają dwie funkcje. Jak u kobiet, są cechą płciową i źródłem pokarmu. Nigdy nie produkują mleka, oczywiście, ale gdy larwy są gotowe wykluć się z jaj, piersi produkują duże ilości hormonów, które powodują ztwardnienie skóry.

Nic się nie marnuje, jak widzisz. Taka jest ekonomia Natury. Cechy, które umożliwiają lalithom życie w ludzkim społeczeństwie, odgrywają również ważną rolę w procesie śmierci.

– Potrafię zrozumieć potrzebę fotogenów na humanoidalnym etapie ewolucji – powiedział Hal – ale dlaczego na zwierzęcym etapie rozwoju lalitha miałyby reprodukować cechy twarzy ojca? Istnieje niewielka różnica między twarzami samca i samicy z tego samego gatunku.

– Nie wiem – odparł Fobo. – Może praludzka lalitha nie wykorzystywała nerwów fotokinetycznych? Może są one wynikiem ewolucyjnej adaptacji istniejącej struktury, która pełniła inną funkcję? Albo też funkcją szczątkową? Pewne dowody świadczą, że fotokineza była środkiem, za pomocą którego lalitha zmieniała swoje ciało, aby dostosować je do zmian zachodzących w ciałach ludzi w miarę ich wspinania się po drabinie ewolucyjnej. Można chyba przyjąć, że lalitha potrzebowała takiego biologicznego narzędzia. Gdyby nie rozwinęły się nerwy fotokinetyczne, przeszkodziłoby to w powstaniu innych narządów. Na nieszczęście, gdy osiągnęliśmy etap rozwoju, umożliwiający naukowe badanie lalith, nie mogliśmy zdobyć żadnego okazu. Znalezienie Jeanette było czystym przypadkiem. Odkryliśmy u niej kilka

narządów, których funkcjonowanie pozostaje dla nas tajemnicą. Potrzebujemy więcej przedstawielek jej rodzaju, żeby przeprowadzić owocne badania.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział Hal. – A jeśli lalitha miała więcej niż jednego kochanka? Czyje rysy będzie nosić jej dziecko?

– Gdyby lalitha na przykład została zgwałcona przez jakąś bandę, nie doznałaby orgazmu, ponieważ zapobiegłyby temu negatywne emocje strachu i odrazy. Gdyby miała więcej niż jednego kochanka i nie piła przy tym alkoholu, poczęłaby młode, których rysy odbijałyby twarz pierwszego. Zanim odbyłaby stosunek z drugim – nawet bezpośrednio po pierwszym – zapłodnienie już byłoby faktem.

Fobo potrząsnął ponuro głową.

– To smutne, ale nic się nie zmieniło na przestrzeni epok. Matki muszą oddawać życie za swoje dzieci. A jednak Natura, w formie swego rodzaju rekompensaty, dała im pewien dar. Analogicznie do gadów, które nie przestają rosnać do końca życia, lalitha nie umiera, dopóki nie zajdzie w ciążę. I tak...

Hal skoczył na równe nogi.

– Przestań! – krzyknął.

– Przykro mi – rzekł Fobo cicho. – Po prostu chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego Jeanette uważała, że nie powinna wyznawać ci prawdy. Musiała cię kochać, Hal. W jej uczuciach było wszystko, co składa się na miłość: szczerą namiętność, głębokie oddanie i wrażenie, że stanowicie jedno ciało, tak nierozdzielne, iż trudno byłoby powiedzieć, gdzie kończy się jedno a zaczyna drugie. Wiem, że tak było, wierz mi. My, empaci, umiemy wnikać w psychikę innej osoby, myśleć i czuć jak ona. A jednak miłość Jeanette była zaprawiona goryczą. Świadomością, że jeśli dowiesz się, iż jest przedstawicielką innej gałęzi królestwa zwierząt, oddalonej o miliony lat ewolucji, z powodu pochodzenia i anatomii skazaną na niemożność wypełnienia prawdziwego celu małżeństwa, to jest urodzenia dzieci – odepchnąłbyś ją ze wstrętem. To przekonanie musiało psuć jej najpiękniejsze chwile...

– Nie! Kochałbym ją mimo wszystko! Prawda byłaby szokująca, zgadza się, ale poradziłbym sobie z tym. Przecież była człowiekiem; była bardziej ludzka niż każda znana mi kobieta!

Macneff wydał taki odgłos, jakby zaraz miał z wymiotować. Kiedy się opanował, ryknął:

– Ty bezwstydnny łajdaku! Jak możesz na siebie patrzeć wiedząc, z jakim plugawym potworem spółkowałeś? Dlaczego nie próbujesz wydrzeć sobie oczu, które widziały taką ohydę? Dlaczego nie odgryziesz ust, które całowały owadzi pysk? Nie odrąbiesz rąk, które obłapiały z obmierzłą żądzą tę karykaturę ciała? Nie wydrzesz z korzeniami narządu uciech cielesnych?...

Fobo przerwał tę gniewną tyradę.

– Macneff! Macneff!

Wychudła twarz obróciła się w stronę empaty. Oczy *sandalfona* były wytrzeszczone, a usta

rozciągnięte w niewiarygodnie szerokim uśmiechu czystej furii.

– Co? Co? – wymamrotał jak człowiek budzący się ze snu.

– Macneff, dobrze znam takie typy jak ty. Jesteś pewien, że nie planowałeś wziąć lalithy żywcem i wykorzystać jej dla własnych lubieżnych celów? Czy większość twojej wściekłości i pogardy nie jest wynikiem rozczarowania z powodu niezaspokojenia własnej żądz? Nie miałeś kobiety od roku i...

Sandalfonowi opadła szczęka, krew napłynęła mu do twarzy. Po chwili purpura ustąpiła trupiej błości. Zaskrzeczał jak sowa.

– Dość! Uzzici, brać do giga tego... to bydlę, które śmie zwać się człowiekiem!

Dwaj mężczyźni w czerni ruszyli, by zająć obusa jednocześnie od przodu i z tyłu. Ich poczynaniami kierowała rutyna, nie ostrożność. Lata dokonywania aresztowań nauczyły ich, że nie muszą spodziewać się oporu. Aresztowany zawsze stał nieruchomo zastraszonej i odrętwiałej przed reprezentantami Paściola. Teraz, w dość niezwykłych okolicznościach, wiedząc nawet, że Hal ma pistolet, nie dostrzegali w nim niebezpieczeństwa.

Stał z pochyloną głową, ze skulonymi ramionami i zwieszonymi rękami – typowy aresztant. Tak było w jednej sekundzie; w następnej stał się atakującym tygrysem.

Agent, podchodzący z przodu, zatoczył się, a krew popłynęła mu z ust na czarną bluzę. Uderzył twarzą w ścianę i przystanął, żeby wypluć zęby.

Yarrow obrócił się wokół własnej osi i trzasnął pięścią w wielki, miękki brzuch drugiego mężczyzny.

– Uff!

Uzzita zgiął się we dwoje, a wtedy Hal poderwał kolano i uderzył go w odsłonięty podbródek. Rozległ się trzask pękającej kości i agent osunął się na podłogę.

– Uważajcie! – zawył Macneff. – Ma pistolet!

Uzzita oderwał się od ściany i wsunął rękę pod bluzę, sięgając do podramiennej kabury. Jednocześnie w jego skroń uderzyła ciężka mosiężna podpórka do książek, ciśnięta przez Fobo. Uzzita upadł.

Macneff wrzasnął:

– Jesteś aresztowany, Yarrow! Stawiasz opór!

– *Shib*, cholera, że stawiam! – ryknął w odpowiedzi Hal.

I z pochyloną głową skoczył na *sandalfona*.

Macneff ciął go biczem. Siedem rzemieni owinęło się wokół głowy Hala, ale on mimo to staranował odzianego w purpurę przeciwnika i przewrócił go na podłogę.

Macneff podniósł się na kolana; Hal, też klęcząc, złapał go za gardło i ścisnął.

Macneff, siny na twarzy, próbował oderwać jego ręce od szyi. Hal tylko zacieśnił uchwyt.

– Nie... możesz... tego... zrobić! – wykrztusił Macneff. – To... niemoż...

– Mogę! Mogę! – ryknął Hal. – Zawsze chciałem to zrobić, Pornsen! To znaczy, Macneff!

W tej chwili podłoga zadygotała, a szyby zabrzęczały. Rozległ się potężny huk, w okna uderzyła fala podmuchu. Kawalki szkła frunęły przez poczekalnię; Hal rzucił się na podłogę.

Na zewnątrz noc przemieniła się w dzień, by po chwili znów stać się nocą.

Hal podniósł się. Macneff leżał na podłodze, obmacując szyję rękami.

– Co to było? – zapytał Hal.

Fobo podszedł do wybitego okna i wyrżał. Krew płynęła mu ze skaleczenia na szyi, ale nie zwracał na to uwagi.

– To, na co czekałem.

Odwrócił się do Hala.

– Od chwili wylądowania „Gabriela” kopaliśmy pod statkiem i...

– Nasze urządzenia nasłuchowe...

– ...wychwytywały hałas podziemnych pociągów jeżdżących pod wami. Kopaliśmy tylko wtedy, gdy były w ruchu, więc ich stukot zagłuszał czynione przez nas hałasy. Normalnie pociągi przejeżdżają co dziesięć minut. Zmieniliśmy rozkład jazdy – jeździły mniej więcej co dwie minuty i zawsze były to długie, towarowe składy. Zaledwie przed paroma dniami zakończyliśmy wypełnianie prochem podkopu pod „Gabrielem”. Wierz mi, odetchnęliśmy swobodniej, bo baliśmy się, że wbrew podjętym środkom ostrożności możecie nas usłyszeć albo że nasze podpory pękną pod ciężarem statku. Albo że z jakiegoś powodu kapitan postanowi przemieścić „Gabriela”.

– Wyszadziliście statek? – zapytał oszołomiony Hal.

To wszystko działo się zbyt szybko.

– Wątpię. Nawet tona materiałów wybuchowych, jakie odpaliliśmy, nie mogłaby wyrządzić większych szkód statkowi zbudowanemu tak solidnie jak „Gabriel”. Prawdę powiedziawszy, nie chcieliśmy go zniszczyć, bo zamierzamy go zbadać. Ale nasze obliczenia wykazały, że fale uderzeniowe przewodzone przez metalowe płyty statku zabiją wszystkich obecnych na pokładzie.

Hal podszedł do okna i wyrżał. Na tle rozjaśnionego przez księżyc nieba wznosił się słup dymu; wkrótce ciemny całun miał przykryć całe miasto.

– Lepiej każ swoim ludziom natychmiast wejść na pokład – powiedział Hal. – Jeśli wybuch tylko ogłuszył oficerów na mostku, a oni odzyskają przytomność, zanim tam wejdziecie, wcisną guzik powodujący eksplozję bomby wodorowej. Bomba zniszczy wszystko w promieniu wielu setek kilometrów. W porównaniu z nią wybuch waszego ładunku prochowego będzie przypominać tylko oddech niemowlęcia. Co gorsza, śmiertelne promieniowanie spowoduje dużo więcej ofiar, jeśli wiatr poniesie je w głąb lądu.

Fobo zbladł, choć spróbował się uśmiechnąć.

– Wyobrażam sobie, że nasi żołnierze są już na pokładzie. Ale zadzwonię do nich, żeby się

upewnić.

Wrócił po minucie. Już nie musiał silić się na uśmiech.

– Wszyscy na pokładzie „Gabriela” ponieśli śmierć na miejscu, łącznie z personelem na mostku. Przykazałem dowódcy oddziału abordażowego, żeby nikt nie majstrował przy żadnych mechanizmach czy kontrolkach.

– Pomyśleliście o wszystkim, prawda?

Fobo wzruszył ramionami.

– Jesteśmy naprawdę pokojową rasą. Ale, w przeciwieństwie do was, Ziemian, jesteśmy prawdziwymi realistami. Jeśli musimy przedsięwziąć akcję przeciwko szkodnikom, robimy co w naszej mocy, żeby je zniszczyć. Żyjąc na tej opanowanej przez msekty planecie, nabraliśmy doświadczenia w walce z zabójcami.

Popatrzył na Macneffa, *sandalfon*, na czworakach, ze szklistymi oczami, potrząsał głową jak ranny niedźwiedź.

– Ciebie nie uważam za szkodnika, Hal. Jesteś wolny, możesz iść, dokąd chcesz i robić, co zechcesz.

Hal usiadł na krześle. Ochryplym z rozpaczy głosem powiedział:

– Myślę, że właśnie tego pragnąłem przez całe życie. A teraz co mi zostało? Nie mam nikogo...

– Masz, Hal – odparł Fobo. Łzy spływały mu wzdłuż długiego nosa i zbierały się na czubku.

– Masz córki, którymi musisz się zaopiekować i które powinienes pokochać. Niedługo skończy się okres karmienia w inkubatorze i staną się ślicznymi niemowlętami. Będą twoje dokładnie tak samo, jak każde inne ludzkie dziecko. Przecież wyglądają jak ty... w zmodyfikowany, kobiecy sposób, oczywiście. Mają twoje geny. Co za różnica, czy zostały one przekazane przez komórki, czy fotony? Nie zostaniesz też bez kobiet. Zapomniałeś ojej ciotkach i siostrach? Wszystkie są młode i piękne. Jestem pewien, że uda nam się je znaleźć.

Hal schował twarz w dłoniach.

– Dzięki, Fobo, ale to nie dla mnie.

– Jeszcze nie zaraz – powiedział Fobo cicho – ale kiedyś twój żal przeminie; znów uznasz, że warto żyć.

Ktoś wszedł do pokoju. Hal podniósł głowę i zobaczył pielęgniarkę.

– Doktorze Fobo, wynosimy ciało. Czy człowiek chce popatrzeć po raz ostatni?

Hal potrząsnął głową. Fobo podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Marnie wyglądasz. Siostró, masz jakieś sole trzeźwiące?

– Nie będą mi potrzebne – zaprotestował Hal.

Dwie pielęgniarki wytoczyły wózek. Białe prześcieradło przysłaniało skorupę. Kaskada czarnych włosów rozsypała się na poduszce.

Hal nie odważył się spojrzeć. Jęknął tylko:

– Jeanette! Jeanette! Gdybyś tylko kochała mnie na tyle, żeby mi powiedzieć...